

październik '88

kultura

NIEZALEŻNA

MIESIĘCZNIK

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

44

październik '88

kultura

NIEZALEŻNA

MIESIĘCZNIK

Komitetu Kultury Niezależnej

Warszawa

44

SZKICE	
Jacek Bocheński - Sen o Europie	- 3
Wiktor Woroszyński - Jedna z edukacji europejskich	- 8
Jan Walc - Fotografia Atlantydy	- 15
Ryszard Nycz - Funkcje wiadomości prasowych w literaturze	- 32
Anna Nasalska - Przestrzeń i ideologia. O podróżach socrealistów	- 50
REALIA	
Wojciech Giełżyński - O kapitulanczkich piewcach wolności i o moralności	- 67
Kalego	- 67
ŚWIADECTWA	
Jan Kielanowski - Czerwcowe egzekucje w Lwowskich więzieniach	- 83
RECENZJE	
Bogusława Latawiec - Rzemiosło wygnania	- 90
Barbara Engelking - Wyrzuty sumienia dla zainteresowanych	- 100
Maria Kurbska - Dybuk	- 107
Jan Palusiński - O pożytkach płynących z emigracji	- 114
WIERSZE	
Lech Stefaniak	- 120
PROZA	
Marek Nowakowski - Niezłomny z "Bristolu"	- 125
Wacław Szalańkowski - Wskreszenie modrzewia	- 133
FELIETONY	
Leopolda - Moim zdaniem...	- 144
LISTY	
Zbigniew Gluza - W sprawie kultury	- 145
SPRAWOZDANIA	
Piotr Stasiński - Fakty odziane	- 149
DOKUMENTY	
Wskreszenie polskiego PEN-Clubu	- 160
WYDARZENIA	
Szeregowy - Generałowie	- 168

SZKICE

W końcu maja 1988 odbyło się w Berlinie Zachodnim spotkanie pisarzy /m.in. z RFN, NRD, Hiszpanii, Węgier, USA, Polski/ opatrzone mottem "Sen o Europie". Mówiono o tradycjach kultury europejskiej, a także o istniejącym podziale Europy, który jest drastycznym zaprzeczeniem tych tradycji.

Publikujemy wypowiedzi dwóch spośród polskich uczestników spotkania - Jacka Bocheńskiego i Wiktora Woroszyńskiego.

Red.

JACEK BOCHEŃSKI

SEN O EUROPIE

Panie i panowie, mam sześćdziesiąt jeden lat i pamiętam jeszcze Europę. Jako dziecko mieszkałem w Krakowie i byłem Europejczykiem. Polska leżała wtedy w Europie. Ale czy na pewno?

Otóż była to taka sama oczywistość, jak fakt, że chodzę po ziemi. Dziś nie jest to oczywistość. Dziś jestem trochę Azjatą. Dlaczego jestem Azjatą, powiem za chwilę. Na razie chcę uzasadnić, dlaczego kiedyś byłem na pewno Europejczykiem.

Otóż byłem nim wcale nie dlatego, że w Krakowie mogłem wyjrzeć przez okno i zobaczyć budowle gotyckie lub renesansowe albo pójść na spacer pod uniwersytet, który założono w czternastym wieku. I nie dlatego byłem Europejczykiem, że mogłem używać

przedmiotów czy konsumować produkty, z jakimi obcowali także ludzie w Bazylei, Tallinie, Akwizgranie, Pradze. A chodziło na przykład - wspominam z nostalgią - o napój "Ovomaltina", radio "Telefunken", pantofle firmy "Bata" czy pomarańcze sprowadzane z Jaffy, "zawsze bardziej soczyste", jak je reklamowano.

Nie z tych powodów byłem Europejczykiem. Budowle gotyckie i renesansowe stoją w Krakowie do dziś, chociaż gwałtownie niszczej~~ą~~ wskutek skażenia środowiska i braku konserwacji. Produkty zachodnie i rodzime lepszego gatunku można także dziś kupić w sklepach specjalnych za zachodnie pieniądze. Towary takie są przedmiotem kultu, którym wówczas, gdy byłem Europejczykiem, nikt w Polsce towarów nie otaczał.

O naszej europejskości rozstrzygało jednak co innego. Byliśmy Europejczykami ponieważ nie byliśmy z Europy zadowoleni. A jeśli się nie mylę, Azjatom i Afrykańczykom podobałoby się w Europie, gdyby mogli w niej być Europejczykami. Nasze niezadowolenie było wprawdzie dwuznaczne, bo przecież nie bylibyśmy skłonni zamienić się z Azjatami albo Afrykańczykami na ich kontynenty i kondycję.

Mieliśmy jednak ważne powody, aby przeżywać własną kondycję jako nieznośną. Mieliśmy bezrobotnych, skandaliczne afery w parlamencie, upośledzenie kobiet, brutalną policję, trusty i kartele, korupcję, komercjalizm, a także poetów bez wydawców i pieniędzy. Czyż nie były to stosunki zachodnio-europejskie?

Nawiasem mówiąc, uważaliśmy raczej, że żyjemy w Europie Środkowej i w pewnym sensie byliśmy z tej centralnej pozycji dumni, jakbyśmy zajmowali miejsce prestiżowe.

Ale czy w istocie nie czuliśmy się usytuowani na skraju Europy? Czy nie myśleliś-

my, że na wschód od nas zaczyna się Azja? Czy przede wszystkim ten nasz błąd, powiedzmy - geograficzny, nie świadczył, że właśnie byliśmy Europejczykami, z charakterystycznym dla Europejczyków ograniczeniem horyzontu? Sądzę, że tak. Sądzę, że byliśmy typowymi Europejczykami, ponieważ nie poczuwaliśmy się do żadnego związku z drugą częścią Europy. Innymi słowy, nie martwiliśmy się o jej podział. A Europa była już wtedy podzielona. Nie po raz pierwszy w historii.

Czy jednak warto starać się o jedność i integralność czegoś takiego jak Europa? Dlaczego mieliśmy o to zabiegać, skoro Europa coraz mniej nam się podobała, przynajmniej po naszej, znanej nam stronie, zachodniej? Przyszły czasy nazizmu. Druga wojna światowa. Idea Europy występowała teraz w tak odrażających wersjach jak Nowa Europa Hitlera czy "twardza" Europa.

Nie byłem już dzieckiem. Mój naród został tymczasem zdziesiątkowany przez Nowych Europejczyków, jego stolica była niemal zrównana z ziemią, kraj zamieniony w masowy grób Żydów. Zabite wydawały się też wszelkie tradycyjne podstawy ludzkiej etyki i kultury, jeśli rzeczywiście przedtem istniały i przyświecały starej Europie.

Miałem absolutnie dość Europy. Do mojego spustoszonego kraju wkroczyli zwycięscy Azjaci, czyli nieuznawani Europejczycy ze wschodu. Powitałem ich wejście z nadzieją, chociaż większość moich rodaków przyjęła taki wynik wojny z rozczarowaniem i zgrozą.

Pozwól państwu, że zadam pytanie. Kto podzielił Europę? Mam na myśli podział istniejący obecnie. Czy dokonał go tylko Stalin ze swoimi partnerami w Jałcie, z Churchilllem i Roosveltem? Zapewne. Ale sądzą, że w pewnej znikomej mierze przyczyniłem się do tego podziału na przykład

ja dzięki swoim nadziejom i złudzeniom. Byłem w tych czasach młodym, pewnym siebie komunistą. Przestałem nim być po kilku latach, gdy zrozumiałem, że pośrednio staję się współwinnym cierpień i zagłady milionów ludzi. Nie mam tu czasu na przytaczanie materiału dowodowego. Myślę, że świadectwa są państwu znane, jeśli nie z doświadczenia, to z lektur.

Ale przecież to, co dla wschodnich Europejczyków jest doświadczeniem zagłady, dla zachodnich może być nadal mirażem jakiejś innej, lepszej kondycji. I nie ma na to właściwie rady, bo tych opcji nie motywuje obiektywny stan rzeczy, tylko potrzeba emocjonalna, na przykład odczuwana przez kogoś potrzeba alternatywy albo potrzeba projekcji mitu. Zgoda, pisarze nie uprawiają polityki, pisarze śnią. Nie uzgodnimy jednak naszych snów o Europie, póki nie porozumiemy się, co jest dobrem.

Nawiązując do moich dziecięcych wspomnień o Europie, proponuję następującą formułę: dobrem jest móc być niezadowolonym z własnej kondycji i zarazem nie chcieć zamienić się na inną. Zdaje mi się, że jest to coś europejskiego. Na przykład po amerykańsku byłoby może inaczej. Nie chcieć się zamienić na inną kondycję? Ach, nigdy w świecie! Ale być niezadowolonym? Dlaczego? Trzeba jednak być zadowolonym.

Na koniec powiem, pod jakim względem jestem dziś Azjata.

Chodzi nie o to, że warunki materialne, które mam w swoim kraju, stają się coraz podobniejsze do tych z Trzeciego Świata.

Myślę, że duchowo upodobiłem się w pewnym stopniu do Azjaty. Mam do świata stosunek raczej kontemplacyjny niż pragmatyczny, co nie oznacza bynajmniej rezygnacji i bezczynności. Ale mam inną miarę czasu. Mam cierpliwość Azjaty. Nie sądzę na przykład, że moje wysiłki w tak trudnej

dziedzinie jak przewyciężenie podziału Europy, jeśli nie przynoszą szybkiego skutku, są bezcelowe.

Wkrótce po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce odwiedził mnie w Warszawie pewien zachodnio-niemiecki dziennikarz z umiarkowanie lewicowej gazety. Interesowało go, jakie widzę możliwości przystosowania się do nowej sytuacji po fiasku "Solidarności". Odpowiedziałem, że dla mnie to jest wciąż ta sama sytuacja i nie mam się do czego przystosowywać. A jaka, pytał, mogłaby być rozsądna reakcja zachodnich demokracji na fakt, że "Solidarności" już nie ma? Powiedziałem, że zachodnie demokracje dobrze by zrobiły, gdyby trochę poczekały ze stwierdzeniem, że "Solidarności" już nie ma. "Ach - zreflektował się mój rozmówca - rozumiem, jest coś w podziemiu, ale przecież to nie potrwa długo". "Zobaczmy" - powiedziałem. Spojrzał na mnie jak na głupiego i przestał rozmawiać. Gdyby rozmowa toczyła się dziś, nie miałbym nic do dodania.

Z jednym wyjątkiem. Podział Europy nie tylko można przewyciężyć, ale już dzisiaj jest on przewyciężany codziennie w dość dziwny sposób. Po prostu jedna z części, ta w której żyję, stopniowo się rozpada.

Co się z tego wyłoni, nie wiem.

Jacek Bocheński

JEDNA Z EDUKACJI EUROPEJSKICH

Urodziłem się w niedużym mieście, które wtedy, między pierwszą a drugą wojną światową, znajdowało się w Polsce, w jej części, nazywanej Kresami Wschodnimi; nazwa tego miasta o liczącej sobie osiemset lat historii: G r o d n o. Czy tam, za Niemnem, każdej zimy zastygającym w grube, twarde pola lodowe, była Europa? Czy urodziłem się w Europie? Jak można być tego pewnym, skoro coraz trudniej ustalić, gdzie naprawdę leżało to miasto i jakie było jego właściwe imię. Kiedy miałem dwanaście lat, dowiedziałem się, że leży w Zachodniej Białorusi i nazywa się Hrodna; potem włączono je do Prus Południowowschodnich /Südostpreussen/ i przez chwilę nazywało się Garten; pominę drobniejsze epizody, jak przyznanie go Litwie i nazwanie Gardinas; wszystko to zdążyło się dzieć za mojego dzieciństwa i najwcześniejszej młodości; kiedy zaś w czerwcu 1944 roku do spalonego i w połowie wyludnionego Grodna ponownie wkroczyła Armia Sowiecka i usłyszałem przez radio, że wyzwolone zostało od niemieckich okupantów "starodawne miasto rosyjskie" /starinnyj rüsskij gorod/, miałem już lat siedemnaście i niebawem, jak wielu mieszkańców tych ziem, a także jak wielu mieszkańców innych ziem, wziąłem udział w nowożytnej wędrówce ludów i opuściłem na zawsze ojczyste strony. Nie mam o to żalu: spośród różnych losów wojennych i powojennych, jakich zaznali moi współcześni, ten nie był jeszcze najgorszy. Wspominam jednak ów świat, który opuściłem - albo który mnie opuścił - i niejedno w nim, po latach wciąż daje mi do myślenia.

Za mojego dzieciństwa żyli jeszcze w Grodnie ludzie, pamiętający Elizę Orzeszkową, pisarkę polską z pokolenia tak zwanych "pozytywistów". Po klęsce powstania 1863 roku, skierowanego przeciw Rosji, pozytywiści pragnęli odbudować życie ekonomiczne i kulturalne na zasadzie realizmu i zdrowej aktywności we wszelkich dostępnych sobie dziedzinach. Orzeszkowa, która przez kilka dziesięcioleci mieszkała w Grodnie, zgodnie z duchem czasu uważała powieść za "zwierciadło społeczeństwa" i pisała o ludziach z ubożających dworów szlacheckich, z białoruskich wsi, z żydowskich miasteczek, równie bystro obserwując każde z tych środowisk i ich problemy, i równą szczodropliwość uczuć, bez krzty nacjonalistycznych uprzedzeń, jakby w naturalnym odruchu światłej demokratki, obywatelki przestrzeni rozleglejszej niż Kraj Północnozachodni Rosyjskiego Imperium, obdarzając reprezentantów każdego stanu i każdej grupy etnicznej. Nie wiem, ilu spośród współziomków Orzeszkowej mogło wtedy czytać jej książki, ale szacunek i miłość, jakimi ją otaczano, były niezwykle. Kiedy umierała w 1910 roku, grodnianie wyłożyli słomą ulicę, przy której stał jej domek, żeby turkot powozów nie zakłócał pisarce spokoju. Cwierć wieku później, kiedy poszedłem do szkoły, pamiętano to jeszcze i szczycono się tym, a ulicy, gdzie żyła i umarła, nadano imię Elizy Orzeszkowej. Myślę, że pozytywistyczno-demokratyczny etos, który krzewiła, żył jeszcze wtedy w świadomości obywateli, choć nie łądzę się, że dominował - w końcu był to już przecież okres totalizmów, dyktatur, ideologii pogardy i nienawiści.

W innej dzielnicy mojego miasta, uboższej, ciemniejszej, "gorszej", biegła - pamiętam - ulica Najdusa. Lejb Najdus, młodo zmarły w roku 1918, był żydowskim

lirykiem-modernistą; jego wiersze drukowano w Grodnie i Warszawie; pewnie to żydowscy radni magistratu spowodowali upamiętnienie poety poprzez nazwę ulicy, ale tym samym imię Najdusa weszło w pewnym sensie do wspólnej tradycji miejscowej, do wspólnego kanonu twórców kultury, którymi się chlubiło nad Niemnem.

Nie zdawałem sobie podówczas sprawy, że prócz umarłych są w Grodnie żywi poeci i pisarze, że jeden z nich przebywa w gmachu, który mijam co dzień w drodze do szkoły, że tam - w jakże ponurych warunkach - uprawia godną szacunku twórczość. Gmachem tym było więzienie, w którym znalazł się skazany za działalność wywrotową białoruski nauczyciel, były poseł na sejm, Branisław Taraszkiewicz. Z wykształcenia filolog, autor gramatyki języka białoruskiego, w latach 1931-1932 w celi grodzieńskiego więzienia Taraszkiewicz przełożył białoruskim wierszem arcydzieło polskiego romantyzmu - epopeę Mickiewicza "Pan Tadeusz". Wcześniej jeszcze w swojej mowie, przez wielu uważanej za ubogą, prostacką, znalazł słowa wystarczająco trafne i barwne, by przełożyć "Iliadę". Kiedy teraz z żalem i wstydem myślę, w jakich okolicznościach powstawało w niepodległej Polsce, w moim mieście, dzieło białoruskiego twórcy, mierzoną pociechą jest świadomość, że to, co najstraszniejsze, spotkało go nie tam i nie wtedy. W roku 1933, w ramach wymiany więźniów politycznych, Taraszkiewicz znalazł się w Mińsku, stolicy Radzieckiej Republiki Białoruskiej. Tam, w parę lat później, aresztowany jako rzekomy polski agent i szpieg, stracił życie. Rękopisy jego odnaleziono i opublikowano po latach.

Takie to historie przychodzą mi na myśl, gdy wspominam świat mojego dzieciństwa, wiedząc o nim zresztą trochę więcej, niż

mogłem być wiedzieć, kiedy tam żyłem. Niech mi wolno będzie pociągnąć jeszcze niektóre wątki. Grodnianie czuli się przywiązani do historii swojego miasta. Na wysokim brzegu Niemna stał zamek królewski - tu w roku 1586 zakończył życie jeden z najlepszych królów polskich, Stefan Batory, który nie mówił po polsku, bo był Węgrem - Węgrem z Siedmiogrodu. Mniej chętnie przywoływano postać innego króla, nieszczęsnego Stanisława Augusta Poniatowskiego, który tutaj w roku 1795, zmuszony przez carycę Katarzynę, podpisał akt abdykacji. Upokorzeń woli się nie pamiętać... Ale byli i tacy, których nie opuszczały myśli o meandrach dziejów. W gimnazjum żeńskim w Grodnie - imienia, jakżeby inaczej, Elizy Orzeszkowej - uczył historii pewien absolwent Uniwersytetu Wileńskiego - teraz znów opowiadam o czymś, czego wtedy nie mogłem wiedzieć - który ileś lat później, po wojnie, po partyzantce, po stalinowskim więzieniu, miał zostać Pawłem Jasienicą, znakomitym pisarzem, autorem najpopularniejszych w Polsce esejów historycznych. Jednakże nie jako historyk, tylko jako uczestnik historii poznać miał Jasienica jej przewrotność i mściwość. W roku 1968, na zebraniu warszawskich literatów, wystąpił publicznie, jak kontynuatorowi etosu pani Orzeszkowej przystało, w obronie tych, których wówczas prześladowano. Doczekał się za to najobrzydliwszego szkalowania, ostracyzmu, wycofania i zniszczenia swoich książek. Niedługo potem umarł. Dopiero kilka lat po jego śmierci nowe wydania książek Jasienicy ukazały się w księgarniach i czytelnicy rozchwytyują je tak jak niegdyś.

Zdaje się, że odbiegłem daleko - ale może nie tak daleko - od postawionego na początku pytania. Czy urodziłem się w Europie? Czy tam, gdzie Eliza Orzeszkowa pisała polskie pozytywistyczne powieści, Lejb

Najdus - żydowskie modernistyczne wiersze, Branisław Taraszkiewicz tłumaczył w więzieniu "Pana Tadeusza" białoruskim piętnastozgłoskowcem, gdzie nauczyciel żeńskiego gimnazjum Paweł Jasienica, przechadzając się pod murami zamku, rozmyślał o triumfach i nędzach polskiej historii, może postanawiając, że je kiedyś opisze, ale chyba nie przeczuwając, że się stanie ich uczestnikiem i, niestety, ofiarą, czy tam, gdzie żyli obok siebie, nie zawsze w idyllicznej harmonii, nierzadko dokuczając sobie wzajemnie, ale przecież jakoś się rozumiejąc, coś od siebie biorąc, coś sobie dając i wpływając na wspólne losy, ludzie różnych języków, różnych wiar, różnych obyczajów, żyli, sadzili drzewa, handlowali, modlili się w kościołach, cerkwiach i synagogach, tworzyli gęstą, bogatą, mieniącą się tkanę istnienia, czy więc tam, w tym świecie, który nie tylko ja opuściłem i który nie tylko mnie opuścił, była Europa? Jaka Europa? Jeżeli "europejskie" znaczy wyłączone, odgraniczone, zacieśnione, zamknięte - to nie urodziłem się w Europie, nie odebrałem edukacji europejskiej, jestem kim innym, kim - nie umiem powiedzieć. Jeżeli jednak "europejskie" znaczy: rozmaite, czerpiące z wielu źródeł, łączące, otwarte, nie odrzucające, lecz przygarniające do siebie - to to, co pamiętam z dzieciństwa, za czym tęsknię, do czego należę i chcę należeć, przy całej swojej niedoskonałości, niespójności, nieokreśloności podziałów i granic - jest Europą, moją Europą, jedyną, za którą się opowiadam.

Kiedy wracam dziś myślą do etapów mojej edukacji europejskiej, widzę paradoksalność niejednej sytuacji. We wrześniu 1939 roku zobaczyłem pierwszego Rosjanina - był w mundurze - i usłyszałem słowa jego nieznanego dotąd języka. W czerwcu 1941 roku

zobaczyłem pierwszego Niemca - też w mundurze - i usłyszałem język niemiecki. Na pobliskim podwórku ktoś zwałił stos książek, pozostawionych przez pośpiesznie ewakuujących się Rosjan. Zabrałem sobie z tego stosu, ile zdołałem unieść, i potem, przez całą okupację niemiecką, o której nie będę teraz opowiadał, zaczytywałem się powieściami Turgieniewa, Gonczarowa i Korolenki w pożółkłych ze starości, przedrewolucyjnych wydaniach. To wtedy pokochałem ten język i tę literaturę - i stało się to ważnym wątkiem całego mojego życia. Trzy i pół roku później, już nie w Grodnie, tylko w Łodzi, w pustym mieszkaniu, do którego wprowadziła się moja rodzina, zgarbiłem z podłogi rozrzucone książki niemieckie, przeważnie propagandową makulaturę, ale był tam także tomik "Die frühen Gedichte" Rainera Marii Rilkego wydany w 1922 roku przez Insel-Verlag w Lipsku. Na pierwszej stronie przeczytałem:

DAS IST DIE SEHNSUCHT: WOHNEN IM GEWOGE
UND KEINE HEIMAT HABEN IN DER ZEIT.
UND DAS SIND WÜNSCHE: LEISE DIALOGE
TÄGLICHER STUNDEN MIT DER EWIGKEIT...

Zachwyciło mnie to - i ta nieduża książeczka w twardej okładce została towarzyszką moich dalszych wędrówek. Mam ją w swojej bibliotece do dzisiaj.

Czwierć wieku po opuszczeniu Grodna zapragnąłem pokazać miasto rodzinne żonie i córce, które nigdy nie były w tamtych stronach. Okazało się to nie takie proste, bo wjeżdżając do Związku Radzieckiego podróżny musiał mieć z każdej miejscowości, w której chciał się zatrzymać, osobne, zaakceptowane przez lokalną władzę, zaproszenie. Z Grodna nie mogłem dostać takiego zaproszenia, ale dostałem z Tallina - od mojego estońskiego przyjaciela, dziś już

nieżyjącego Alexandra Kurtny. Ten wybitny tłumacz znał doskonale kilkanaście języków, w tym polski - i bodaj połowy z nich nauczył się od współwięźniów w syberyjskim obozie. W drodze powrotnej z Tallina zatrzymaliśmy się najpierw w Wilnie - tu byliśmy gośćmi litewskiego poety i uczonego Tomasa Venclovy. Wezwany przez niego, przybył też z Leningradu Josif Brodski - i kiedy razem z Venclovą i innymi Litwinami, i z młodym Brodskim, i z moją żoną i córką, wędrowaliśmy po wileńskich ulicach, cmentarzach, kościołach, miejscach wspólnej polskiej i litewskiej przeszłości, mimo że w odmiennej teraźniejszości roku 1971, było tak, jakbym wrócił do swojej Europy, swojego dzieciństwa, swojej tęsknoty. I wreszcie wysiedliśmy z pociągu w Grodnie - nielegalnie z punktu widzenia władzy. Na dworcu powitali nas dwaj mieszkający tam obecnie pisarze białoruscy - jednym z nich był Wasil Bykau, wspaniały prozaik, którego kilka powieści przetłumaczyłem swego czasu na polski. Szliśmy ulicą Orzeszkowej w stronę jego domu - mieszkał w nowej dzielnicy, wzniesionej na gruzach starej żydowskiej, tej, gdzie była niegdyś ulica Najdusa - a kilkanaście kroków za nami posuwali się dwaj cywile o niedwuznacznym wyglądzie i zachowaniu. I idąc tak przez miasto, w którym się urodziłem, a teraz byłem intruzem, pomyślałem, że kultura, twórczość zawsze dla kogoś jest podejrzana, a mimo to istnieje, rozwija się, i ci, co jej służą, lgną do siebie nawzajem, ich drogi krzyżują się i spotykają, i ludzie dzielą się ze sobą i będą się dzielili tym, co mają do podzielenia. I rad byłem, że udało mi się dotrzeć razem z moimi najbliższymi tutaj, gdzie zaczęło się wszystko, co moje, i jeszcze poczułem, że chociaż po mnie nie zostanie tu śladu, w e m n i e ś l a d t e g o . p o z o s t a n i e

na zawsze i przeniosę to przez wszystkie obszary, w jakichkolwiek wypadnie mi się znaleźć; jak - wiem o tym - i Brodski, i Venclova, i autor "Rodzinnej Europy" Czesław Miłosz, i ci inni, których znam albo nie znam, a którym los przeznaczył daleką drogę, przenieśli, zaszczepili gdzie indziej, choćby i poza tym kontynentem, choćby na antypodach, to swoje, to nasze, to europejskie, przenieśli, dalej snuli z siebie i utrwalali... W tej nie geograficznej, lecz duchowej b e z g r a - n i c z n o ś c i, w tej p r z e n i - k a l n o ś c i w z a j e m n e j, w tej Europie bez przymiotnika - mam nadzieję i ja dalej żyć, no i kiedyś umrzeć.

Wiktor Woroszyński

JAN WALC

FOTOGRAFIA ATLANTYDY

Chyba dopiero w latach 80-tych pojawił się na ulicach naszych miast czerwono-czarny prostokątny znak z przekreślonym na krzyż stylizowanym aparatem fotograficznym i napisem "zakaz fotografowania". Nie wdając się w tej chwili w analizę tego fenomenu, musimy przecież sobie powiedzieć, że przy całej swojej nowości - a nowością było owego znaku publiczne wywieszenie - owo uroszczenie władzy do ustalania, co może być przedmiotem dokumentacji, czego zaś dokumentować nie wolno - otóż owo uroszczenie żadną nowością nie jest, wiemy od dawna, że tej władzy i ta ambicja nie jest obca.

Wydaaje mi się, że rozważając kwestie dokumentalnych odniesień literatury - jeżeli te rozważania snuje się hic et nunc, a zwłaszcza jeśli dotyczyć one mają naszej szeroko pojętej współczesności - nie wolno zapominać o istnieniu tego znaku zakazu, nie wolno nie zauważyć, że przyszło nam żyć w czasach, kiedy reglamentacją objęto również dokumentację.

Ów znaczek z przekreślonym aparatem fotograficznym więcej niesie treści jako oznaka niż jako znak; nie przypadkiem pojawił się on w naszym krajobrazie akurat wtedy, kiedy opadały rozmaite listki figowe, zarówno malutkie, jak i takie bardzo, bardzo duże, spod których ukazały się wyceLOWANE w nas lufy czołgów. I właśnie ten znaczek dokumentuje ten czas, który można by określić jako głośność a la Jaruzelski.

Jeśli analizować go jako oznakę, wypadnie powiedzieć, że jest on nie tylko oznaką bezwstydu, ale i bezsilności - równie skuteczne w Polsce lat 80-tych jak jego przybijanie na murach mogłoby być - powiedzmy sporządzenie skierowanej do społeczeństwa petycji, podpisanej przez grupę generałów, z prośbą, aby zechciało się pozbyć swojej zbiorowej pamięci.

Nie wiem, czy ktoś zrobił zdjęcie w tej chwili osobliwej, kiedy płk Kukliński ostatni raz wychodził z domu bez kantów, ale jestem prawie pewien, że na jego froncie tego znaku jeszcze wówczas nie było. I tego zdjęcia pewnie też nie ma - nie zrobiono go, bo jeśli miałoby jakąś wartość, to dla historii, a nie dla CIA, która zapewne sprawę zaniedbała. A zaraz potem przybito ten znak, bo to przecież łatwiej upilnować, żeby ktoś tego historycznego gmachu nie fotografował, niż zadbać, aby jakiś Kukliński nie wynosił z niego dokumentów.

Wprowadzenie w nasz krajobraz tego znaku to przejście od zakazu immanentnego do sformułowanego - że zapożyczę się u Janusza Sławińskiego - niemniej jednak ów zakaz, póki był immanentny, nie tylko nie oznaczał większego liberalizmu, ale nawet przeciwnie; zapewne należałoby wręcz postawić tezę, że w czasach największej świetności systemu komunistycznego, na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, zakazem dokumentacji objęte było po prostu wszystko, zarówno jeśli idzie o przedmioty, zdarzenia, jak o ludzkie przeżycia. Nic nie mogło być sfotografowane takim, jakim było; sui generis pozwolenie na fotografowanie dostawał tylko ten, który zobowiązywał się poddać wszystko, co zamierzał fotografować, skomplikowanemu procesowi przerabiania na obraz i podobieństwo obowiązujących wytycznych.

Znak "zakaz fotografowania" nie mógł pojawić się nigdzie, z jednej bowiem strony musiałby być umieszczony na każdym przedmiocie, z drugiej zaś - sama informacja o istnieniu owego immanentnego zakazu także owemu zakazowi podlegała: słusznie dostrzegano jego bazylijski charakter i słusznie się spodziewano, że gdy się sam w sobie przejrzy utraci całą swoją moc. I z tej przyczyny nie przypadkiem upublicznienie jego istnienia zbiegło się w czasie z zleniem cenzury, z wycofaniem się władzy z wielu uprzednio zajmowanych terenów i schronieniem się w okopach, które frazeologia podpowiada nazwać okopami św. Trójcy, co rozdmuchuje dodatkowo atmosferę farsowości, w której się poruszamy mimo prób zachowania pełnej powagi.

Ale przedmiotem niniejszego tekstu ma być poprzedni akt historycznej dramy, nie czas farsy, ale tragedii. Rzecz bowiem dotyczy czasu, który znikł, nie pozostawia-

jąc po sobie dokumentów. Mówię o czasie, kiedy w Polsce nikt nie pisał dziennika; ściślej: opublikowano tylko dwa dzienniki z tamtych lat - kardynała Stefana Wyszyńskiego i Leopolda Tyrmanda. Za zestawienie tych nazwisk nie będę przeprasział, po prostu więcej nazwisk nie ma. Ale jeśli kogoś zestawienie to razi, niech ma pretensje nie do mnie, a do historii, bo nawet trudno gniewać na potencjalnych diarystów ówczesnych, że zdrefili - to przecież było naprawdę bardzo niebezpieczne.

A właśnie "Dziennik 1954" skłonił mnie do przeczytania "Złego", którego czytać nie zamierzałem, uwierzywszy na słowo - skłamał w tej chwili samokrytykę - powszechnej opinii krytyków i historyków literatury, że jest to kiczowate romansidło. Opinia ta w cudowny sposób jednoczyła krytyków i literatów skądinąd zwaśnionych, reprezentujących różne poglądy czy przynajmniej różne ówczesne koterie, i kolejne wydania "Złego" bynajmniej jej nie korygowały.

Chciałbym tu podkreślić, że tej książce przydarzyła się szczególna przygoda z historią: ukazała się w sprzedaży na przełomie lutego i marca 1956 roku. "W końcu lutego, na początku marca" - jak mówi poeta - kiedy "głowy siwiały za szybami aut". / Twarz zasłaniali rękami, biegli/ i w śnieg padali z pękniętym sercem". W Warszawie tego czasu tylko jeden tekst był wobec powieści Tyrmanda konkurencyjny, ale jego autor nie stanowił konkurencji dla żadnego z warszawskich literatów - nazywał się. Nikita Siergiejewicz Chruszczow.

Ten dotyczący chronologii szczegół ma wielorakie znaczenie - chciałbym się tu skoncentrować na tym, iż nikt nie miał wówczas głowy do organizowania nagonki na Tyrmanda, przymuszania do pisania miazdzących recenzji; znalazłem tylko jedną,

która atakuje pryncypialnie, za nieuwzględnienie problemów walki klasowej i zagadnień ideologicznych oraz roli partii i ZMP - a i to napisał ją stawiający zazwyczaj na nie tego konia i w nie tej gonitwie Andrzej Micewski.

Ataki formułowane przez innych wydają się być rzeczywistym odbiciem ich poglądów, a przede wszystkim wielkiej złości - Kijowski pisał o "literaturze dla gówniarzy, Iwaszkiewicz porównywał "Złego" z "Trędowatą" a na dodatek zarzucał Tyrmandowi upiększanie rzeczywistości, czyli, mówiąc językiem tamtych lat - lakiernictwo² - a takie straszne nerwy i zaciętrzewienia wzięły się stąd, że Tyrmand swoją powieścią obnażył fałsz tego wszystkiego, co w pierwszej połowie lat 50-tych chciało uchodzić za polską literaturę współczesną, i fałszerze poczulili się trochę nieswojo.

"Zły" dedykowany jest "Warszawie, mojemu rodzinnemu miastu" i dzisiaj, po trzydziestu z górą latach, widać wyraźnie, że jeśli ktoś kiedyś będzie próbował poszukiwać w literaturze opisu Warszawy tamtego czasu - znajdzie go tylko u Tyrmanda. Bo to nie jest tak, jak z Bolesławem Prusem, który pośród dziesiątków i setek ludzi Warszawę przełomu wieków opisujących okazał się najlepszy; poza Leopoldem Tyrmandem nikt nie odważył się naruszyć zakazu opisywania.

A właśnie opisywanie jest celem, jaki sobie Tyrmand stawia; literatura jest widocznym układem odniesienia narratora i autora "Złego", jak zresztą zauważył ostatnio Marek Adamiec w cennym szkicu "Zły Leopolda Tyrmanda czyli koniec tajemnic Warszawy"³. Charakterystyczna jest skala literackich odniesień, które są w "Złym" bezpośrednio przywoływane; od Milne'a i Lewisa Carrola do Homera. Finałowa, VII część powieści rozpoczyna się od słów:

"Różanoplaca jutrzienka uchylała powoli zasłonę nocy" /str. 631/, a opis finałowej walki Złego z jego głównym powieściowym antagonistą rozpoczyna się od odwołania do pojedynku Achillesa z Hektorem /str. 719/ i homagium dla Homera.

Odwołania literackie obecne są w "Złym" czasami zupełnie explicite, padają nazwiska autorów czy bohaterów albo wręcz tytuły książek: poza Alicją z krainy czarów, Kubusiem Puchatkiem, Prosiaczkiem i Kłapouchym pojawia się między innymi pan Pickwick /str. 141/, Kipling /176 i 513/, Rabelais /348/, Oliwer Twist /393/, Don Kichot /556/ d'Artagnan /633/ Sherlock Holmes /710/, a z literatury polskiej - pan Podfilipski /529/ oraz wielokrotnie Koziołek Matołek.

Wydaje się, że nawiązania do polskiej tradycji literackiej musiał oceniać Tyrmand jako cenzuralnie niebezpieczniejsze od wymienionych odniesień do klasyki światowej, też zresztą nie całkiem tej, która wówczas uchodziła za najbardziej wartościową - taki Kipling był kompletnie zakazanym piewcą brytyjskiego imperializmu; pojawiają się wprowadzić gdzieś "Dzikie Pola" /str. 600/ czy "Jądro matecznika" /708/, ale mówić zanadto wprost o tej naszej literaturze niebezpiecznie. Zresztą, przypomnijmy, że w owym czasie na indeksie jest nie tylko cytowany bez nazwiska Weyssenhoff⁴, ale i ten nieszczęsny Matołek, którego cenzuralnie ułaskawiono dopiero po październiku, w roku 1957, a więc bohaterowie "Złego" i w tym wypadku muszą posilkować się przedwojennymi wydaniem⁵.

Istnieje taka IBLowska klechda o nieżyjącym już Zbigniewie Żabickim, mówiąca, iż podczas okupacji, jako smarkacz, przepisał "Pana Tadeusza" i zakopał w ogródku, aby go uratować z pożogi wojennej. Tyrmand stara się zrobić więcej: opisać kawałek świata, w którym przyszło mu żyć, utrwalić

taki jego kształt, który miał być raz na zawsze wymazany z ludzkiej pamięci. To bardzo cywilne bohaterstwo: autor "Złego" nie próbuje być Sołżenicynem, opisuje rzeczy bardzo zwyczajne i wcale się nie pali do tego, aby cierpieć i być prześladowanym, a jednak ten powszechnie traktowany jako "bon vivant" Tyrmand uważa za swój obowiązek dać świadectwo swojemu czasowi - gdy tylu innych, może godniejszych, zaparło się tego obowiązku.

I trzeba tu bardzo wyraźnie powiedzieć sobie rzecz następującą: "Zły" demonstruje co najmniej takie możliwości warsztatowe autora - w tym perfekcyjne opanowanie technik stylizacyjnych - że jest poza wszelką dyskusją, iż Tyrmand w okresie pisania tej książki był w stanie - gdyby tylko chciał - zapędzić w kozí róg ówczesnych laureatów nagród państwowych, które dostawało się za produkcyjniaki; w roku 1955 nagrodę taką przyznano za inną książkę, której akcja toczy się w tym samym miejscu i czasie co akcja "Złego" - otrzymał ją Kazimierz Brandys za powieść "Obywatele".

Darujemy sobie analizę porównawczą - to zresztą wspaniały temat na studenckie ćwiczenia - ponieważ chcemy powiedzieć tyle: Tyrmand "Obywateli" nie napisał dlatego że nie chciał, a nie dlatego że nie potrafił. Współcześni Tyrmandowi literaci utracili zdolność opisywania otaczającego ich świata w tym stopniu, że nie tylko sami nie byli go w stanie opisywać, ale nie potrafili nawet skonsumować tego, co im Tyrmand zaoferował; przecież ledwie na parę miesięcy przed ukazaniem się powieści rozległ się - jakże wtedy rozgłośny - jęk Adama Ważyka:

"Place się wiją jak kobry,
domy się pysznią jak pawie,
dajcie mi stary kamyczek,
niech się odnajdę w Warszawie."

- Proszę bardzo, panie Adamie - zdaje się odpowiadać Tyrmand -

"Przynoszę ci zwyczajne palto i przynoszę zwyczajne katharsis.

Nieszczęśliwa -
wyciąga ręce i woła:
paskzwil!"

- to najwyraźniej o krytyce literackiej. Chciałbym się tu przyjrzeć sposobowi, w jaki Tyrmand ukazuje w swojej powieści Warszawę, a przede wszystkim zwrócić uwagę państwa na pewne charakterystyczne wybory, jakich dokonuje w swoim jej przedstawianiu i frapującą tych wyborów polemiczność wobec tego wszystkiego, co się zwykło było podówczas wybierać o Warszawie pisząc.

Sporządzony przez Tyrmanda obraz nie jest bynajmniej jakimś tam warszawskim landszafcikiem - jest to taki rodzaj opisu, który chce być dowodem pewnej tezy. Co zabawniejsze, autor tezę tę nawet wyeksplikował na publicznym spotkaniu autorskim wiosną 1956 roku, a nawet ukazała się ona drukiem w sprawozdaniu z tego wieczoru literackiego⁶, tylko w ogólnym zamieszanu nikt tego nie zauważył, a ci, co być może zauważyli, zmilczeli.

"Chciałem - powiedział Tyrmand - utrwalić w literaturze obraz Warszawy padającej pod obuchem odbudowy". Ale nie trzeba było latać na spotkania autorskie - to jest powiedziane także, również *explicite* i w książce samej. Oto cytat z ostatniego jej akapitu: "nad nimi, od strony zwalonej świeżymi budowlami ulicy Szopena ...". Wiele napisano o wojennych zniszczeniach Warszawy, jeszcze więcej o trudach odbudowy "miasta niepokonanego", odbudowę Starego Miasta opisywano wręcz maniakalnie /Tyrmand w tej sytuacji jeśli pisze o Starym Mieście, to z zupełnym spokojem, naturalnością i w taki sposób, jakby pisał o czymś naj-

zwyklejszym w świecie i z epopei odbudowy Starówki, jaką znamy z tyłu przekazów, nie odnajdujemy u niego ani śladu/; nikt natomiast nie podjął próby opisanie mozolnej pracy komunistów nad pozbawieniem tego miasta jego tożsamości, zlikwidowania jego charakteru, przerobieniem na stolicę swojego państwa. "Nie miasto ludziom, lecz sobie stolicę" - żeby skorzystać z celnej formuły innego polskiego pisarza, świadomego moralnej wagi owego "widzę i opisuję".

Proces czyszczenia Warszawy z tego wszystkiego, co nadaje miastu charakter, i zastępowania tego standardowymi betonowymi blokami, proces likwidacji wszystkich tych kawiarni, restauracji, sklepików, zakładów najrozmaitszych - trwał przecież latami - moja pamięć sięga mniej więcej do granicy czasu akcji powieści Tyrmanda, ale i potem pracowano nad Warszawą dalej. Jest to tutaj ciekawe o tyle, że pisarz sporządzając portret miasta z roku 1954, kiedy toczy się akcja powieści, dokonuje szeregu celowych anachronizmów, przy czym wszystkie one sprowadzają się do tego samego: chodzi o usunięcie z obrazu jak największej ilości - by tak powiedzieć - komunistycznych wtętów.

Akcja książki toczy się prawie wyłącznie w śródmieściu stolicy, marszruty bohaterów opisywane są szczegółowo, a jednak zawsze tak się jakoś składa, że jeśli przyglądać im się z planem miasta w rękę, łatwo dostrzec, że pisarz wytyczył w tym mieście jakieś własne granice, a jego bohaterowie zachowują się jak żołnierze partyzantki miejskiej, którzy omijają te fragmenty śródmieścia, które zostały zajęte przez wroga; jeżeli to raz dostrzeżemy, będziemy dalej śledzić ten zabieg z wzrastającym zaciekawieniem.

A jeśli czegoś ominąć nie mogą, Tyrmand, piszący książkę, która ma być przecież oddana do oceny późnostałinowskiej cenzury, dokonuje cyrkowych wręcz sztuczek, aby nie kłamać opisu, jednocześnie nie przyjąć pewnych innowacji do wiadomości. Przede wszystkim autor "Złego" doskonale wie, jak nazywają się warszawskie ulice i nie sprawdza tego z bieżącym wydaniem planu miasta w rękę - na skutek tego unikamy niepotrzebnych nieporozumień, tyle że na ogół kosztem bohaterów ruchu robotniczego.

My jednak jesteśmy stroną, która niewątpliwie zyskuje, a wspomniani bohaterowie i tak miewają "sua fata". Wyobraźcie sobie Państwo, jak by się czytało książkę Tyrmanda, gdyby bar "Ślodycz" mieścił się na ulicy Mariana Buczka. Gdzie by to mogło być. A tak właśnie przez pewien czas było, i minęło, zanim nadszedł rok 1954, kiedy toczy się akcja powieści, bo akurat towarzysz Buczek okazał się najwidoczniej bardziej legionistą niż towarzyszem właśnie, albo jeśli już towarzyszem, to też z nie całkiem tego towarzystwa co trzeba i Żelazna powróciła do swojej własnej nazwy. Ten bar prawie mógł być się mieścić na rogu Buczka i Bartoszka, bo tak nazywała się Żłota. Tow. Bartoszek był bojowcem GL, poległym w 1943, ale nazwa też się długo nie utrzymała, bo kiedy wdowę, Hedkę Bartoszek, trzeba było wsadzić w związku z prawicowo-nacjonalistycznym odchyleniem, ulicy zmieniono nazwę na Żłota właśnie. A ulica Młodzieży Jugosłowiańskiej, przy której mieściła się tak istotna dla Warszawy lat 50-tych - i dla akcji tej powieści - instytucja jak "Kameralna"? Oczywiście w roku 1954 jugosłowiańskie były tylko łańcuchowe psy imperializmu, więc ulica Foksal też wróciła do swojej nazwy.

Wszystko to najwyraźniej uczyniło Tyr-
manda wyjątkowo sceptycznym, jeśli idzie
o rozmaite/nazwy ulic czy placów, których
stara się po prostu nie zauważać; czasem
pod pozorem dystrakcji - a więc sądy miesz-
czą się w Warszawie, jak powszechnie wiado-
mo, na Lesznie. Ulica taka istnieje, i
nie każdy musi pamiętać, że na tym odcinku
nazywa się akurat Świerczewskiego. I czy
to na pewno warto zapamiętywać, czy ta
nazwa się utrzyma i jak długo?

Trzech terrorystów, Hibnera, Kniewskiego
i Rutkowskiego bał się już Tyrmand bar-
dziej, więc chociaż czasami pisze o "ulicy
Zgoda" /str. 592/ czy Chmielnej /str. 379,
592/, chętniej jednak stosuje peryfrazę
- pisze o "ulicy przy której mieści się
kino "Atlantic" /np. str. 254 i 259/. Może
być i tak, że da się wymienić nazwę ulicy,
a z nazwą samego kina gorzej, i w ten spo-
sób natykamy się w powieści na "wielkie
kino u zbiegu Puławskiej i Rakowieckiej"
/str. 308/. Ulica Twarda też pozostaje
przy swojej nazwie /str. 143 i 155/, a
Krajową Radą Narodową nasz autor najwyraź-
niej się nie przejmując.

Gdy rzecz dotyczy Feliksa Dzierżyńskiego,
"dumy polskiego ruchu rewolucyjnego",
trzeba już bardziej uważać i lepiej posłu-
żyć się omówieniem:

"wolnym krokiem przeszedł długi plac
obramowany dostojną architekturą z cza-
sów Królestwa Kongresowego. Minął ogród
Saski i dotarł do rogu Królewskiej i
Marszałkowskiej".

A jeżeli jest skrajnie niebezpieczeństwo,
Tyrmand robi się jeszcze ostrożniejszy,
ale nie przestaje igrać z ogniem:

"Randka w tej kawiarni naprzeciwko -
wskazał ręką kawiarnię na rogu Alei
i Placu Trzech Krzyży".

Otóż te Aleje, Ujazdowskie skądinąd, które-
dy bohaterowie powieści ciągle chodzą,
bo jednym z ważniejszych miejsc jej akcji
jest Plac Trzech Krzyży¹⁰, nosiły podówczas
imię Józefa Stalina, imię dla autora "Złego"
niewymawialne.

Niezwykle interesujące, co się dzieje
w "Złym" z budową Pałacu Kultury, idącą
pełną parą ową wiosną 1954 roku; sytuując
akcję książki w śródmieściu wyjątkowo trud-
no byłoby ją ominąć, ale jeszcze trudniej
zaakceptować - przecież ten pałac, też
imienia Stalina, dar narodu radzieckiego,
ma pełnić na samym środku rolę swoistego
memento, znaku obcego panowania i to
tak usytuowanego, że lokalizacja wzniesio-
nej przez Mikołaja I warszawskiej Cytadeli
odznacza się na tym tle pewnego rodzaju
delikatnością uczuć właściwą temu monarsze.

Tyrmand dokonuje sztuki cyrkowej: coś
enigmatycznie wspomina o budowanym wieżow-
cu, natomiast z uporem zatwardziałego epika
ani razu, wspominając o tym miejscu Warsza-
wy, nie pominie określenia "największy
plac Europy". Zwróćmy uwagę na finezyjne
szyderstwo tego zabiegu: istotą projektu
Pałacu Kultury było ustawienie na środku
miasta największego, najwyższego, najbar-
dziej nad miastem całym górującego budynku
- podczas gdy określenia autora "Złego"
odwołują się do zupełnie innego znaczenia
całej tej operacji, eksponując w miejsce
wertikalnego - horyzontalne, mówiąc nie
tyle o budowie, co o niwelacji terenu,
zastąpieniu ogromnej części żywego i żywot-
nego śródmieścia odbudowującej się Warsza-
wy największą w Europie miejską pustacią.

Kiedy ów plac pojawia się w powieści
po raz ostatni, Tyrmand szyderczo kontras-
tuje go wprost z ulicą Moniuszki na której
przeznaczono "do rozbiórki ogromne siedziby
banków, instytucji oszczędnościowych i
towarzystw ubezpieczeniowych /.../ Lada

dzień miały zniknąć, ustąpić planowej odbudowie jak resztki symbolów finansowej potęgi z przedwczoraj. Był to jeden z ostatnich rezerwatów mroku i cienia wśród wielkomiejskiej, rozświetlonej płaszczyzny największego placu w Europie".

A przecież w momencie, kiedy Tyrmand "Złego" pisze, jedynym cenzuralnym uczuciem, jakie mógł być budzić w warszawiakach Pałac Kultury, była głęboka wdzięczność dla narodu radzieckiego i jego wielkiego przywódcy, a były to czasy, kiedy cenzura nawet bardziej zajmowała się dopisywaniem, niż usuwaniem, w związku z czym wyczyn Tyrmanda zasługuje na tym większą uwagę. W tej książce - z punktu widzenia obowiązujących w tamtej epoce standardów - właściwie nie ma nic, co powinno było się w niej znaleźć i wydaje się, że uszło to autorowi na sucho dlatego tylko, że szaleńcze rozkiełznanie najbardziej nieprawdopodobnych elementów fabuły dokumentnie ogłupiło cenzorów - i na skutek tego nie zdołali dostrzec metody, jaka tkwiła w tych szaleństwach.

Nie wiemy, jak wyglądała praca nad cenzorskim poprawianiem "Złego" - Tyrmand nie zostawił na ten temat żadnego wspomnienia i można tylko próbować wyprowadzać z tego wnioski, że nie był z siebie dostatecznie w tej sprawie zadowolony, że ustępował, skreślał i dopisywał. Jeśli tak rzeczywiście było, jeśli wstydził się swoich ustępstw, to i tak nie miał racji o tyle, że w tak naturalnej dla pisarza konkurencji walki z cenzurą pobił wszystkich swoich kolegów na głowę.

Jeśli dzisiaj, po trzydziestu paru latach próbuje się czytać tę książkę z intencją odnalezienia w niej opisu realiów tamtej epoki, nie ma najmniejszych trudności z oddzieleniem tego wszystkiego, co jest przeznaczonym dla cenzora naddatkiem; jest to zresztą, nawiasem mówiąc, dobry miernik skali umysłowego szaleństwa, jakie wówczas było powszechnym udziałem.

Świadectwo, jakim jest "Zły", jest oczywiście ubogie, bo możliwości robienia balona z odpowiedzialnych towarzyszy nie były jednak nieograniczone - ale przy swoim ubóstwie jest to świadectwo elementarne, próba dokonania wyłomu we wszechogarniającym charakterze ówczesnego "zakazu fotografowania". Bardzo wielu rzeczy nie można było opisać w ogóle - przede wszystkim nie można było opisać normalnego człowieka tak, jak powinno się opisywać bohatera literackiego.

Kilkunastoletnie perypetie z "Miazgą" Andrzejewskiego, której najbardziej niecenzuralną częścią były zamykające powieść życiorysy zaludniających ją postaci, pozwalają bardzo wyraźnie zobaczyć, że to, co przez całe dziesięciolecia usiłowano wyprawić z polską historią, owocowało w literaturze ograniczeniami w zakresie budowania życiorysów jej bohaterów; w okresie, kiedy Tyrmand pisze "Złego", praktycznie żaden dający się osadzić w historii życiorys nie był dla cenzury akceptowalny.

Wszystko, co działo się przed wojną bądź w jej trakcie było dla konstruującego życiorys postaci literackiej pisarza jedną wielką dżunglą pułapek - kandydat na postać pozytywną z jednej strony powinien bowiem koniecznie być komunistą, ale przecież nie mógł nigdy należeć do "przeżartej prowokacji" KPP, a z PPS nie było ani trochę mniej niebezpieczeństwo. Trzeba więc było tak jakoś kręcić, żeby tych życiorysów nie było, albo było jak najmniej, albo łączyć na całego; Tyrmand w bardzo jaskrawy sposób daje do zrozumienia już na pierwszej karcie książki, gdzie wymienia nazwiska i profesje jej bohaterów, że nie będziemy mieli do czynienia z autentycznymi postaciami, że w opisach ludzi będzie obowiązywać w powieści najdalej obowiązująca umowność. Juliusz Kalodont, Fryderyk Kompot, Filip Merynos - takie nazwiska mają nas o tym bez reszty przekonać.

W finale książki autor ujawnia, że ów Merynos, główny szwarccharakter powieści, w istocie nazywa się inaczej, a mianowicie Buchowicz - i to jest kolejny żart, bo ten Buchowicz musi być niewątpliwie jakimś kuzynem Mickiewiczowskiego Buchmana, co w tej powieści oznacza autorskie rozłożenie rąk nad niemożliwością skreowania bardziej do prawdy niż do książkowych wzorów podobnego bohatera.

Wielu krytyków gromiło Tyrmanda za podjęcie roli barda marginesu społecznego - ale jakie to niezwykle nieporozumienie! "Zły" napisany został przez estetę, i jeżeli zechce się czytać go bez złości i zawiści, jaka charakteryzowała odczytywanie książki przez kolegów-literatów, widać to od pierwszej strony, na której znajduje się opis staroświeckiego wnętrza apteki na Placu Trzech Krzyży, która nie padła "pod obuchem odbudowy" a zwalona została dopiero w epoce gierkowskiej.

Oskarżanie Tyrmanda o naruszanie reguł dobrego smaku było zajęciem tych, o których tak pisał współczesny poeta:

"Czytaj ich wiersze i znajdź tu choćby
strzęp tego życia prawdziwy.

Tu huczy jarmark estetów! Chodźmy
już lepiej między pokrzywy.

Bo "Zły" to też powieść dla dorosłych, a nie dla pryszczatych "gówniarzy", książka wymagająca zrozumienia, że pokrzywy są - mimo wszystko - i lepsze i ładniejsze od kandelabrow.

Pisarz wyraźnie smakuje w utrwalaniu obrazu warszawskich ulic, tych starych i prawdziwych, tych, których dzisiaj już w większości nie ma. Przecież ten "największy plac w Europie", Plac Józefa Stalina, jak się podówczas nazywał, plac, z którego wielkości Tyrmand tak szydzi, został zbudowany kosztem zwalenia kawału śródmieścia stolicy. "Widzę i opisuję, bo tęsknię po

tobie". Wielka, Zielna, Śliska - tyle z nich zostało, ile Tyrmand opisał. A jeżeli jego powieść nie ma jeszcze większych watorów dokumentacyjnych, to dlatego tylko, że, jak wspominaliśmy - ukazała się równocześnie z referatem Chruszczowa; gdyby Nikita Siergiejewicz trochę się spóźnił, "obuch odbudowy" roztrzaskałby jeszcze kawał opisaną przez Tyrmanda Warszawę. W roku 1954 nie warto było wdawać się w spekulacje na ten temat - skoro można było opisywać Warszawę, póki istniała. Można było?

Jan Walc

Referat wygłoszony na sesji naukowej "Dokument a literatura" na Uniwersytecie Jagiellońskim 18 maja 1988 r.

1/ por. "Twórczość" nr 4/1962.

2/ "Niektórzy zachwycają się 'prawdziwym' obrazem Warszawy podanym przez Tyrmanda. /.../ Któż z bywalców Bristolu czy Rarytasu pozna w czarodziejskich pałacach odmalowanych przez autora 'Złego' nasze bardzo ponure knajpy, zimne, puste, w których bardzo źle i niechętnie żywią człowieka. I tak we wszystkim." - pisze znany z bezkompromisowego przedstawiania naszej rzeczywistości Jarosław Iwaszkiewicz. por. "Trędowata naszych czasów", "Życie Warszawy", 25-26 marca 1956.

3/ por. "Res Publica" nr 6/87 str. 67-78

4/ "Żywot i myśli Józefa Podfilipskiego" wydano w PRL po głębokim namyśle w roku 1972, a swoją drogą to chyba nieprzypadkowa aluzja do tak głośnej a zarazem dwuznacznej książki, o którą zawsze się spierano nie

30

wiedząc, czy jest raczej peanem czy też może bardziej paszkwilem.

5/ Choć właściwie nie należy to do rzeczy, trzeba tu zrobić przypis następujący: Kornel Makuszyński zmarł w roku 1953, nie doczekawszy swojego wielkiego come backu, ale za to Marian Walentynowicz domalował Pałac Kultury na obrazkach do "Koziołka Matołka". Uwagę na ten fenomen zwrócił mi dr Piotr Łukasiewicz, któremu w tym miejscu dziękuję.

6/ por. "Express Wieczorny" nr 92, 17 kwietnia 1956 r.

7/ wszystkie cytaty ze "Złego" wg wydania IV, Warszawa 1966. Tu str. 823.

8/ por. str. 228.

9/ por. str. 436. Opuszczanie nazwy "Aléi" stosuje zresztą Tyrmand każdorazowo, kiedy o nich mowa.

10/ Zaznaczamy tu dla porządku, że jest to rejon, w którym podówczas Tyrmand mieszkał.

11/ por. str. 128, 198, 214, 255, 273, 298, 682. Określenie to spopularyzował Konwicki, którego bohaterowie są stale jakoś przez Pałac Kultury prześladowani - mało kto jednak pamięta, że określenie to w funkcji szyderstwa pierwszy w naszej literaturze zastosował Leopold Tyrmand.

12/ por. str. 682.

FUNKCJE WIADOMOŚCI PRASOWYCH W LITERATURZE

I

Ten niewielki problem jest ważny dla badacza literatury z kilku względów. Sposób wykorzystywania wiadomości prasowych, stosunek do języka gazet, jest istotnym aspektem warsztatu nie tylko realistycznych pisarzy; bywa źródłem rozmaitych technik artystycznych i metod kompozycji; staje się sygnałem zastosowania jednej z wielu możliwych mimetycznych strategii. Pozwala także na uzasadnione wnioskowanie o wpisanych w dzieło koncepcjach literatury i rzeczywistości oraz rozumieniu wypełnianych przez nich funkcji. Nie mniejszą wagę niż dla poetyki i teorii ma rozpatrzenie owego problemu dla historii literatury. Nie cofając się do zbyt odległej przeszłości /choć jest ona bezprzecznie warta osobnej uwagi i nie bez znaczenia dla obecnego stanu rzeczy/ nie sposób nie zauważyć, że przynajmniej przez ostatnich lat osiemdziesiąt, w dziejach różnych kierunków awangardy, socrealizmu, neoawangardy i współczesnej literatury relacje między poezją i powieścią a gazetą, literackim świadectwem a prasowym źródłem należą do zagadnień kluczowych, a ich konkretne - zarówno pozytywne jak negatywne - rozwiązania są wyrazistym i bogatym informacyjnie wskaźnikiem podstawowych, estetycznych, kulturowych i światopoglądowych opcji.

Problem to zatem nie tylko ważny ale też złożony i obszerny. Toteż nie usiłując nawet rozpatrywać go tu bardziej szczegółowo, spróbuję jedynie krótko wskazać na za-

się i ważniejsze literackie stanowiska ujmowania owych zjawisk oraz sformułować kilka wniosków o bardziej ogólnym charakterze na temat funkcji pełnionych przez wiadomości prasowe w XX-wiecznej literaturze, jak też wynikających z tego implikacji dla statusu, charakteru i znaczenia samej literatury.

Rolę pełnioną przez wiadomości prasowe w dziejach literatury porównać można w zasadzie do roli, jaką odgrywała i odgrywa fotografia w plastyce, oraz jej poprzedniczka camera obscura, znana i wykorzystywana przez najwybitniejszych twórców przynajmniej od renesansu. Z tego względu warto w paru zdaniach przypomnieć te dzieje.

Po wynalezieniu techniki fotograficznej malarze zaczęli regularnie i powszechnie posługiwać się zdjęciami, głównie w celu bardziej wiernego, konkretnego czy obiektywnego przedstawiania rzeczywistości /jak w przypadku realistów, naturalistów i impresjonistów/, lecz niekiedy także by osiągnąć efekt sztuczności, upozowania i czystej dekoracyjności /jak np. w malarstwie prerafaelitów/. Mimo wielkich korzyści czerpanych z fotografii i jej oczywistych zasług, malarze właściwie aż do czasów awangardy nie byli jednakże skłonni uznać jej za pełnoprawny, autonomiczny oraz artystyczny środek odtwarzania rzeczywistości. Traktowali ją natomiast jako środek czysto techniczny i neutralny; stanowiący niezbędne narzędzie warsztatowe w uzyskiwaniu efektu iluzji realności, uzupełniające bowiem niedoskonałości indywidualnego widzenia obiektywnym mechanizmem optycznego odbicia, przy czym różnica między percepcją fizjologiczną a optyczną nie była dostrzegana. Sytuacja ta zmieniła się raptownie w okresie awangardy. Fotografia, wcześniej niszczone czy ukrywana po jej wykorzystaniu, teraz staje się ważnym komponentem

konstrukcji plastycznej. W malarstwie futurystów, kubistów, dadaistów, surrealistów używana jest zarówno w swej funkcji rzeczowej /jako przedmiot gotowy czy znaleziony/ jak i ze względu na swą "magiczną" aureę ewokowania realności, płynącą z rzeczywistego związku z przedmiotem. Bywa składnikiem technik kolażu, assamblage'u, fotomontażu /i wszystkich form pochodnych/, by w czasach pop-artu i hiperrealizmu zdominować całkowicie sztuki plastyczne. Susan Sontag w książce "O fotografii" pisze z tej okazji o "deplatoniczności" naszego rozumienia świata, którego nie można już ujmować w kategoriach opozycji oryginału i kopii; rzeczy i jej obrazu.

Podobnie do fotografii, także wiadomości prasowe mają swoją prehistorię. André Jolles uznał "memorable", łaciński odpowiednik greckich "apomnémoneumata", za wczesne formy aktualizacji jednej z "prostych form" potencjalnie istniejących w języku. Literatura też od początku z nich korzystała /kopiarusze czy notatniki służyły ich gromadzeniu i zachowaniu do przyszłego wykorzystania/, sama ze swej strony pełniąc wielokrotnie funkcje przekazu aktualnych wiadomości. Narodziny nowożytnej powieści zbiegają się z narodzinami prasy; osobliwość i złożoność ich wzajemnych związków w tym okresie ciekawie scharakteryzował ostatnio Lenard J. Davis w "Factual Fictions". Z jakościowo nową sytuacją mamy do czynienia w czasach realizmu i naturalizmu; tu dominacja gatunku powieściowego, jego autonomia i nowa estetyka zbiega się ze skutkami "komunikacyjnej rewolucji" - gwałtownym rozwojem prasy jako powszechnie dostępnego środka przekazu i rozpowszechniania informacji oraz powstaniem autonomicznych gatunków prasowych, takich m.in. właśnie jak wiadomości prasowe.

Podobnie też jak w przypadku fotografii, wiadomości prasowe, acz chętnie i powszechnie wykorzystywane, traktowane były zasadniczo jako czysto techniczna pomoc i niezbędny składnik pisarskiego warsztatu: dostawca aktualnych tematów; źródło informacji społecznej i politycznej; szablon neutralnej, "przezroczystej", czysto referencjalnej techniki narracyjnej; wreszcie jako niezastąpiona skarbnica autentycznych szczegółów, którymi tak obficie zwykli męblować świat swych powieści pisarze tego czasu. Służąc osiągnięciu efektu naturalności, referencjalnej iluzji, wiadomości prasowe mogły być też przedmiotem rozważań i środkiem charakterystyki językowej postaci, nie wkraczały jednak zasadniczo jako odrębny, autonomiczny typ dyskursu na teren języka narracji; różnica zaś między subiektywnym doznaniem, indywidualnym punktem widzenia a anonimową, instytucjonalnie zhomogenizowaną relacją o faktach była zacierana czy nie dostrzegana, czemu sprzyjało z pewnością poddanie obu dziedzin władzy publicznej opinii. Powieść uznawała w niej kryterium prawdopodobieństwa i spectrum możliwej /dopuszczalnej/ różnorodności społecznie usankcjonowanych racji. Prasa zaś była po prostu jej organem, jak też narzędziem mediatyzacji i osiągania consensusu ściągających się publicznych stanowisk i postaw.

Harmonijna współpraca literatury i prasy w owym czasie przekształcała się w ostry antagonizm w okresie modernizmu, wyrażający się m.in. w Mallarmé'ańskiej opozycji między Gazetą a Księgą, "powszechnym reportażem" z codzienności a symbolicznym szyfrem transcendencji. Literatura miała tu bowiem zasadniczo odkrywać nowe formy ujmowania istotnej rzeczywistości; gazeta zaś ciągle nową rzeczywistość kategoryzować zwykła

w formach ustalonych, skostniałych i niezmiennych. Awangarda, znowu podobnie jak w przypadku fotografii, ostentacyjnie wprowadza "gazetę", a wiadomości prasowe w szczególności, w dziedzin sztuki. W poezji Cendrarsa, Apollinaire'a, futurystów czy Majakowskiego, w prozie Joyce'a, Orwella, Dos Passosa, Döblina, Pilniaka, futurystów, dadaistów, surrealistów /później m.in. Williamsa, Sartre'a, nowej powieści, hiperrealistów i postmodernistów/ wiadomości prasowej i jej formom pokrewnym bywa nadawany po prostu status dzieła sztuki, częściej - cytowana w całości lub częściowo - jest komponentem dokumentalnych montaży, literackich konstrukcji kolażowych czy perswazyjno-krytycznych pisarskich strategii. Jako "wycinek z gazety" jest przedmiotem gotowym przeniesionym z realnego świata i dokumentem minionej aktualności; jej wiarygodnej prawdziwości lub ideologicznego zafałszowania. Jako przekazana informacja denotuje rzeczywistość z niezwykle sugestywnością "wiadomości złej czy dobrej ale zawsze prawdziwej", bądź przeciwnie: może rzeczywistość zniekształcać lub fingować, gdy "prasa kłamie" poddana polityczno-ideologicznym celom. Jako szczególny gatunek językowego przekazu wreszcie może być wzorcem rzeczowości albo też przykładem "drętej mowy", głosem rzeczywistości bądź szablonem, dopasowującym rzeczywistość do swych gotowych, prefabrykowanych form artykulacji. W każdym z aspektów i sposobów wykorzystywania wiadomości prasowe występujące w literaturze stawiają nas wobec syndromu jej związków z rzeczywistością, a więc również warunków i możliwości jej dokumentalnego wymiaru.

Choć charakterystyce wiadomości prasowych, ich strukturze i funkcjom poświęcono już liczne prace /spośród których wymienić trzeba przynajmniej wydane w latach 80-tych studia van Dijka i jego współpracowników/, w niewielkim tylko stopniu można je tu wykorzystać. Idzie mi bowiem nie tyle o opis "macierzystych" niejako funkcji wiadomości prasowych, związanych z ich właściwym powołaniem i zadaniami, co o ich artystyczne zrefunkcjonalizowanie, tj. o uchwycenie tych funkcji, jakie uzyskują jako komponenty dzieła literackiego; nie o to więc czym są, lecz za co uchodzą, jako co są uznawane, pojawiając się w literackim kontekście. Siedem wyróżnionych poniżej funkcji nie może mieć, oczywiście, charakteru kompletnej, wyczerpującej listy - ma też jedynie postać katalogu obejmującego, jak sądzę, podstawowe zróżnicowania. Zajmuje mnie tu funkcjonowanie wiadomości prasowych w polskiej literaturze XX wieku, przeto do niej ograniczam przykłady i komentarze - acz niewątpliwie byłoby nie tylko możliwe ale i pożyteczne scharakteryzowanie występowania wyróżnionych tu funkcji na materiale innych literatur.

/1/ Po pierwsze można mówić o funkcji ewokacji realności, wyzyskującej mającą w sobie coś z magii iluzję "czystej referencjalności" wiadomości prasowej, która zdaje się jedynie oddawać głos "nagim faktem" rzeczywistości. Ten osobliwy status wiadomości prasowej ilustrują doskonale znane fragmenty "Prologu" do "Pieśni o głodzie" Brunona Jasieńskiego:

w wielotysięcznych, stuulicznych miastach
wychodzą codziennie tysiące gazet,
długie, czarne kolumny słów,
wykrzykiwane głośno na wszystkich bulwa-
rach.

Piszą je mali, starsi ludzie w okularach.
nieprawda.

pisze je Miasto
stenografią tysięcy wypadków
rytmem, tętnem, krwią.
długie czterdziestospaltowe poematy.
wystukują je stutysięczne aparaty,
które słyszą puls świata za miliony mil,
agencje reutera, havasa, paty,
długie, kilometrowe papierowe zwitki.
komunikaty.

miasto słyszy wszystko

/...../
oto jest prawdziwa gigantyczna poezja.
jedyna, dwudziestoczęterogodzinna, wiecz-
nie nowa.

która działa na mnie, jak silny elektry-
czny prąd.

jak śmieszne są wobec niej wszystkie
poezje.

poeci, jesteście niepotrzebni!

Jest to poezja prawdziwa, gdyż przekazuje
prawdziwe, wiarygodne i sprawdzone wiado-
mości; i jest to prawdziwa poezja, gdyż
jest "pismem Miasta", bezpośrednią mową
cywilizowanego świata. Jeśli symboliści
poszukując owej mowy świata dochodzili do
milczenia jako mistycznego doświadczenia
objawiającego pierwotny język rzeczy, to
futurystyczni awangardziści z prostodusznym
entuzjazmem odkryli go w bełkotliwym zgieł-
ku i wrzawie telegraficznych doniesień.
Szczególna, sugestywna aura ewokacji real-
ności, ma tu swe źródło, jak sądzę, nie
tyle w prawdziwości samego odniesienia,
co w przekonaniu o ugruntowaniu go na inde-
ksalnym stosunku do obiektu, tj. na istnie-
niu faktycznego, realnego związku między
telegraficznym "pismem" a "Miastem". Wiado-
mość, najprościej biorąc, to tyle, co prze-
kazana informacja; informacja zakwalifiko-
wana jako prawdziwa i aktualna, jej przekaz

zaś uznany za neutralne, "przezroczyste" medium - cechy te gwarantować i chronić mają reguły i normy zinstytucjonalizowanego systemu przekazu i rozpowszechniania informacji. Podwójna indeksalna więź łączyć więc winna wiadomość ze światem: bo bez zdarzenia nie byłoby informacji o nim /czy nie powinno być - etyka zabrania cokolwiek zmyślać, dopuszcza w założeniu tylko wiadomości sprawdzone, np. przez sieć anonimowych korespondentów/; ale także bez istnienia instytucji gromadzenia i rozpowszechniania informacji nie doszłoby do jej przekazu. System ten w tej samej mierze, co wydarzenie jest realnością społecznego świata; "Miasto" jest bowiem tyleż miejscem wydarzeń, co kanałem transmisji i źródłem przekazu informacji o nich.

Funkcję tę pełni wiele cytowanych wiadomości prasowych: w poezji i prozie /"Palę Paryż"/ Jasieńskiego, w wielu wierszach /zwłaszcza z tomu "Bieg do bieguna"/ Sterna, w "Mirandzie" Langego, futurystycznych powieściach /"Kim był Andrzej Panik", "SOS"/ Kurka, "Martwym morzu" Zegadłowicza, i wielu innych późniejszych utworach. Jest to funkcja bodaj najpowszechniej występująca, a także podstawowa; jako funkcja najczęściej zakładana u czytelnika, i ta na której i dzięki której inne funkcje mogą być wprowadzane. Zdaje się, że owa ewokacyjna aura nigdy nie znika całkowicie, acz bywa tłumiona czy pasożytniczo wykorzystywana w okresach gdy "prasa kłamie" /czego klasycznym przykładem są "Opowiadania z książek i gazet" Borowskiego/, by z tym większą siłą wystąpić jako atrybut wiadomości prasowych drugiego obiegu. Ze specjalną odmianą tej funkcji mamy do czynienia w przypadku wykorzystywania starych gazet i "przedawnionych wiadomości" jako dokumentu minionej aktualności, ewokującego aurę osobliwej historyczności czy uprzy-

stępującego doświadczenie czasowości - jak to się dzieje w twórczości Miłosza, Kuśniewicza, po części Różewicza, Mrożka czy Mackiewicza.

/2/ Po drugie można mówić o funkcji estetyzacji rzeczywistości. Wszystko może być sztuką - głosili awangardziści a tym bardziej neoawangardziści; więc i ready made, wycinek prasowy jako przedmiot gotowy czy znaleziony może zostać wyobcowany ze swego dotychczasowego kontekstu i wprowadzony w kontekst sztuki, która, ze swej instytucjonalnej mocy, może nadać mu status dzieła literackiego, uwydatniając jego formalną organizację, dramatyczność, wzniosłość czy groteskowość. "Prasowa" strukturalizacja rzeczywistości odsłania tu swą sztuczność /nie-neutralność formy przekazu/, co umożliwia jej estetyczne zrefunkcjonalizowanie. Tak więc najpierw J.N. Miller, w sposób przypominający modne w latach 60-tych "destrukty", konstruuje wiersz "Wyrok"; potem Peiper, podobnie jak później Różewicz w "Zielonych groszkach" /choć nie całkiem dla tych samych celów/, rozpisuje zwykle ogłoszenie prasowe na wersy, eksponując jego "poetyckie" nacechowanie /idzie mi tu o przykłady w szkicu "Rytm nowoczesny"/, wreszcie Brzękowski w "Walce policji z bandytami" reprodukuje notatkę prasową czyniąc z niej niegdyś groteskowo-pastiszową scenkę dramatyczną, co mutatis mutandis przywodzi na myśl praktykę Kornhausera z jego "Notatki prasowej" /choć oczywiście w przypadku tego ostatniego kontekstem bliższym jest poetyka Różewicza, Williamsa i hiperrealistów/. Funkcja ta, jakkolwiek niezbyt często się przejawiająca, jest łatwo uchwytna dzięki skrajności i prostocie rozwiązania, i chętnie opisywana; prócz krytyków, teoretycznym aspektem utworów

40

tego rodzaju poświęcili uwagę m.in. Genette, Culler i Hernstein-Smith.

/3/ Po trzecie, wyróżnić trzeba funkcję instrumentalną. Mamy z nią do czynienia w przypadku wykorzystywania wiadomości prasowych w celach zarówno artystycznych, jak poznawczych czy perswazyjno-ideologicznych; w każdym razie traktowane są tu one jako repertuar danych faktograficznych i technik przekazu oddanych do swobodnej dyspozycji podmiotu. Nawet Peiper, odrzucający początkowo zdecydowanie ów "inwentarz świata" w imię jego "składni" skorzystał w "Kronice dnia" i "Na przykład" z możliwości artystyczno-ideologicznego oddziaływania, jaki dawała ta metoda montażowego kolażu. "Świat inwentarza" to - jak w gazecie - świat zdekontekstualizowanych i nie powiązanych wzajemnie obiektów i zdarzeń, podatnych na rearanżację czy manipulację /poprzez selekcję, zestawienie, rekontekstualizację itp./. Korzystali też z tych możliwości futuryści i artystyczni propagandiści, surrealiści i skamandryci oraz niestowarzyszeni: m.in. Stern, Jasieński, Peiper, Brzękowski, Strug /"Zakopanoptikon"/ i Chwistek /"Pałace Boga"/. Jak się zdaje najwybitniejszym dziełem korzystającym z tej metody pozostał z czasu międzywojnia Tuwimowski "Bal w Operze". Z okresu powojennego zakres możliwych rozwiązań ilustrować mogą przykłady z twórczości pisarzy tak różnych jak Borowski, Mackiewicz, Różewicz, Buczkowski... aż do Andermana i Skrzyposzka. Funkcja ta rzadko dominuje, częściej jest komponentem ostatecznego efektu, nie jest też samodzielna; z konieczności zakładać musi u czytelnika wstępne działanie funkcji ewokacyjnej, na której pasożytuje. Korzysta z aury wiarygodności prasowego przekazu, czy ogólniej, z czysto dwudziestowiecznej wiary w gazetę. Jak spo-

strzegł w "Bezrobotnym Lucyferze" Wat, tak jak "książka jest religią dla jednostek, gazeta jest religią dla mas. Wiara jest wiecznie ta sama; zmienia się tylko jej przedmiot. Dziś kościołem jej jest prasa. /.../ wiara w prasę jest wiarą XX wieku. Potęga jej sugestii jest niewymowna. Jak każda religia, określa stanowisko jednostki we wszechświecie. Jak każda religia, jest opoką, która wspiera ustrój państwowy".

/4/ Po czwarte, wyodrębnić należy funkcję modelującą; układ i charakter wiadomości w gazecie modeluje obraz świata na swe podobieństwo. Jak zauważył Karel Čapek, "w każdym porannym wydaniu prasy codziennej świat przekształca się w dżunglę, w której czyhają na nas niezliczone niespodzianki, niebezpieczeństwa i wydarzenia epickie". Gazeta definiuje rzeczywistość jako nieustannie zmienną mozaikę fragmentarycznych i zatomizowanych, niezwykle i równocześnie przebiegających wypadków. Tę funkcję musieli m.in. mieć na względzie futuryści, wydając swe jednodniówki w formie gazety. W tej funkcji po części wykorzystał gazetowe wiadomości i gazetowy obraz świata Peiper w "Kronice dnia"; a także Roman Jaworski w "Weselu hr Orgaza", gdzie m.in. cały rozdział skomponowany został z imitacji i parodii wiadomości prasowych; oraz Tadeusz Kudliński w "Wygnańcach Ewy", gdzie w sposób zbliżony czasem do Dos Passosa a czasem Döblina wprowadził leitmotivowe sekwencje zbudowane z nagłówków gazet, ogłoszeń i anonimowych faktograficznych relacji. Jak świadczy też np. Słonimskiego "Dokument epoki", gazetowy obraz rzeczywistości nie był wówczas tylko własnością awangardy - wyrażał raczej powszechnie podzielane jej odczuwanie i przedstawianie.

Obraz ów stać się też może przedmiotem zasadniczej krytyki, gdy jego deformujący

i restrykcyjny charakter wychodzi na jaw: gdy okazuje się, że jest on nie tylko gazetowy /wymodelowany na jej wzór/, lecz że jest to również obraz pewnego /nie całego, publicznego, nie naszego/ świata. Fakt ten jest zresztą pochodną elementarnych cech właściwych wiadomościom w ogóle: skoro wiadomości mówić mają o tym, co nie zwyczajne i informacyjnie nie znane, to w konsekwencji dzielić będą świat społeczny na dwie nierównorzędne i odmiennie wartościowane dziedziny - sferę tego, czemu należy się uwaga, przekaz i publiczne skomentowanie oraz sferę tego, co z jakichś względów nie warte wzmianki. Kryteria zaś decydujące o uwzględnieniu bądź zignorowaniu wydarzeń nie bywają ani jasne ani ujawniane. Z perspektywy czytelnika rzecz natomiast można, że wiadomości tyleż ogniskują, co odciągają uwagę: skupiają uwagę na świecie uznanym i modelują go jako oficjalny obraz całości - tym samym jednak odciągają uwagę od nieuprzywilejowanej informacyjnie, nieoficjalnej społecznej rzeczywistości, która - dosłownie i w przenośni - jest nie dopuszczana do głosu i nie przyjmowana do wiadomości. W skrajnej postaci ujawniają się te cechy gazetowego modelu rzeczywistości, gdy wspomaga go następna, niżej omówiona funkcja.

/5/ Zapewne nigdy wcześniej i jak dotąd też nigdy później nie miała gazeta a w niej prasowe wiadomości tak uprzywilejowanego statusu jak w literaturze, socrealistycznej sześciolatki. Dzieje, Iskry, „Zwiazdy” i „Prawdy”, opisane w Krótkim Kursie WKPb były tego wymownym przykładem. W literaturze socrealistycznej przypadła jej też rola bezdyskusyjnego autorytetu, który przecina spory, rozwiązuje intrygę, wyjaśnia i umożliwia właściwą ideologicznie ocenę sytuacji. „Czyż nie jest rzeczą bezsporną - pytała

retorycznie Melania Kierczyńska - że dziś najsilniejszych - właśnie poetycko, artystycznie najsilniejszych - wzruszeń dostarcza nam gazeta, że dostarcza ich najprostszą, gołą relacją o głębi przemian, jakim uległ człowiek pracy w Polsce?". I dopowiadała: "Ale z relacji gazety monumentalność przemian nie każdemu odsłoni się dość jasno, dość jaskrawo - sztuka ma tu możliwości większe". Uwaga zrównująca poezję z gazetą zdaje się brzmieć podobnie, jak futurystyczna jej apologia; wyraża jednak całkiem odmienne ujęcie jej funkcji. Nie jest bynajmniej "pismem Miasta", doskonale wierną rejestracją sygnałów społecznego świata, lecz wzorcowym przykładem; tyleż dla rzeczywistości /która możliwie szybko winna się upodobnić do przekazywanego jej obrazu/; co dla literatury - która z konieczności oddziaływania na niewychowanego jeszcze dostatecznie odbiorcę musi być kultywowana jako jej niedoskonała literacka realizacja /fabularna parafraza i pośrednie, fikcyjne uzmysłowienie ideologicznych racji/.

Wiadomości prasowe pełnią tu więc, po piąte, funkcję ideologicznego wzorca czy też obrotowego ideału: rzeczywistość winna się dostosować do informacji o niej; literatura zaś - do gazetowego przekazu tych informacji. W tym kontekście właśnie specjalnej uwagi wymagają "Opowiadania z książek i gazet" oraz "Mała kronika" Tadeusza Borowskiego; teksty niezwykle ważne m.in. dla poznania sposobu wyzyskiwania funkcji wcześniej wspomnianych dla celów tu omawianej; teksty, w których ostentacyjnie ujawnia pisarz mechanizmy owej, jak ją określał, "wielkiej sztuki, retoryki naszych dni", będącej wszak wówczas strategią nie tylko literatury czy publicystyki, lecz i języka władzy. Ta funkcja wiadomości prasowych jest w ramach perswazyjno-ideologicznej

44

strategii pisarskiej dominująca i podstawowa z nieprzypadkowych powodów. Ideologie bowiem, jak spostrzegł Alvin Gouldner w "The dialectic of ideology and technology", "nigdy nie opierają się na niezinterpretowanym życiu codziennym, ani też nie są po prostu oparte o ustne interpretacje codziennego życia artykułowane w potocznych językach. Ideologie zawsze wyrażają implícite te publikowane interpretacje codziennego życia, które zwane są "wiadomościami". Nie są one zatem jedynie komentarzami o tym, co się wydarzyło, lecz również o tym, co wiadomości mówią, że się wydarzyło. Ideologie są zawsze tyleż palimpsestowymi tekstami o tekstach, co odnoszącymi się do świata komentarzami o życiu".

/6/ Późniejsze zastosowania, jakie znajdowała współczesna, popaździernikowa literatura, jakkolwiek ważne i reprezentatywne byłyby to realizacje, są dobrze znane a także, co tu decydujące, wyprowadzalne zasadniczo z ujęć wcześniej omówionych. Pomijając je, chciałbym jednak zasygnalizować przynajmniej odrębność dwu jeszcze stanowisk: nowofalowej krytyki języka oraz praktyki Białoszewskiego. W poetyckiej działalności nowej fali, w twórczości Barańczaka, Krynickiego czy Karaska /a także po części w prozie Adermana, Pluty, Miszalskiego czy Skrzyposzka/ kulminuje wieloletni proces krytyki gazetowego języka, który zapoczątkowali pisarze poprzedniej generacji /przykładem niech będzie twórczość Mrożka poczynawszy od "Postępowca"/. Ich praktyka doczekała się już licznych i wnikliwych komentarzy, toteż nie wdając się w kolejne roztrząsania powiem krótko, iż wiadomości prasowe i język gazet w tym kręgu twórczości wykorzystywany jest, po szóste, w funkcji zepsutego narzędzia.

To metaforyczne sformułowanie pożyczam oczywiście od Heideggera, wedle którego, jak wiadomo, kiedy narzędzia nasze są sprawne - ich funkcje wyznaczają się celów i dążeń kategoryzujących świat życia codziennego w sposób, który dla działających w nim ludzi uchodzi za całkowicie neutralny, bezpośredni i właściwy obraz rzeczywistości. Kiedy zaś narzędzia się psują i dysfunkcjonalizują - ich kształtująco-deformujący charakter zostaje obnażony i może stać się przedmiotem krytycznej refleksji, a obraz ów "odkleja się" od świata, ukazując faktyczny stan rzeczy. Otóż gazetowy język w tej twórczości skupia na sobie krytyczną uwagę dlatego, jak sądzę, iż jego cechy uznane zostały za syndrom symptomów choroby, którą porażony został cały układ społecznej komunikacji. Język ów bowiem nie odnosi się już do rzeczy, symuluje przekaz i wymianę informacji, uniemożliwia swobodną ekspresję podmiotowości. Milczenie zaś o pomijanych aspektach życia wytwarza obszar "nieusankcjonowanej" i jakby "zdelegalizowanej" społecznej rzeczywistości, która, pod wpływem działania utajonej w języku zniewalającej perswazji, staje się trudna do dostrzeżenia, uświadomienia i zaakceptowania nawet dla ludzi żyjących w jej ramach. Jeśli zwykle język nas zdradza - mówiąc trochę więcej i co innego niż chcemy powiedzieć i co słusznie rzecz można, to tu, w swej "zepsutej" postaci, również sam język się zdradza - w tym, jak wyraża i tłumaczy, eksponuje i cenzuruje, deprawuje i ubezwłasnowolnia. Wykorzystywany jest też w tej literaturze przede wszystkim ze względu na swe indeksalne nacechowanie, powiązanie z siecią założeń, presupozycji, ocen i konotacji, które dokumentuje najlepiej jego faktyczne oblicze.

/7/ Na koniec wspomnieć chciałbym o praktyce Białoszewskiego. Nie po to, oczywiście, by przypominać znane fakty; dzięki analizom m.in. Michała Głowińskiego doskonale wiadomo, jak kluczową rolę odgrywają w "małych narracjach" Białoszewskiego struktury wydarzeniowe występujące w wiadomościach prasowych czy w Barthesowskich "fait divers". Chciałbym wskazać na coś innego; na to mianowicie, że narracje te ani nie są zbudowane na wzór wiadomości prasowych, ani z nich nie korzystają bezpośrednio, lecz przeciwnie - wiadomości prasowe /i język gazet/ występują tu, po siódme, zasadniczo w funkcji antywzoru pisarstwa Białoszewskiego, jego zaprzeczenia czy negatywu.

Prosty przykład wyjęty z "Pochwały prasy" Capka, ukaże najprościej elementarną różnicę, o którą mi chodzi:

"Niedawno jechałem tramwajem. W pewnym momencie coś zakotłowało się na szynach, motorniczy strasznie klnie i wściekle dzwoni, wóz nagle się zatrzymuje, wszyscy walimy się na plecy motorniczego, nie wiadomo skąd bierze się na szynach tłum ludzi, jakby wyrósł spod ziemi, dwóch strażników dźwiga jakiś ciężki pakunek do bramy, śmiertelnie blady motorniczy ociera pot z czoła i szuka policjanta; jest to jakiś dziwny surowy chaos, w którym się wszystko powoli i jakby gorączkowo rozpada; przez cały dzień nie mogłem się pozbierać. A tu nazajutrz czytam w gazecie: "Wczoraj o godzinie pierwszej na ul. Narodni třída tramwaj potrafił Františka S., księgowego zamieszkałego w Pradze. Lekko ранnego odwieziono na pogotowie ratunkowe, gdzie udzielono mu pierwszej pomocy". Tak, to wszystko, a ja zostałem wyzwolony z męczącego chaosu, którego doświadczyłem, w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że przypadek

jest, chwała Bogu, zwyczajny. Nie pozostało w nim ani szczypty gorączkowego chaosu. Otrzymał pierwszą pomoc - to jest normalizacja".

Jak łatwo spostrzec, twórczość Białoszewskiego jest wyraźnie kształtowana w trybie nieprasowych czy antyprasowych narracji /co uzmysławiają od razu takie pokrewne tematycznie wyżej cytowanemu przykłady jak choćby "Wstyd uliczny /wypadek/" z "Donosów rzeczywistości"/. Ekstrapolując to spostrzeżenie powiedzieć można w tym kontekście, iż świat Białoszewskiego jest zasadniczo rzeczywistością wykluczoną z gazety; typ narracji /eksponujący jej indeksalne nacechowanie, modalizacje oraz wagę pragmatycznego wymiaru znaczenia/ jest wykluczoną - z definicji - formą kształtowania prasowego komunikatu. Ale powiedzieć też można, iż po raz pierwszy w takiej skali, ów nieoficjalny, prywatny a represjonowany świat, znajdujący się poza zasięgiem gazety i jej "stadnej", fałszywie bezosobowej i obiektywnej mowy, dochodzi tu do słowa, mówi własnym głosem i - dzięki tej twórczości - przyjmowany jest do publicznej wiadomości. Ekscentryczne i marginalne, "nieistotne" eksperymenty Białoszewskiego kryją w sobie poważny ładunek wybuchowy, którego działanie z pewnością jeszcze się nie wyczerpało.

III

Pomijając potrzebną skądiną charakterystykę relacji między wyliczonymi funkcjami, które - jak można przewidzieć - po części współdziałają ze sobą, a po części podważają się wzajemnie, chciałbym w konkluzji sformułować jedną uwagę ogólną, która - jak mi się wydaje - nie narzuca

się na pierwszy rzut oka z tego wyliczenia.

Wiadomości prasowe, poza swą macierzystą przynależnością rodzajową i bieżącymi funkcjami, należą do korpusu przekazów źródłowych, obejmujących dokumenty życia społecznego. Ich wprowadzanie i przekształcanie w tekstach literackich może więc być traktowane jako konkretny przykład ukazujący faktyczne stosunki, jakie istnieć mogą między literaturą a piśmiennictwem dokumentalnym w ogólności. W tej perspektywie jest charakterystyczne, że wszystkie wymienione typy zastosowań wiadomości prasowych w literaturze /a zatem i rozmaite ich re-funkcjonalizacje/ nie naruszają ją zasadniczo ich dokumentalnego charakteru, acz definiują go za każdym razem odmiennie. W każdym przypadku chodzi tu bowiem o pewien rodzaj indeksalnej więzi, wiarygodność swą czerpiącej z realnego związku z obiektem, któremu dany tekst zawdzięcza swe powstanie; związku o charakterze nie koniecznie fizycznym, może on być także uprawnomożony zwyczajowo, instytucjonalnie, itp. W miarę tego, jak tekst literacki nabiera cech dokumentalnych - czego skrajną postacią byłaby tu wspomniana na końcu twórczość Białoszewskiego, przejmująca jakby na siebie ów aspekt źródłowy, który współczesne wiadomości prasowe zdają się tłumić czy zatracać w pewnym sensie - wzrasta znaczenie takich pisarskich strategii, które swą tekstową wiarygodność mogą wywieść z faktycznego udziału w tym, co przedstawione; sprawić, by mimesis była zarazem methexis.

Literackie dokumenty tego rodzaju tematyzują lub przynajmniej eksponują ogół kontekstowych i kontekstowych pośrednich odniesień, określających i równocześnie uwiarygodniających znaczenie referencjalne. Są tak zbudowane, by warunkiem poznania "pewnej prawdy o faktach uczynić w sposób

konieczny poznanie ich pragmatycznego /w szerokim rozumieniu/ uwikłania i zdeterminowania. Jest to jednak prawda pewna w obu zarazem znaczeniach; płynie bowiem z tego samego aktu przyświadczenia, który orzekając - relatywizuje ją jednocześnie. Jest to więc prawda i perspektywiczna, i zinterpretowana; prawda jakaś, czyjaś, kiedyś poznana, tak - nie inaczej - artykułowana; za którą zawsze ktoś lub coś stoi.

Ryszard Nycz

ANNA NASALSKA

PRZESTRZEŃ I IDEOLOGIA.

O PODRÓŻACH SOCREALISTÓW.

"Wszelki ruch wzdłuż płaskiej powierzchni nie dyktowany przez fizyczną konieczność jest przestrzenną formą wyrażania samego siebie, czy będzie to budowanie imperium, czy turystyka."

Trafność tej obserwacji Josifa Brodskiego unaocznia ze szczególną wyrazistością lektura pisarskich relacji z podróży. Ze sposobu patrzenia na świat, odczytywania jego sensów, jego literackiego przetworzenia, wpisanej w niej emocjonalności wyłania się przecież zawsze indywiduum podmiotu, wyrażającego siebie, już poprzez sam wybór kierunku peregrynacji. Swoiste ujednolicenie obrazu świata pojawia się w epokach, w których odgórna dystrybucja obejmuje zarówno kierunek podróży, jak i indywidualizm twórczy, ale nasuwające się przypusz-

czenie o dominacji schematu w tych opisach uzasadnione jest tylko częściowo.

Zamierzeniem szkicu jest spojrzenie na przestrzeń prezentowaną przez pisarzy podróżujących po świecie we wczesnych latach 50-tych. Obraz świata z ich relacji stanowi bowiem wypadkową różnych czynników istotnie wyróżniających epokę. Odbija się w nim zarówno polityczna szczególność czasu historycznego, jak i sytuacja odbiorcy tej literatury, konieczność uwzględniania zasad programu literackiego, jak i próby ocalenia artystycznej suwerenności. Jest to niewątpliwie przestrzeń porządkowana przez ideologię, ale i tutaj stopień ideologicznego nasycenia różnicuje się zależnie od osobniczej podatności na "potęgę smaku".

Przedmiotem uwagi są teksty powstałe w wyniku reporterskich podróży czołówki pisarzy realizmu socjalistycznego, m.in. Jerzego Andrzejewskiego, Jacka Bocheńskiego, Mariana Brandysa, Tadeusza Konwickiego, Jerzego Putramenta, Witolda Zalewskiego. Mapa wyjazdów obejmuje miejsca szczególnego nacechowania w strategii zimnowojennej: ZSRR, NRD, Chiny, Włochy oraz - stale obecne w perspektywie, choć nie odwiedzane - Stany Zjednoczone. Opozycję swą - obcy wyznacza cień żelaznej kurtyny.

Teksty kwalifikowane przez samych autorów jako reportaże i relacje zdradzają jednak ciążenie literackich schematów; świadomość pisarza wyzyskującego możliwości warsztatu literackiego góruje nad dziennikarzem rejestrującym fakty. Uderza brak formy dziennika; materiał porządkowany jest najczęściej tematycznie, a pojawiająca się chronologia mechanicznie odtwarza kolejność wydarzeń, obywając się bez dat, które mogłyby dokumentować ich autentyczność.

Zgodnie z duchem epoki, kształtującej nowy model człowieka społecznego, cel wy-

chowawczy także w tych utworach wysuwa się na plan pierwszy. Obiektem działań jest czytelnik, efektem końcowym powinno być uznanie przez niego nowej emocjonalnie mapy świata, z całkowicie różnym od dotychczasowego rozłożeniem akcentów sympatii i niechęci. Podejrzewano nie bez słuszności, że oficjalnie głoszony podział świata nie pokrywa się z odczuciem społeczeństwa, lokującego swoje sympatie po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Świadomość tego faktu zdaje się przyświecać autorom relacji, gdy różnymi sposobami starają się przede wszystkim rozbudzić nieufność odbiorcy wobec nowych przyjaciół; niejako przy okazji, na zasadzie narzucającego się kontrastu, deprecjonując tradycyjne związki z Zachodem oraz atakując z zawziętością na miarę rangi problemu - mit Ameryki. Nierzadko rzecz określa sam tytuł: dosłowny - "Wśród przyjaciół. Wspomnienia pisarzy z ZSRR", symboliczny - "Chleb i sól. Z chłopami polskimi u kołchoźników radzieckich", perswadujący - "Z życia NRD. /Dlaczego za Odrą mamy przyjaciół/", a także obojętne "Spotkania włoskie" czy zdecydowanie orzekające rozbrat - "Pożegnanie z Italią".

Nastawienie na odbiorcę ujawnia niewystarczalność dziennika jako formy otwartej, pozbawionej wizji całościowej, prezentującej świat niezinterpretowany i niejednoznaczny. Socrealistyczne relacje z podróży mają zilustrować założone z góry sensy; cały wysiłek ich autorów skierowany jest na ukrycie tego przed czytelnikiem i zmuszenie go do uznania porażającej wymowy faktów. Sądząc jednak z rodzaju argumentacji - pisarze nie przeceniają możliwości intelektualnych zakładanego odbiorcy; trudno powiedzieć, w jakim stopniu wynika to z przekonania o masowym zasięgu tej literatury, a ile w tym chęci zagłuszenia włas-

nych wątpliwości. Konieczność przekazania obrazu świata maluczkim odsuwa na plan dal-
szy komplikacje i usprawiedliwia uproszcze-
nia.

W wyjazdach grupowych głos ludu i repre-
zentację czytelników stanowią inni uczest-
nicy: chłopci, robotnicy, przodownicy pracy,
a także koledzy - pisarze; ich wrażenia
uwierzytelniają autorską relację, ale tak-
że tworzą wzrór percepcji, założony i pos-
tulowany model przeżywania. Unaocznia się
to szczególnie w relacjach z chłopskich
wycieczek do Związku Radzieckiego, w któ-
rych towarzyszący aktywistom wiejskim pi-
sarze dają wyraźne świadectwo pożądanej
przez Melanię Kierczyńską "partyjnej posta-
wy twórcy realisty socjalistycznego". Pro-
gramowe przekonanie, że "jedynie aktywne,
intelektualne i emocjonalne zespolenie
się ze sprawą przodującej klasy zapewnią
słuszne widzenie i rozumienie świata"¹,
realizuje się w "Chlebie i soli" Jarochow-
skiej czy "Urodzaju" Zalewskiego poprzez
narrację uwzględniającą punkty widzenia
różnych uczestników podróży, ukształtowane
przez różne mentalności i doświadczenia
życiowe.

"/.../ Ujrzał zaróżowione słońcem niebo,
a pod nim szeroką, ogromną równinę, taką,
jakiej nigdy u siebie w kraju nie widział.
Wzrok leciał daleko, prześlizgiwał się
po miękko falujących łanach, gdzieś tam
potykał się o kwadratowy dom pod płaskim
dachem, inny niż u nas. Ale mimo że było
tutaj² inaczej Ochal nie czuł obcości
/.../"²

Nie sposób uwolnić się od chęci ujrzenia
tego obrazu drogi do Rosji w obrębie jego
literackiej i polskiej tradycji. "Ziemia
tak pusta, tak niezaludniona, jak gdyby
wczoraj wieczorem stworzona", bezkresna
równina rosyjska, symbol znikomości czło-

wieka wobec bezmiaru i obojętności natury przekształca się w efekcie historycznego retuszu w krainę wielkich życiowych szans. Stosując kryteria geografii humanistycznej można powiedzieć, że "przestrzeń" - otwarta, ale i grana - staje się "miejsce", ośrodkiem ustalonych wartości, pożywienia i bezpieczeństwa.^{3/} Z perspektywy chłopca, świeżo upieczonego przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej, pielgrzymującego do ojczyzny kołchoźników dla potwierdzenia słuszności własnych decyzji i usankcjonowania działalności, już to pierwsze po przekroczeniu granicy doświadczenie przestrzeni zawiera sens całej podróży. Uzupełniają ten widok z okien pociągu osiągnięcia cywilizacyjne - odbudowane dworce, "szerokie autostrady", dźwigi, rusztowania, kominy fabryczne i "kolorowe domki w ogrodach". Mijany Smoleńsk wywołuje wrażenie dla dzisiejszego czytelnika dość nieoczekiwane, chociaż chyba dobrze oddające świadomość historyczną epoki:

"W pamięci odbiło się wysokie wzgórze z wyszczerbionymi zębami historycznych murów, widoczne z daleka, śmiałe ulice wytyczone jasnymi gmachami /miasto zniszczone w osiemdziesięciu procentach, teraz już prawie całe odbudowane/, wreszcie wrysował się w myśli Dniepr, srebrnosiny, lśniący jak rybia łuska, kręty, z urwistymi, rudymi od ziemi brzegami.

Na szerokich łąkach pasły się wielkie stada. Delegaci przypadli do okien i trwali przy nich, dopóki^{4/} ostatnia krowa nie zatarła się w oddali"

Delegaci spółdzielni produkcyjnych mają wprawdzie prawo do selektywnego postrzegania przestrzeni, ale ich punkt widzenia wchłonął całkowicie towarzyszącego im pisarza, często przecież dopowiadającego sensy oglądanej rzeczywistości /"... jedziemy przez ziemie, na których jej siły /rewolu-

cji/ roztrzaskały żelazną pięść kapitału"/. Krajobraz określają elementy radosnej te-
raźniejszości, blizny wojenne świadczą,
że nie przyszła ona łatwo, że jest ukorono-
waniem heroizmu, cierpienia i dziejowej
sprawiedliwości. Historia rozciąga te za-
sługi w czasie, antycypując formułę odwrotu
i klęski ciągle tego samego zachodniego
imperializmu. Wilhelm Mach patrząc z drogi
na niezmierzone przestrzenie rosyjskie,
stara się uwzględnić tę perspektywę, od-
wrotną do jego kierunku jazdy:

"Jak się jawił ten świat ludzkim oczom,
końskim oczom, zdziesiątkowanej armii roz-
bitków, sto czterdzieści lat temu, armii
wlokącej na zachód przerażenie złamanej
pychy? Coś czuł, Henryku Beyle, nieopatrny
Sabaudczyk, skryty artysta, unosząc pod
powiekami ku niedosiężnie, nierealnie dale-
kim winnicom Francji łuny płonącej Moskwy?
Jak niósł się po tych polach bezkresnych
czelny chrzest faszystowskich czołgów i
jak szczeł w człapaniu uciekinierów, zga-
szony piorunowym "urra-a!" czerwonej ofen-
sywy? Wielka, wielka Rosja."^{5/}

Pisarzom polskim podróżującym po ZSRR
w r. 1952 świat ten jawi się jako przes-
trzeń głosząca chwałę - zapożyczam u prof.
Morawskiego - Lewiatana. Wiara w możliwość
stworzenia szczęścia na ziemi ucieleśniona
w "superorganizacji i superracjonalizacji
życia pod patronatem wielkich państwowych
struktur" ^{6/} budzi nieustanny entuzjazm
świeżych katechumenów. Fascynuje monumenta-
lizm osiągnąć jako efekt działalności
współczesnych gigantów, ale i w naturalny
sposób wynikający z ducha miejsca. Ziemia
wydająca olbrzymów, związana jest z nimi
tożsamością losu; "głodna", "znużona",
"bezrozumnie eksploatowana" w przeszłości,
odbiła powszechność doświadczenia "bezlitoś-
nie wyzyskiwanych" i jak oni uczestniczy
w największym przewrocie od początku świa-
ta."

"Komu śniło się dawniej, aby zmieniać ziemię? Wydawała się raz na zawsze ustalona, jak kolejność pór roku, jak kierunek biegu rzek, jak obyczaje roślin. Nieustraszeni odkrywcy tajemnic życia, bolszewiczcy uczeni poddał pory roku woli człowieka i odwrócili kierunek rzek, by płynęły ku komunizmowi."

Rzeczywistość, jaka wybuchła in illo tempore, unicestwiła wszystko, co było przedtem. Uderzającą cechą oglądanej przestrzeni jest brak w niej jakichkolwiek wyznaczników tożsamości, pamięci historycznej sięgającej poza wydarzenia czasu początków. Zaznaczające się w niej elementy to zmaterializowane kształty myśli "wielkiego nauczyciela", który "nauczył ludzkość, że nie istnieją dla niej niemożliwości" oraz "poprowadził naród do szczęśliwej przyszłości". Trasa zwiedzania uwzględnia tę dwoistość zasług: prowadzi przez świadectwa "prometejskiego zrywu" - budowy, fabryki, instytuty naukowe, a także udostępnia obiekty uszczęśliwiające ludzkość na co dzień - kołchozy, szkoły, domy kultury, mieszkania prywatne, a w nich "połcie słońciny, worki pszenicy, cukru i innego dobra."

Pogodną atmosferę tych opisów macą jedynie - w sposób pewnie niezamierzony - konotacje określeń stosowanych dla efektów ludzkiej działalności: "okiełznana natura", ziemia "ujarzmiona", "poddana", "posłuszna", "zmuszone do służby" rzeki.

Ten sam sposób eksponowania przestrzeni pragmatycznej uderza w prezentowaniu miast, gdzie nasycenie historią jest tak wyraźne, że nie da się jej pominąć. Można ją zdyskredytować, podziwiając współczesną społeczną przydatność zabytków w przeciwieństwie do ich społecznego przeznaczenia w przeszłości: "Dawny pałac Aniczkinów,

pochodzący z owych czasów, kiedy Rossi, Rastrelli i Worbnichin wznosili najpiękniejsze pałace Petersburga, teraz służy nauce i zabawie leningradzkiej młodzieży."

Można spojrzeć na historię w taki sposób, by uwydatnić w niej nurt najbardziej wartościowy, konieczny z punktu widzenia logiki dziejowej. Opisy Leningradu powierzchownie prześlizgują się po architekturze z czasów Piotra i Katarzyny, zatrzymując się przy placu Pałacowym wspomnieniem roku 1905, "kiedy lud szedł do cara z cerkiewnymi chorągwiami i padł na bruk pod kozacką szarżą" i roku 1917, "kiedy /.../ dźwignął się z bruku, sięgnął tronu i powalił na zawsze swych katów".¹⁰ Początek tego dziejowego nurtu wyznacza w przestrzeni twierdza Pietropawłowska, uwieńczenie - "Aurora", po przeciwległych stronach ograniczające obszar sacrum, gdzie trwa wieczna teraźniejszość historii świętej:

"Widzieliśmy muzeum Lenina - niegdyś pałac Orłowa, faworyta Katarzyny, inkrustowany różowym marmurem - i widzieliśmy na dziedzińcu pancerny samochód Lenina z gumowymi odsłoniętymi oponami, który dziś zdaje się tak słaby i nieobronny, że przez мгновение sekundy odczuwamy lęk o przeszłość, o sprawę dokonaną już i zwycięską."¹¹

To samo doznanie zanurzenia się w czasie świętym pojawia się w innej relacji z muzeum Lenina w Moskwie:

"Wędrując po salach muzeum delegaci mieli chwilami złudzenie, że suną równolegle z biegiem historii, że towarzyszą dynamicznym dziejom Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii /bolszewików/ i oglądają na własne oczy największy przewrót od początku świata".¹²

Moskwa jest głównym celem każdej pielgrzymki. Do ujrzenia "stolicy naszej epoki" uczestnicy podróży przygotowani są stopniowo, wjeżdżając do niej z innych regionów

kraju, już nieco oswojeni z charakterem oglądanej rzeczywistości. Mimo to wrażenie jest oszałamiające. Aura cudowności dyskretna w dotychczasowych opisach zwycięskich batalii rozumu, teraz w równym stopniu wypełnia wizje kołchoźników, jak i pisarzy realistów.

"Przez kilka dni uczestnicy wycieczki poznawali szczęśliwą stolicę państwa socjalizmu, Moskwę szerokich alei, potężnych budowli, sklepów wypełnionych towaram, Moskwę z drewnianej przeobrażającą się w najbardziej nowoczesne miasto globu ziemskiego i z każdym tygodniem piękniejsze i z każdym tygodniem bogatsze.

Widzieli domy przesuwane z miejsca na miejsce bez naruszania zwykłego trybu życia ich mieszkańców. Widzieli skwery i zieleńce wyrosłe w jedną noc, gdyż przesadza się drzewa kilkuletnie.

Pod powierzchnią sześciomilionowego miasta, którego ulicami samochody w południe i o północy jednako wartkim toczą się strumieniem, delegaci nasi oglądali drugą sieć, sieć arterii podziemnych - metro. Jak w bajce z tysiąca i jednej nocy otwierały się przed nami coraz to inne czarodziejskie komnaty, całe różowe od blasku ścian wykładanych marmurem, albo rozłożone ozdobami, albo mleczno-białe od światła neonów. Tylko, że bajka była rzeczywistością i to zmotoryzowaną."¹³ /podkr. A.N./

Ten przydługi cytat jest dość reprezentatywny dla obrazów Moskwy przekazywanych w relacjach. Dominuje w nich stereotyp: postęp cywilizacyjny, dostatek, nieprawdopodobne efekty ludzkiej działalności. Przywoływana baśniowość sygnalizuje jednak zjawisko o istotnych konsekwencjach światopoglądowych. Zmienia się w nich osobliwie perspektywa narratora. Trudno powiedzieć, czy sprawia to atmosfera młodzieńczej wiitalności miasta, czy ciągłe kontakty z

dziećmi narzucają ich punkt widzenia, czy ubezwłasnowolnienie pisarza zmusza do przyjęcia takiej strategii - w tych relacjach uderza infantylność. Jakby zwolnieni z obowiązku interpretowania świata, poszczególni narratorzy przyjmują jego odgórnie orzeczoną jednoznaczność, nie obciążoną dodatkowymi znaczeniami; z tej perspektywy "muzeum miłości do człowieka" - ekspozycja darów przysyłanych Stalinowi przez "całą świadomą ludzkość" - budzi bezgraniczny zachwyt, a nazwa Łubianka występuje w odniesieniu do zwykłej ulicy w pobliżu placu Czerwonego.

Topografia miasta jest zresztą bardzo uboga, jakby chodziło o skupienie uwagi jedynie na miejscach centralnych. Ich sposób prezentowania wchodzi w zakres psychologii religii.

"Ulicami płyną ciasne szeregi aut, słychać przyciszone pobekiwanie klaksonów. Ludzie otuleni w ciepłe płaszcze i futra, przesuwiają się na tle olbrzymich okien wystawowych. Mżą kolorowym światłem neony sklepowe: "chleb"... "chleb"... "chleb"...

Jak zawieszone nad ruchliwą ulicą moskiewską, czerwienią się gwiazdy Kremla."

To bardzo znaczące pomieszanie porządków. Elementy metropolii i sielskości, przestrzeń nowoczesna, ale intymna, bezpieczna, swojska, a jednocześnie "otwarta" ku górze. Pępek ziemi, skąd świat bierze początek.

Podróże po dalszych obszarach "naszego świata" nie przynoszą - wbrew oczekiwaniom - kontemplacji przestrzeni. Czas historyczny nie sprzyja estetom, ani poszukiwaczom egzotyki. Podróże także poprzez relacje dokumentują swój służbowy charakter. Uboga literatura prezentująca ich rezultaty usiłuje zmienić kwalifikację regionów trakowanych przez czytelnika jako obce, zlokaliz-

zowanych w dwóch kierunkach: Daleki Wschód i bliski Zachód.

Utworzenie NRD wyznacza nową epokę w stosunkach z Niemcami i trud reportera polega na dostarczeniu argumentów, "dlaczego nad Odrą mamy przyjaciół." Tekst Jacka Bocheńskiego - arbitralny, napastliwy, demagogiczny, socrealistycznie doskonały - wydaje się interesujący właśnie ze względu na tę wzorcową postawę pisarza-agitatora i nauczyciela.

Zaczyna się heurystycznie: "Czy pamiętacie, kto to był Wilhelm, cesarz niemiecki Wilhelm?" "A czy pamiętacie, kto to był Ernst Thaelmann?". I aby uniknąć błędnych opinii, narrator odpowiada: "jeden z najlepszych synów klasy robotniczej", "bohaterski bojownik o demokrację i socjalizm", "prawdziwy patriota", "przyjaciel wszystkich narodów świata", "imię wymawiane z czcią przez całą postępową ludzkość". To wyliczanie jest niezbędne, by odsłonić pełny sens wieńczącej je informacji: "Dawny plac Wilhelma w Berlinie nazywa się teraz inaczej: Thaelmannplatz, czyli plac Thaelmanna."

Zmiana nazwy już nobilituje tę przestrzeń, ale pełny blask uzyskuje się przez porównanie rozgrywających się w jej scenerii wydarzeń dawnych i współczesnych. Na przedwojennym placu Wilhelma mieściła się kancelaria Rzeszy i ministerstwa. Zjeżdżali się tu "więksi i mniejsi zbrodniarze, wyzyskiwacze i złodzieje". "Czasem też tajemnicze samochody przywoziły tajemniczych gości. Byli to wysłannicy amerykańskiego wywiadu - którzy musieli uzgadniać z hitlerowskimi kolegami pewne zasady wyższej polityki dla dobra amerykańskich i niemieckich kapitalistów."¹⁵⁷

Przestrzeń placu nie jest tylko oprawą dla wydarzeń, stanowi ich punkt centralny: tu rozstrzygnęły się losy świata i zaryso-

wał powojenny układ sił, zmiana dokonana w tym miejscu uzmęślawia ogrom przeobrażeń całego narodu. Świadczą o nich dzisiejsi Niemcy spotykani na placu Thaelmanna: "posłowie do ludowego parlamentu", "robotnicy i chłopci w skromnych ubraniach", "byli więźniowie-komuniści", "byli wygnańcy", "bojownicy pokoju", "artyści, uczeni", "wspaniała, nowa niemiecka młodzież z organizacji FDJ". Czym się zajmują? "Obmyślają sposoby zachowania pokoju na świecie. Pracują nad odbudową demokratycznej ojczyzny. Wychowują naród niemiecki w duchu postępu i międzynarodowego braterstwa. Są przyjaciółmi Związku Radzieckiego i Polski, są zwolennikami granicy na Odrze i Nysie, są wrogami imperializmu i wojny." 16/

Właściwie już te pierwsze strony szkicu zawierają odpowiedź na tytułowe pytanie, synekdocha placu Wilhelma vel Thaelmanna ujmuje rzecz klarownie, obrazowo i jednoznacznie.

Dalsze etapy podróży rozwijają ten sam scenariusz nastawiony na przejawy odbudowy kraju i narodowej godności. Prezentują przestrzeń monotonicznie jednorodną: huty, kopalnie, stocznie, fabryki, w linearnym porządku unieważniającym wszelki kontekst: geograficzny, kulturowy, historyczny, prywatny. Jest to jakby bezimienna i uniwersalna przestrzeń socjalistyczna; pozbawiona znaków tożsamości i identyczna oprawa ludzkiej egzystencji w krajach wspólnego obozu.

Próby odnajdywania podobieństw wynikających ze wspólnoty politycznej podejmowane są także w pejzażu dla tych zabiegów dość trudnym.

"Notatnik chiński" Jerzego Putramenta, efekt miesięcznego pobytu z oficjalną delegacją w 1951 r., utrzymany jest w postaci dziennika, jakkolwiek bez ryzyka związanego z otwartością formy: sens globalny wizji tkwi głęboko w świadomości autora, jego

poprawność zabezpieacza dodatkowo ustalony program zwiedzania. Program ten pozwala pisarzowi odnaleźć się w swojskości rytuału oficjalnej wizyty: spotkania z osobistościami, teatr, wystawy, pochód i akademia z okazji państwowego święta. Dramaturgia wizyty dobrze znana, urozmaicenie stanowi orientalna oprawa, ale i tę oswaja Putrament z właściwą sobie naturalnością: rejestruje "pozaginane do góry rogi dachów", schody rzeźbione, "pełne lwich pysków i powykręcanych cielsk smoczyc". Przyznaje prostodusznie, że nie studiował przed wyjazdem historii Chin i w istocie jego opisy zatrzymują się na powierzchni zjawisk, nie podejmując trudu zgłębiania ich sensów. Wydaje się, że cel poznawczy ma w tej podróży w ogóle niewielkie znaczenie. Chiny nie interesują Putramenta w swojej kulturowej odrębności, lecz jako polityczny sojusznik; sprawdza w nich stopień ideologicznej standaryzacji. Wizja wypada na ogół zadowolająco: ulice: - "dosyć szerokie, niektóre wysadzone drzewami. Na skrzyżowaniu ogromny posąg żołnierza Armii Ludowo Wyzwoleńczej". W pochodzie - "znajome i drogie oblicza Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina." Tradycyjne lampiony przerobiono na czerwone gwiazdy, a świątynie na budynki użyteczności publicznej. Nawet przypadkowo odwiedzane mieszkania odbijają nową hierarchię wartości: "Na ścianie portret Mao i parę ulotek. W kącie nieco zakurzony posążek Buddy, wielkości dłoni."

Zjawiska nie mieszczące się w standardzie ideowym są przejawem aktywności ciągle jeszcze silnego i nie dającego za wygraną wroga. Opis "pekińskiego Kercelaka": "Niekończące się rzędy straganów, stoisk, po prostu kupek towaru, rozłożonych wprost na chodniku. Panuje tu amerykańska tandeta, rzucana na rynki chińskie w okresie pomocy

dla Czang Kaiszeka. /.../ Właśnie po to, by taką tandetą wypełniać rynki całego świata i pompować stamtąd cenne surowce - właśnie po to zbroi się Ameryka, po to szykuje wojnę. Oto kwintesencja ich życia, trosk, uniesień, oto ich ideał. Zaiste, ideał sięgnął bruku."¹⁷

Moralna degrengolada Ameryki symbolizowana przez jej towary walające się po pekińskim bruku. Świat, w którym pojawia się Putrament staje się przestrzenią asocjacyjną, żaden jej element nie istnieje bezinteresownie, samodzielnie, każdy może stać się sygnałem uruchamiającym ciąg skojarzeń eksplikujących pozornie tylko skomplikowane, polityczne oblicze współczesności. Oczywiście, że do ostatecznej batalii musi dojść pod Wielkim Murem:

"Daleki jestem od naigrzawania się z owego cesarza sprzed 2000 lat, który wpadł na ten niebywały pomysł. Przemawiają za nim i czas budowy, i jej jakość. Ale co należy myśleć o artretycznych plagiatorach w guście pana Maginot? Spóźnieni, niekonsekwentni, cherlawi naśladowcy niegdysiejszych Chińczyków stokroć bardziej zasługują na wzgardę. Mieli dużo czasu, by się nauczyć, że najlepszą obroną dla narodu jest słuszny ustrój społeczny."¹⁸

Obrazy o niesłusznym ustroju społecznym nęcą jednak socrealistów. Ich zarysy migocą na horyzoncie jednostajnego pejzażu sprawiedliwości społecznej, niczym fatamorgana, zniekształcone i złudne. Przywoływane w charakterze argumentów obrazy Zachodu nstawione są na uwydatnienie cech szczególnie odstręczających:

"W księgarniach Sartre, Gide, Malraux, Eliot, Maritain, Miller, dos Passos oraz pamiętniki polityków i generałów angielskich i amerykańskich. Witryny sklepów i magazynów pełne luksusowych towarów, na które, jak się o tym można przekonać za

dnia, mało kogo stać. W kawiarniach, restauracjach i nocnych barach niedobitki znużonych posiadaczy. W kioskach pornograficzne tygodniki. W kinach kryminalne, amerykańskie filmy. Na chodnikach prostytutka obojga pici. Poza tym dużo neonów, dużo wspaniałych limuzyn, a o krok za tą błyskotliwą dekoracją mroczne ulice i nie odbudowane ruiny."19/

Jest to obraz typowy dla ówczesnych przedstawień Zachodu, łączy wszystkie elementy wyzyskiwane dla zdemaskowania jego fasadowej urody. Jednocześnie spełnia bardzo subtelne zadanie wychowawcze. Adresowany do mieszkańca zgrzebniej rzeczywistości powojennej, kompromituje jego prywatne marzenie o dobrobycie poprzez ujawnienie mistyfikacji Zachodu: nie istnieje bogactwo bezgrzeszne, ta kłamliwie modelowana przestrzeń ukrywa tylko ludzką krzywdę. W przekonaniu, że "o uroku neonów decyduje nie tylko efektowny blask, lecz również ustrój, który je zapala" Jerzy Andrzejewski "przedkłada nad neony Kurfuerstendamm i Broadway skromną czterdziestkę naszej wiejskiej świetlicy."

Arkady Fiedler podziwiając wznoszony właśnie Uniwersytet Moskiewski - "czwartą co do wielkości budowlę świata" - dyskredytuje trzy pierwsze, biorąc pod uwagę to samo kryterium: "... wieża Eiffla, dziwactwo bez większego dla ludzkości pożytku, wzniesione dla sensacji /.../, a te dwa inne, to dwa nowojorskie drapacze chmur, siedziba amerykańskich rekinów finansowych i symbol drapieżności dziesiętowanego imperializmu."20/

To napięcie między człowiekiem a przeszczerzeniem jest szczególnie widoczne wśród wrażeń z - już autentycznej - podróży do Włoch. Stereotyp kraju piękna i radości ulega w oczach pisarza polskiego establishmentu znamiennej weryfikacji w wyniku rozpoznania sytuacji społecznej.

"Zza operowej dekoracji lazurów, marmurów, blasku i bez troski Rzymu turystów, wyłaniają się brudne kulisy innego Rzymu. - nędzy, niesprawiedliwości i walki - miasta trawionego ciężką chorobą dekadencji i naładowanego dynamitem kapitalistycznych kontrastów"²¹ - stwierdza Brandys, a wtóruje mu Julian Strykowski obrazem martwej Wenecji z amerykańskimi kanonierkami na horyzoncie. Pejzaż piękny, ale wrogi człowiekowi pracy, naznaczony śmiercią równie silnie jak "nasz świat" energią i optymizmem.

A dzisiejszy czytelnik sięgający po te teksty nie może oprzeć się natrętnemu pytaniu: co naprawdę widzieli pisarze podróżujący po świecie na początku lat 50-tych? Na jakim poziomie dokonywała się ta ideologiczna strukturalizacja doświadczonej przestrzeni - czy na poziomie postrzegania, czy przedstawiania; czy urzeczony ideologią umysł tak właśnie widział świat, czy zaprogramowany według jej wymagań tak go interpretował? Czy były to symptomy "pięknej choroby" czy "hańby domowej"?

Anna Nasalska

1/ M. Kierczyńska, O realizmie socjalistycznym, /w:/ Spór o realizm, W-wa 1951.

2/ W. Zalewski, Urodzaj, W-wa 1951 s. 15-16.

3/ Yi Fu Tuan, Przestrzeń i miejsce. Przeł. A. Morawińska, W-wa 1987.

4/ Zalewski, Op.cit. s. 17.

5/ W. Mach, Wielka Rosja /w:/ Wśród przyjaciół. Wspomnienia pisarzy z pobytu w ZSRR, W-wa 1953, s.22-23.

6/ S. Morawski, W labiryncie aksjologicznym, /w:/ O wartościowaniu w badaniach literackich, Lublin 1986, s. 99.

7/ M. Jarochońska, Chleb i sól. W-wa 1952, s. 211.

8/ Yi Fu Tuan, op.cit. s. 29.

9/ J. Andrzejewski, O człowieku radzieckim, W-wa 1951, s. 28.

10/ W. Mach, Kartki z podróży /w:/ Wśród przyjaciół, s. 42.

11/ Tamże, s. 42.

12/ M. Jarochońska, op.cit. s. 32.

13/ Tamże, s. 33.

14/ T. Konwicki, Muzeum miłości do człowieka, /w:/ Wśród przyjaciół, s. 62.

15/ J. Bocheński, Z życia NRD /Dlaczego za Odrą mamy przyjaciół/, W-wa 1951, s. 5-6.

16/ Tamże, s. 7.

17/ J. Putrament, Notatnik chiński, "Twórczość" 1952 nr 2, s. 111.

18/ Tamże, s. 123.

19/ J. Andrzejewski, O człowieku radzieckim, s. 8.

20/ A. Fiedler, Garść wrażeń z ZSRR, /w:/ Wśród przyjaciół, s. 163.

21/ M. Brandys, Spotkania włoskie, W-wa, s. 17.

REALIA

WOJCIECH GIEŁŻYŃSKI

O KAPITULANCKICH PIEWCACH WOLNOŚCI I O MORALNOŚCI KALEGO

Nie wiadomo, czy będziemy mieli legalną "Solidarność" /piszę to w przeddzień obrad "okrągłego stołu"/, ale wszystko wskazuje, że rychło nacieszymy się chadecją, i to w kilku odmianach; jej stronnicy pozazdrościli chyba socjalistom, którzy obdarzyli nas aż dwiema PPS. Janusz Zabłocki zapowiada, iż jego dyskusyjny klub chrześcijańsko-demokratyczny może się stać zaczynem partii chadeckiej, zaś poseł Ryszard Bender /którego niedawno bardzo polubiłem, bo przemówił w Sejmie jak mężczyzna/ marzy o przekształceniu tegoż klubu - czy może innego, trudno się połapać - w Stronnictwo Pracy, nawiązujące do tradycji Paderewskiego, Korfiantego, Popiela, a także ks. Kaczyńskiego, chociaż ten ostatni /a i Sikorski też/ otaczał się masonami i kto wie, czy sam nie nosił pod sutanną wolnomularskiego fartuszką. Nie jestem zresztą pewien, czy Zabłocki z Benderem w jednym stoją domu. Na pewno w innym, bo w klubie "Dziekania" zbierają się chadecy pospołu z neoendekami, konserwatystami i liberałami, pod berłem Stanisława Stommy. On też zamyśla "o czymś w rodzaju partii politycznej"/ proponując nazwę: "Liberalno-Narodowa Partia Chrześci-

jańsko-Społecznych Demokratów"/. W kolejce stoi jeszcze Andrzej Micewski, który w wywiadzie dla "Polityki" /wróć do tego na końcu/ oświadczył, że nie byłby przeciwko powstaniu "nowoczesnej, nie naśladowanej dawnych wzorów formacji katolicko-społecznej". Oczywiście nie ma mowy, by Zabłocki z Micewskim znaleźli się w tej samej partii, skoro wymyślają sobie /i słusznie/ od ostatnich. Robi się tłok; przecież w rezerwie jest jeszcze Antoni Macierewicz, a pewnie i falangista Giertych rychło da znać o sobie. Co prawda Macierewicz, należy sądzić, wolałby od razu odrzucić kamuflaż i wskrzeszać endecję /z Hallem? osobno?/, co i innym niewątpliwie chodzi po głowie, odkąd Ksiądz Prymas własnoręcznie napisał wstęp do Dmowskiego.

A tymczasem lewica żałośnie wlecze się w ogonie. Na razie ma tylko uniwersytecki klub im. Jana Strzeleckiego. A wcale nie jest pewne, czy będzie on wierny ideałom swego patrona, skoro na pierwszej sesji i katolik Mazowiecki przemawiał, i piłsudczyk Moczulski, i ludowiec Janowski, a barwy lewicy reprezentował /pomijając mówców drugiej rangi/ jedynie Kuroń. No i na zdrowie, niech się rozwija sto kwiatów w ramach neolewicowej konwergencji ekumenicznej, tylko zdeklarowani prawicowcy będą zapewne nadal dyskutować we własnym gronie.

Kraków, który już przedtem dał nam "Zielony Balonik", "Piwnicę pod Baranami" oraz wesołe pismo "Stańczyk", emanował ostatnio Polską Partią ekologiczną - i ci nasi zieloni milusińscy od razu zażądali miejsc przy "okrągłym stole", ponieważ reprezentują kilkanaście osób, jadących na jednej Furze /tak brzmi nazwisko ich lidera/.

Zdaje się, że kiełkuje też Partia Liberalna. Grono zagorzałych zwolenników tej

orientacji wystosowało ostatnio list do uczestników "okrągłego stołu", postulując mnóstwo reform wolnorynkowych, skromnie nazwanych "minimum ekonomicznym". Za to nazwisk pod listem - maksimum! I Kisiel jest oczywiście, i mój przyjaciel Paszyński /który nie chciał być sekretarzem stanu, jak nie przymierzając Kissinger/, z Paryża Kuczyński i Karpiński, i Janowski /ludowiec, ale liberał/, i Kurowski z Lublina, i Maziarski z "Ładu", Janas z "Ursusa", i Czesław Bielecki, a nawet sam Beksiak - jedynie Dzielskiego zabrakło nie wiadomo czemu /bo bez Korwina-Mikke można się obyć w poważnym towarzystwie/. Ten list wyraża m.in. dezyderat "niepodległości ekonomicznej", co stanowi pewne novum w dziejach idei, natomiast postulat ponownej legalizacji "Solidarności" jest wspomniany półgębkiem, mimochodem, w natłoku innych żądań, traktowanych pierwszoplanowo.

Ja się cieszę z tej mnogości ideologii, jakie się krzewią w Polsce. Ja nawet do endecji żywię szacunek, chociaż tylko za jej rolę w Wersalu /szkoda, że na nowy Wersal się nie zanosì, musimy brnąć w skutkach Jałty/. I chadeków uznaję, ponieważ nie są już zwolennikami korporacjonizmu, przedwojenne encykliki papieskie przestały ich obowiązywać, a te nowe, które ogłosił Jan Paweł II, lansują tezy zupełnie bliskie mego ulubionego socjalizmu utopijnego oraz operują językiem wypisz-wymaluj Abramowskiego, którego lubię jeszcze bardziej, a zwłaszcza pojęciami godności, miłości, braterstwa i solidarności; solidarności szczególnie często. Ba, ja także do konserwatystów /tych prawdziwych, krakowskich a nie betonowych/ czuję dużą sympatię, bo dbają o narodową tożsamość, bez której wszystkie reformy i prądy warte są funta kłaków.

Jedynie, jako częściowo nawrócony liber-
tyn, nie specjalnie kocham liberałów.

Co nie znaczy, broń Boże, że nie doce-
niam wolnego rynku. Każdy go docenia, rów-
nież socjaliści. Bez konkurencji na wolnym
rynku nie ma mowy o postępie gospodarczym.
Nawet komuniści odkryli, że mechanizm wol-
norynkowy może wzmocnić jeśli nie ich us-
trój, to na pewno ich panujące elity. Dla-
tego masowo wchodzi w mariaże i w komeraże,
w kliki i w per-"ty"-ki z tymi, których
oficjalnie, na partyjnych zjazdach, besztaj-
ją jako prywaciarzy, badylarzy, a nawet
rekinów-krwiopijców. A znowu na bardzo
eleganckich party u bossów różnych firm
polonijnych i spółkowych, gdzie co człowiek
- to miliard, najmilszym latos tematem
rozmów jest: kto bywa u Rakowskiego w Pra-
niu i kto ma chody u pewnego adiutanta
Jaruzelskiego? I tak się tworzy entente
cordiale /francuski wraca w modę/ czyli
splót interesów partyjnej burżuazji biuro-
kratycznej z nuworyszowską burżuazją speku-
lacyjną.

Dodać tu trzeba bowiem, że owa ukochana
przez liberałów przedsiębiorczość prywatna
w PRL-u /oprócz chwalebnych wyjątków w
rodzaju Gabriela Janowskiego, który produ-
kuje kwiaty/ działa przede wszystkim w
sferze obrotu i pod hasłem "tanio kupić
- drogo sprzedać" organizuje coś, co wcale
nie przypomina uczciwego, pracowitego kapi-
talizmu, ale raczej grabież kolonialną
z czasów podboju Afryki: oni nam złoto,
my im kolorowe paciorki. Ogromna większość
eleganckich panów i wytwornych pań, stale
kursujących między Paryżem a Singapurem
/nawet specjalną linię im LOT uruchomił/,
prowadzi biznesy - by użyć terminologii
ekonomicznej - w sferze wtórnego podziału
dochodu narodowego, a nie jego wytwarzania.
Z tego znikomy pożytek dla kraju, choć
wielki dla nich samych.

Założmy jednak, że to dziecięca choroba realsocjalistycznego kapitalizmu i że wcześniej czy później naszych neobogackich przeniknie surowy etos protestancki, co zgodnie z poglądem Maxa Webera otworzy przed nami wspaniałe perspektywy gospodarczej ekspansji. Może się tak istotnie stać za kilkadziesiąt lat. Ale chwilowo przybędzie kłopotów. Tyle, że innych.

Wolny rynek jest naprawdę dobry, aleści - wbrew entuzjazmowi samego Kisiela i jego akolitów - nie jest dobry na wszystko. A ponadto najskuteczniej działa wtedy, gdy nim mądrze steruje państwo. Jak w Japonii. Liberalowie lubią powoływać się na "japoński cud", lecz nie chcą pamiętać, iż autorem tego cudu jest nie tylko "nie-widzialna ręka", ale w co najmniej równej mierze doskonale widzialne i wszechwładne MITI - ministerstwo przemysłu i handlu rządu cesarskiego. Podobną rolę organy państwowego sterowania odgrywały w "czterech tygrysach"; w każdym razie odgrywały wtedy, gdy Korea Południowa czy Singapur rozkręcały dopiero na wielką skalę swój system kapitalistyczny, czyli czyniły to, przed czym stoi Polska /jeśli ziszcza się marzenia liberalów i partyjnych reformatorów/. Później, gdy mechanizm wolnorynkowy już zaskoczy, państwo istotnie może się nieco samoograniczyć, poprzestać na czujnej kontroli podatkowej i zająć się polityką socjalną, czyli poprawianiem tego, co w życiu społecznym kapitalizm psuje. W takiej Kanadzie na przykład albo Szwecji welfare state tyle energii wkłada w opiekę nad obywatelami, że ci ostatni sarkają na ubezwłasnowolnienie, to znaczy na przesadę w drugą stronę. Wtedy zaczyna się myśleć o thatcheryzmie.

Jeszcze i to trzeba powiedzieć, że "czysty" liberalizm, którego fantastyczne

zalety odkrywają obecnie nadwiślańscy ekonomiści, skończył się jako drogowskaz gospodarczy w latach 20-tych i nie istnieje już bodaj nigdzie na świecie inaczej niż w teorii. Zresztą i w teorii nie jest najmocniejszy, bo jednak Keynes był mądrzejszy od Friedmanna. Interwencjonizm państwowy, planowanie progностyczne, etatyzm, instrumenty "państwa opiekuńczego" / czyli to wszystko, czego nie cierpią liberałowie / działa - w rozmaitych proporcjach i zakresach - we wszystkich rozwiniętych państwach świata. Sensowny spór dotyczy jedynie owych proporcji, zakresów, metod - kiedy się obwarować ciłami? jak ustawić dotacje dla farmerów? co reprivatyzować, co upaństwowić? - aby nie "przedobrzyć" w żadną stronę, ani całkowitego laissez-faire, ani pełnego centralizmu.

Co wyraziwszy, mogę wrócić do pochwał wolnego rynku. On rzeczywiście dynamizuje, podnosi efektywność i jakość, najlepiej rozstrzyga o alokacji środków, sprzyja restrukturalizacji i tak dalej - pod warunkiem, że nie przypisuje mu się rangi kamienia filozoficznego; jedynie w tych gospodarkach, które przekroczyły pewien progowy poziom rozwoju.

Aliści nie ma róży bez kolców. A te kolce najmocniej mogą ukłuć "Solidarność".

Dziwne, że o tym mówi się najwyżej półgębkiem. Związek zawodowy "Solidarność", obojętne: legalny czy nielegalny, będzie musiał bronić interesów pracowników, bo inaczej straci rację bytu i pracownicy - a szczególnie robotnicy - po prostu go oleją. A gdy go robotnicy oleją - to przestanie się liczyć jako polityczna realność, jako grupa nacisku. A gdy się przestanie liczyć - to komuniści ortodoksyjni szybko zlikwidują ten cały polski neo-NEP, te wszystkie "wolności ekonomiczne", które postulują liberalni autorzy

listu do "okrągłego stołu" i które być może mają szansę częściowej realizacji... jeśli poprze je "Solidarność". W najlepszym zaś razie komuniści, dysponując wszelkimi atrybutami w ł a d z y politycznej, przechwycą we własne ręce profity z "wolności ekonomicznych" i wpręgą je w system politycznego zniewolenia, wydatnie go umacniając. Nomenklatura wygrzebie w dziełach klasyków stosowne cytaty i na ich podstawie tak urządzi "komunizm wolnorynkowy", by się usadzić w zarządach wszelkich spółek prywatno-państwowo-polonijno-zagranicznych i spijać miody, a zarazem trzymać wszystkich za pysk. Co zresztą już się dzieje w ten właśnie sposób.

Takiemu obrotowi spraw może przeciwdziałać jedynie realna siła polityczna, czyli "Solidarność". Czemuż jednak miałaby ona działać p r z e c i w s o b i e, wspierając program konsekwentnego urynkowienia gospodarki? Program taki, jeśli się nie uwzględni środków zaradczych przeciw rozlicznym jego u j e m n y m skutkom ubocznym, byłby samobójczy dla "Solidarności", a w konsekwencji i dla Polski. Jakież bowiem efekty "idealnego" vel "absolutnego" urynkowienia, o którym marzą neoliberalowi, pojawiły by się bardzo prędko?

Najpierw byłoby bezrobocie, i to rozległe, a nie trzy-cztero procentowe, które /choć to nieładnie wypowiedzieć/ miałoby chyba pewne zalety. Wielkie bezrobocie wynikałoby zarówno z likwidacji nierentownych zakładów pracy i bezsensownych instytucji, jak i z ograniczania zbędnych nadwyżek siły roboczej w fabrykach dobrze pracujących, które "przechowują" wielu robotników, traktując ich jako tanią rezerwę. Te nonsensy, skumulowane przez czterdzieści lat gospodarowania wbrew prawom ekonomicznym, trzeba oczywiście usunąć, one są potworną zawalidrogą, lecz jakie znaleźć le-

karstwo, które nie byłoby teraz gorsze od choroby? Skąd w ubogim państwie wziąć nagle środki na zasiłki dla setek tysięcy, a może i milionów bezrobotnych? Przekwalifikować ich? Ile lat to potrwa i jaka gwarancja, że znajdą się dla nich nowe miejsca pracy? Żeby Polska wyszła z zacofania trzeba oczywiście rozwijać nowoczesne gałęzie przemysłu, lecz one dają mało miejsc pracy a chłoną ogromne kapitały; a tych nie ma. Owszem, wedle najlepszej wiedzy należy ograniczyć, może i likwidować przemysł ciężki i surowcowy, które działają na "jałowych obrotach" /wydobywa się węgiel, żeby produkować stal, którą zużywa się w kopalniach węgla.../, lecz co rozwijać w zamian - i z a c o? Prawda, że spalanie ogromnych ilości węgla niszczy przyrodę, ale ekolodzy z jeszcze większą pasją zwalczają jednak energetykę jądrową. Grozi nam, że popadniemy w taką samą głątwę myślową, jak "Zieloni" w RFN, gdy przeżywali swój okres burzy i naporu: chcieli mieć dużo czystej i taniej energii elektrycznej, byle nie budować ani "szkodliwych elektrowni ciepłych, ani "zabójczych" atomowych...

Na te wszystkie dylematy liberałowie, w każdym razie ci "radykalni", nie mają sensownej recepty.

Dalsze konsekwencje "urynkowienia" byłyby dla ludzi jeszcze mniej atrakcyjne, skoro już dziś ledwie wiążą koniec z końcem. Komercjalizacji ulegnie wielka część zdobyczy socjalnych; trzeba będzie jeszcze więcej płacić za żłobki, komorne, ochronę zdrowia, oświatę, bilety do kin i teatrów; zmerkantylizowana opieka społeczna stanie się niedostępna dla tych, którzy jej najbardziej potrzebują. A jak się wytłumaczy ludziom, przez całe życie przyzwyczajonym np. do stosowania mleka, że w ramach reformy będzie ono dwa razy droższe w Katowicach niż w Olsztynie?

Czy w zamian za te niedogodności uzyskamy, jako kraj, wielką dynamikę wzrostu, która pozwoli po kilku latach zwiększyć ogólny dobrobyt? Być może, jeśli włączymy się - ale z czym? - w międzynarodowy podział pracy. Jesteśmy przerażająco opóźnieni w technice i technologii, przeto mamy nikłe szanse konkutowania na światowym rynku w tych dziedzinach, które - jak elektronika - stanowią "śmietankę" gospodarki. Kto się spóźnił, będzie się spóźniał jeszcze bardziej... Można tę prawidłowość przeskoczyć /jak wspomniana Japonia i "cztery tygrysy"/, lecz do tego trzeba - oprócz mechanizmu wolnorynkowego - jeszcze trzech rzeczy, które tam były: twardego a mądrego kierownictwa centralnego, dopływu wielkich środków z zewnątrz, a wreszcie specyficznego dla tamtych krajów "patriarchalnego" etosu pracy. Ten ostatni, kulturowy czynnik był i jest najważniejszy; a nie da się go naśladować.

Na duże zasilanie z zewnątrz też liczyć nie możemy, "wielkiego skoku" za pożyczone pieniądze nie wykonamy, zresztą tę lekcję przerobiliśmy już w latach siedemdziesiątych z wiadomym skutkiem. Do niewypłacalnego dłużnika raczej nie napłynie szeroki strumień zagranicznych kapitałów, najwyżej strużka, żeby dłużnik całkiem nie splajtował. Taniość naszej siły roboczej jest wprawdzie pewną atrakcją dla kapitalistycznych inwestorów, lecz ludzi mniej wymagających a pracowitych jest bez porównania więcej w Trzecim Świecie.

Jeśli zaś, jakimś cudem, udało by się wszystkie te rafa wyminąć i pod flagą liberalizmu szparko płynąć po Oceanie Spokojnym, to i tak groziłby bunt na okręcie. W warunkach kraju biednego i zacofanego **m u s i a ł o b y** dojść do rozwarcia nożyc biedy i bogactwa; mielibyśmy nie

dwa, ale pięć procent milionerów - i zapewne nie trzydzieści, ale sześćdziesiąt procent społeczeństwa pod "linią ubóstwa"; a z całą pewnością masowe sfrustrowanie w z g l ę d n y m zubożeniem, w stosunku do kasty nuworyszów. Wtedy nie za "Solidarnością" opowiadali by się robotnicy, lecz za egalitarnymi hasłami komunistów i koniec końców mogłoby dojść do takiej dyktatury proletariatu, że aż ciarki chodzą po skórze...

Doradzam zatem, żeby liberałów słuchać, ale nie zanadto, bez euforii. A jeszcze lepiej słuchać Jana Pawła II, którego nauka społeczna optuje za drogą pośrednią, wytyczoną przez zasadę s o l i d a r n o ś c i /która sprzeciwia się "wszystkim formom indywidualizmu społecznego lub politycznego" - więc skrajności liberalizmu/ oraz przez zasadę p o m o c n i c z o ś c i /która odrzuca "wszelkie formy kolektywizmu" - a więc komunizm/. W swej aktualnej treści, choć nie w genezie, nauka Jana Pawła II jest niesprzeczna z zasadniczym credo demokratycznego socjalizmu /albo socjaldemokracji, jeśli ktoś woli/, które uważam za rozwiązanie najlepsze z możliwych na tym ułomnym świecie. Demokratyczny socjalizm pojął wreszcie, że nie może być efektywnej gospodarki bez wolnego rynku, ale też od dawna rozumie to, czego nie przyjmują do wiadomości liberałowie, że wolny rynek wymaga jednak regulowania takimi instrumentami, które interesy egoistyczne podporządkowują demokratycznie określonemu interesowi większości społeczeństwa.

Schodząc z tego wysokiego piętra na "okrągły stół", warto powiedzieć co następuje: mądrzy ekonomiści nurtu liberalnego, jak Beksiak i Paszyński, uczyniliby lepiej, doradzając, co w Polsce można zrobić, żeby szybko było lepiej - niż formułując oderwane od życia tezy o "dziesięciu wolnoś-

ciach ekonomicznych". W ekstremistów liberalizmu niech się raczej bawią Kisiel i Wierzbicki, im do twarzy z tym, a przede wszystkim pan Korwin-Mikke, przepyszny humorysta.

A zrobić w Polsce można dużo i niewielkim kosztem. Przede wszystkim trzeba ograniczyć /a najlepiej: zlikwidować/ nomenklaturę, czyli - jak ją nazywa Leszek Nowak - "klasę trójpanów"; już sam ten krok, który nakładów finansowych nie wymaga żadnych, a nawet dałby spore oszczędności, bardzo by podleczył gospodarkę, gdyż przestałaby nią sterować satrapia, nieucy, woluntaryści i zwykli defraudanci. Po wtóre, a może po pierwsze, należy zapewnić równoprawnienie wszelkich podmiotów gospodarczych, obojętnie do jakiej formy własności należą, a zarazem fikcyjną "własność społeczną" przypisać konkretnym gestorom: Skarbowi Państwa, spółdzielniom, samorządom pracowniczym, władzom komunalnym. Po trzecie zaś, choć może to właśnie punkt najważniejszy, trzeba uwolnić rolnictwo z pęt biurokracji i spod jarzma łupieżczych monopolii. Żaden z tych kroków, które by poprowadziły gospodarkę ku szybkiemu ozdrowieniu, nie wymaga ani inwestycji, ani kredytów, ani zaciskania pasa lecz jedynie d e c y z j i p o l i t y c z n y c h.

Sęk w tym słówku: "jedynie"! Któż miałby to wymusić na władzy?

Rzecz jasna: "Solidarność", wsparta przez wszelkie siły opozycyjne, przez co mądrzejszych ludzi z "milczącej większości" i przez garstkę prorządowców, którzy rozumieją, iż lepiej stracić część władzy niż stracić wszystko w spektakularnym kataklizmie, ku któremu Polska się stacza.

Dlatego "Nie ma wolności bez Solidarności!". Także wolności ekonomicznej, którą wyznatariusze listu do "okrągłego stołu"

chcieliby, jak się wydaje, wytargować od władzy k o s z t e m "Solidarności". Nie można bowiem tego listu zinterpretować inaczej, skoro w całej gamie postulatów, jakie zawiera, "Solidarności" poświęcono jedynie trzy słowa, wtrącone dla przyzwoitości. Taka "przyzwoitość" brzydko jednak pachnie, nie mówiąc już o tym, że jest dziecięco naiwna.

List ów, odczytany w "Wolnej Europie" przez Czesława Beielckiego, jest nie pierwszym, ale najwyraźniejszym symptomem zgubnej gry, którą łatwo było przewidzieć. Otóż wielu z opozycjonistów odczuwa pokusę, aby przy okrągłym stole, w którego sukces nie wierzą, upiec przynajmniej swoją własną, ulubioną pieczeń. Dla jednych jest nią towarzystwo gospodarcze, które poprawi byt tym, co już bytują wysmienicie, dla innych klub dyskusyjny, z którego może wyłoni się jakaś partyjka, dająca szansę umieszczenia kilku ludzi w Sejmie albo nawet uzyskania teki ministerialnej, dla jeszcze innych niezależny dziennik, tygodnik, a choćby miesięcznik, który pozwoli efektownie i bezpiecznie uprawiać gabinetową opozycyjność. Owszem, każdy z tych celów jest racjonalny, jest nawet godny uznania i pochwały. Pod jednym wszelako warunkiem: żeby to nie było z a m i a s t "Solidarności", zamiast związku zawodowego, który jest k o n i e c z n o ś c i ą dla robotników, bo jedyną dla nich szansą obrony własnej godności, praw i interesów - i który jest również dla Polski koniecznością, dla większości narodu, gdyż bez niego wszelkie inne sukcesy i apanaże będą palcem na wodzie pisane. W polityce nie decydują ani mądre /czy średnio mądre/ wywody ekonomistów, ani logicznie sformułowane programy, ani żadne pertraktacje /zwłaszcza z pozycji petenta/; w polityce

decyduje układ realnych sił. W Polsce jest nią tylko "Solidarność", jako emanacja pragnień robotniczych, wspartych marzeniami większości narodu. Porzucić "Solidarność" dla jakichkolwiek sprytnych kalkulacji - to podpisać akt kapitulacyjny.

Wśród luminarzy opozycji inteligenckiej jest to na szczęście rozumiane, a przynajmniej b y ł o rozumiane w dniu, w którym cały "parlament Wałęsy", w kościele św. Brygidy, jednomyślnie podpisał się pod dokumentem, stwierdzającym, że od relegalizacji "Solidarności" odstąpić nie wolno. Tylko czy ta determinacja będzie konsekwentna i trwała?

Desygnowany na premiera Mieczysław Rakowski przynajmniej jedną umiejętność ma opanowaną do perfekcji: gry na inteligenckich ambicjach i wahaniach. To jeszcze nie przesądza, oczywiście, że tę grę wygra - ale pewne szanse posiada. I gra energicznie: jednych kusí, na innych poskarży się przed Sejmem i TV - że "nieodpowiedzialni", bo kuszenie odrzucają, tego pogłaszcze, tamtego wykpi... W momencie, gdy to piszę, sukcesy ma znikome, bo ludzie jednak to i owo mu pamiętają: jedni nie skrywają nienawiści do "Solidarności" i Wałęsy osobiście, inni ubiegłoroczny tajny referat, w którym przedstawił misterny plan podjazdowej walki z Kościołem i całą opozycją, jeszcze inni ten palec, którym wygrażał stoczniovcóm. Aliści odnoszę wrażenie, iż przynajmniej jedna gra może się Rakowskiemu udać: zjednanie tej części inteligencji katlickiej, która chętniej czyta dzieła Dmowskiego niż encykliki Jana Pawła II. Jest takich amatorów nie mało, a każdy prawie ma już własną grupkę, klub, miesięcznik lub coś w tym rodzaju.

Andrzej Micewski ma "Znaki Czasu", ale w Wiedniu, jako narzędzie rozbijania emigracji politycznej. Ambicje jego z pewnością

cią sięgają wyżej, widać to z obszernego wywiadu, jakiego udzielił nadspodziewanie dlań gościnnej "Polityce". Wywiad ten przeszedł jakby niezauważony w kręgach opinio- twórczych - wszak tyle teraz tekstów bar- dziej interesujących - ale ja go przeczyta- łem dokładnie, bo gra Micewskiego z Rakow- skim żywo mi coś przypomina. Historia się wprawdzie nie powtarza, lecz pewne triki w zmodyfikowanej postaci powtarzają się w historii bardzo często. Otóż Micewski pisze m.in.: "Ta partia musi Polską rzą- dzić, powtarzam, musi. Natomiast mnie cho- dzi o to, żeby wszystkie autentyczne siły społeczne, czy główne siły społeczne, zna- laży się w oficjalnym życiu politycznym, a nie uprawiały polityki na przykład w ruchu związkowym". Potem jest wprawdzie, na ośłodę, że w parlamencie powinni znaleźć się także /obok chadeków, lewicy katolic- kiej, lewicy laickiej i "realistycznych narodowców"/ przedstawiciele związków zawo- dowych, na przykład pan Miodowicz, oraz "przedstawiciele tego nurtu, którego sym- bolem jest Wałęsa".

Jasne. "Solidarność" powinna mieć jakieś tam miejsca w parlamencie, byle nie miesza- ła się do polityki. I byle wyrzekła się swej nazwy, który to postulat Micewski chytrze wkłada w usta... Gieremka.

Są też inne ciekawostki w tym wywiadzie. Grożenie sąsiadami, którzy robią z nas Księstwo Warszawskie, jeśli nie będziemy grzeczni... Teza, że społeczeństwo n i e p o w i n n o być terenem walki politycz- nej, bo wystarczy, gdy takowa walka /na gębę, rzecz jasna/ będzie się toczyła w parlamencie... I jeszcze, twierdzi Micew- ski, "PSL nie miał poczucia rzeczywistoś- ci", gdyż "podział subkontynentu europej- skiego jest podziałem na co najmniej kilka- dziesiąt lat" - czyli dokonuje takiej ope- racji myślowej, że dzisiejszy stan wiedzy

o geopolitycznych realiach rzutuje wstecz, do czasów, gdy owe realia wyglądały całkiem inaczej. Można już darować Micewskiemu, inne objawienie: "W Polsce również mamy do czynienia z procesem unowocześnienia państwa, społeczeństwa, elit politycznych, wszystkiego" - bo każdy wszak ma prawo zwać unowocześnieniem to, co innym jawi się jako uwstecznienie, chacun à son gout. Nie warto też spierać się z nim, gdy stwierdza, że "nie ma rozbieżności" między stanowiskiem papieża i prymasa. Jeśli bowiem przyjmiemy za pewnik, że Micewski potrafi czytać i rozumie teksty, które czyta, na przykład homilie Jana Pawła II oraz Jego orędzie do biskupów na Kongresie Eucharystycznym, to pozostaje tylko jeden wniosek: że Micewski świadomie kłamie. A z kłamczuszkami nie ma sensu dyskutować, lepiej wzruszyć ramionami.

Wszystko to zebrawszy do kupy, te tombakowe myśli, te fałszy i to mizdrzenie się Micewskiego do władzy, nieodparcie ciśnie się taki wniosek, iż pozazdrościł on Piaseckiemu i szykuje jakąś nową wersję "Paxu", dopasowaną do obecnego etapu, może jeszcze bardziej perfidną. I można być pewnym, że Rakowski to kupi - jeśli nie wyjdą mu plany zwabienia poważniejszych i bardziej reprezentatywnych przedstawicieli neo-endecko-chadecji. A raczej nie wyjdą. Wtedy Rakowski obrazi się na wszystkich /co stanowi jego ulubiony fason d'être/ i Micewski zostanie członkiem Rady Państwa lub nawet zastąpi Dobraczyńskiego.

A co dla nas, biednych opozycyjnych krajowców dewizowych, jakie dla nas spadną ochłapy z "okrągłego stołu"?

Oby nie spadły żadne. Jeśli ten stół okaże się kanciastym i nie przywróci "Solidarności", to na całą resztę dań można gwizdać. Niech sobie kilku czy kilkunastu ambicjonatów załatwi legalizację klubów jałowego dyskutowania, towarzystwa wzajem-

nej adoracji, licencjonowane partie polityczne, mieszczące się w rogu czerwonej kanapy, "niezależne" czasopisma subsydiowane z państwowej kasy; ich sprawa, ich wstyd.

Sprawą naszą będzie, jeśli tak to się potoczy, zakładanie komitetów "Solidarności", jawnych, a bodaj i utajnionych. Czyli tworzenie faktów dokonanych, na co z taką pasją pomstuje Rzecznik Rządu. Biedaczek... czyżby pamięć tracił? Toż to on właśnie, w 1982 roku, tuż przed rozwiązaniem "Solidarności", z typową dlań pewnością siebie oświadczył profesorom, przestrzegającym przed tą haniebną decyzją:

- Panowie nie doceniają uroku faktów dokonanych!

Jeśli fakty dokonane, które tworzy władza, są dobre, a fakty, które tworzy opozycja, są złe - mamy do czynienia z myślową schizofrenią. Mówiąc zaś potocznie, z "moralnością Kalego".

Wojciech Giełżyński

ŚWIADECTWA

JAN KIELANOWSKI

CZERWCOWE EGZEKUCJE W LWOWSKICH WIĘZIENIACH

O wojnie niemiecko-bolszewickiej dowiedział się Lwów wczesnym rankiem w niedzielę, 22 czerwca 1941, gdy nad miastem ciężko zahuczały eskadry hitlerowskich bombowców. Gęsto zrzucające bomby nie pozwalały na żadne złudzenia. Kraje, które niespełna przed dwoma laty sprzymierzyły się, żeby nas zniszczyć, teraz przystąpiły do wzajemnej walki. Myśliwce radzieckie pokazały się na niebie raz czy dwa razy, ale bezradność ich była oczywista. Bez przerwy terkotała tylko artyleria przeciwlotnicza, deszcz ciepłych jeszcze odłamków spadał na bruk. Czasem artyleria była skuteczna: zestrzelony bombowiec spadł na cmentarz Łyczakowski. I tak wśród basowego pomruku bombowców, tenorowych serii artylerii przeciwlotniczej, odgłosów maszynowej albo ręcznej broni, wycia bomb i ich dalekich albo prze-rażających bliskich wybuchów, od niedzielnego świtu po płatkowy zmierzch upływały nam długie dni i krótkie, rozświetlone pożarami noce.

W mieście powstał chaos i zapanowała niewiarygodna panika. Wielodzietne rodziny

przybyszów ze wschodu, teraz dopiero okazywało się jak liczne, starały się upchać z dobytkiem i ze zdobytkiem na ciężarówkach, ciągnących uparcie ulicą Łyczakowską, której zachwycony lud nadał nazwę ulicy "dawaj na zad". Oddziały wojskowe pałętały się bez określonego celu. Tylko milicja gdzieś się zapodziała. W poniedziałek widziałem na przedmieściach kilka całkowicie opuszczonych posterunków, w próżnych pokojach zwały aktów walały się na podłodze. Z poniedziałku na wtorek, gdy bombardowanie było szczególnie ciężkie, jacyś cywile /kto taki? może ktoś wie?/ rozwalili czy spalili wrota małego oddziału Brygidek - dozorców nie było i paruset /?/ niespodziewanie wolnych więźniów w noc świętojańską ruszyło w poszukiwaniu przytuliska.

We środę obraz zmienił się dość znacznie. Wróciła milicja. Rozklejono plakaty mobilizacyjne. Przewalił się już exodus przez ul. Łyczakowską. Ruszyły pociągi ewakuacyjne. Wyjechało trochę zaangażowanych politycznie literatów, aktorów, profesorów. Ledwie rozpoczętą mobilizację wstrzymano. Ale oddziały wojskowe wycofywały się już w porządku. Jak się później dowiedzieliśmy, Czerwonej Armii udało się w ciężkich bojach zapobiec zamknięciu lwowskiego kotła i umożliwić dzięki temu ewakuację.

Lwowian ogarnęła euforia. I radość. Czyż można się dziwić? Jak się coś złego kończy, trudno się nie cieszyć, choćby dalsza przyszłość była nieznana. A tego, co się kończyło - dwudziestu miesięcy nieznosnej udręki - już naprawdę każdy miał dość. Lwowskie batlary śmiali się więc wczorajszym najeżdżcom w twarz. Nie było to bezpieczne, bo w odpowiedzi często rozlegała się salwa, były egzekucje uliczne i podwórzowe, w wielu mieszkaniach szyby były postrzelane.

O najgorszym niosła się wieść. Jak, którądy - nie wiadomo. Wieść, że w Brygidkach, na Łackiego, wszędzie więźniowie są mordowani. To nie była pogłoska. Lwowianie nie wiedzieli o tym na pewno. Od czwartku 26 czerwca. Może lokatorzy sąsiadujących z więzieniami mieszkań słyszeli strzały i krzyki? Skrzydła radości opadły, zastąpiło ją przerażenie. Wszystkie więzienia przepełnione były do ostatnich granic, wielu lwowian miało tam krewnych, wszyscy chyba znajomych. Więźniowie byli naturalnie "polityczni", a więc przedwojenni komuniści /długie miesiące w lwowskiej celi spędził Broniewski/ i socjaliści, działacze wszelkich odcieni, ale większość stanowili z pewnością przygodni więźniowie, których pozamykano za urojone, albo nawet, wyjątkowo, realne przekroczenia administracyjne. Lwów uznany został za "reżimnyj gorod" i za przebywanie w mieście bez zameldowania /zaświadczonego, jak obecnie i w PRL, pieczętą w "pasporcie"/ otrzymywało się od razu 3 lata. Patrole milicyjne krążyły po ulicach i odwiedzały mieszkania, niedokładności w dokumentach albo ich brak nie mogły więc ujść przed czujnym okiem władzy. No i naturalnie, jak wszędzie i zawsze, niezawodnymi dostawcami więźniów byli donosiciele. Niestety, dużo siedziało młodzieży. Skład narodowościowy mieszkańców więzień dokładnie nie mógł być znany, nie unikali aresztu Ukraińcy ani Żydzi, według ogólnego przeświadczenia przygniatająca większość stanowili Polacy.

Począwszy od czwartku miasto opróżniało się systematycznie i dość prędko z żołnierzy, kto z cywilów chciał uciec na wschód wychodził choćby pieszo, o wiele trudniej było naturalnie ludziom rodzinnym. W sobotę ulice były już prawie puste. Trwało, może

już nieco słabsze, bombardowanie. Dopalały się pożary, płonęły np. prowizoryczne koszary na rogu ulic Rutowskiego i Skarbkowskiej, gdzie żołnierze wyrzucali z okien szare, radzieckie szynelle, które ludność skrzętnie zbierała. Wieczorem zupełnie już pustymi ulicami przelatowały ciężarówki, z których żołnierze długimi drągami wrzucali płonące żagwie do parterowych okien publicznych lokali, np. do parterowych okien dawnej Izby Skarbowej w pojezuickim klasztorze.

W niedzielę 29 czerwca do opróżnionego Lwowa w idealnym porządku wtoczyły się hitlerowskie czołgi, pełne żołnierzy wozy transportowe, artyleria. Wszystko to domyte, ogolone, błyszczące czystością, w kolorze zaśniedziałego brązu. Chyba dla wyreżerowanego kontrastu z brudną, zaniedbaną, przegrywającą armią przeciwników. Żołnierze, którzy swobodnie rozsypali się po mieście, chętnie wdawali się w rozmowy - język niemiecki był we Lwowie dość dobrze znany. Jeszcze przed paru tygodniami czerwonoarmiści wysztorcowanymi bagnetami zagradzali drogę w pobliżu koszar i wszelkiej wojskowości. Hitlerowcy pozwalali dzieciakom wdrapywać się na własne, bądź popsute radzieckie czołgi, porzucone na ulicach. Myślę, że było to z góry ułożone i dla nas odgrywane przedstawienie. Tak mało wiedziano we Lwowie, co dzieje się po drugiej stronie.

Nastolatki mieli swoją specjalną, niebyłąką przyjemność. Na każdym malowniczym miejscu - a jest takich we Lwowie dużo - stał pomnik, sporządzony z jakiejś nieokreślonej masy, wyglądającej na spiż, ale lżejszej od gipsu. Pomniki te były pewnie odlewane, bo ściśle takie same ustawiano w różnych odległych miejscach. Najczęściej przedstawiały one Stalina,

obejmującego ramieniem Lenina, siedzących obok siebie na jakiejś ławce - kanapie. Czasem z Leninem siedział Gorki, czasem Gorki ze Stalinem, czasem każdy z osobna, czasem może Puszkina albo jakiś nieznany bohater. Każdy taki pomnik był źródłem radości dla batiarów, którzy ćwiczyli rękę i oko w odbijaniu kamieniem tej albo innej osoby albo organu. Masa była krucha i rozłukiwała się doskonale. Do wieczora brakło już pomników, aż chłopcy żalowali, że było ich za mało.

Gdy dzieciaki zabawiały te wesołe igraszki, ogromne korowody Lwowian ruszyły ku więzieniom. Już pierwszych przybyszów uderzał straszliwy fetor rozkładających się zwłok, który wręcz uniemożliwiał wejście do budynków: cały tydzień panowała przecież upalna pogoda. Jak się zabrano do opanowania tej makabrycznej sytuacji? Wiadomości moje pochodzą z wiarygodnych źródeł, ale z drugiej ręki; fragmenty, które sam widziałem, opiszę. Według zgodnych opowiadań, do uporządkowania i segregacji zwłok więźniów Niemcy posłużyli się lwowską ludnością żydowską. Zaczęto od łapanek, dokonywanej przez oddziały chyba specjalnie dobieranych, rosyjskich Ukraińców w niemieckich mundurach z żółto-niebieską opaską - zapewne z oddziału "Nachtigall" /takich widywałem/. Łapanka ta zamieniła się podobno w potworny pogrom. Godne zaufania, szczegółowe jego opisy kiedyś czytałem, lecz nie wiem kto je przechowuje. Skatowani Żydzi wynosili zwłoki z więzień na przyległe podwórza i układali w długie szeregi, obok których, dusząc się od smrodu, przechodzili ci wszyscy, którzy kogoś poszukiwali - jeśli mieli na to siły. Niekiedy dało się zwłoki rozpoznać - pamiętam tylko, że zidentyfikowano prof. Szumowskiego, laryngologa, może dzięki jego posturze. Zapewne zidentyfikowano także innych, ale

w większości przypadków, ze względu na daleko posunięty rozkład, połączony z obrzękiem, było to niemożliwe. Dużo było rozpoznać błędnych.

Nieszczęsne ofiary zabite były strzałem w tył głowy i nie może być żadnej wątpliwości, kto był zabójcą: śmierć ich musiała nastąpić na parę dni przed wejściem wojsk niemieckich. Przypuszczam, że zabijano więźniów już od środy 25 czerwca, tj. od momentu gdy czerwonoarmiejcom udało się odeprzeć niemiecki manewr okrążający.

Sam widziałem tylko zwłoki wyłożone na podwórzu obok więzienia na Łackiego. Jak we wszystkich tych miejscach, dostęp prawie uniemożliwiał trudny do wyobrażenia zaduch rozkładu. Trzeba było nieprzerwanie zasłaniać chustką usta i nos. Wśród zwłok, leżących rzędami, dostrzegłem jedno w pozycji siedzącej, o coś oparte, czarne, skrzwawione. Po chwili postać ta poruszyła się i wstała. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że był to jeden z Żydów, zapędzonych do porządkowania zwłok. Raz po raz przyjeżdżały niemieckie samochody wojskowe, z których dokonywano zdjęć filmowych. Pośród nas, żywych, postępujących tragiczną procesją, porządku pilnowali olbrzymi żołnierze w niemieckich mundurach, w hełmach, z wianuszkami obronnych granatów ręcznych na każdej nodze - dla fasonu i z niebiesko-żółtymi opaskami na ramionach.

Porządkowanie, połączone z pogromem Żydów, nie trwało długo, zaledwie parę dni. Ofiary więziennych egzekucji, razem z pomordowanymi Żydami, zakopano z pewnością we wspólnych grobach. Żydzi musieli jeszcze przed śmiercią wysprzątać i wydezynfekować więzienia, bo wkrótce miały być znowu potrzebne. Już w pierwszych dniach lipca rozeszły się wiadomości o aresztowaniu lwowskich profesorów: Bartla, Łomnickiego, Ostrowskiego i innych.

Opis mój nie jest szczegółowy. Od tych strasznych dni mija 47 lat. Lat wojny, konspiracji, klęski, najgłębszych rozczarowań, nieoczekiwanych radości, odbudowy, przesiedleń, zamierającej i znowu budzącej się nadziei. Dlaczego teraz właśnie piszę o tych tragicznych lwowskich wydarzeniach? Świadcami tej bezprzykładnej rzezi były tysiące lwowian. Nie mogło być żadnej wątpliwości, kto był jej sprawcą. Dziś już bardzo wielu tych świadków nie żyje, codziennie ich ubywa. Inni rozproszeni są po świecie, inni wciąż jeszcze są zastraszeni. Do niedawna publiczne wypowiedzenie się o przytoczonych tu faktach spowodować mogło przykre konsekwencje. I dziś, choć nigdzie nie rozmijam się z prawdą, nie mogę być zupełnie pewien braku szykan, lecz ze względu na mój wiek, jest mi to obojętne.

Nie jest mi natomiast obojętne, aby dla kogokolwiek wypadki te pozostały nieznanymi, tak, jak do dziś są jeszcze na pewno dla wielu. Pragnąłbym także, aby liczniejsze szczegóły rzezi doszły do publicznej wiadomości. Liczbę zamordowanych więźniów określa się zwykle na 3500 do 5000. Wszyscy wiedzą, że było ich bardzo dużo, ale może są gdzieś podstawy do dokładniejszego szacunku? W aktach radzieckich mogą być konkretne dokumenty, tyle mówi się o szczerości, może je ogłaszają? Podobno istnieje zarządzenie, wydane w 1941 przez władze centralne ZSRR, by więźniów ewakuować, a w razie niemożności - likwidować. Mówią o podobnej zbrodni w Brześciu, a może i w innych miastach. Czas nadszedł, aby wszyscy, mający rzetelne wiadomości o takich wydarzeniach przestali je ukrywać. Niech wszyscy się o nich dowiedzą.

RECENZJE

BOGUSŁAWA LATAWIEC

RZEMIOSŁO WYGNANIA

Okładkę "Atlantydy" zdobi portret autora. Ten banalny w gruncie rzeczy pomysł tym razem okazuje się wyjątkowo celny. Barańczak zbudował z wierszy jak w utworze epickim jednolitą postać głównego bohatera. Nie tai jego rodowodu. Bohaterem "Atlantydy" jest sam poeta. W "Garden party" występuje nawet jego nazwisko humorystycznie zniekształcone przez Amerykanów: "Banaczek". Poeta umieszcza swojego bohatera we wnętrzach autentycznych wydarzeń, otacza konkretnymi ludźmi, swoimi przyjaciółmi, których nazwiska możemy bez trudu rozszyfrować. Zastosował więc w zbiorze liryków metodę uprawianą dziś z powodzeniem w prozie - autobiografią zastąpił fikcję. Biografia bohatera spleta się tu z biografią kraju. "Atlantyda" niesie ze sobą spory ładunek poznawczy. Mamy okazję w sposób wiarygodny, bo zaświadczony życiem, przyjrzeć się z bliska temu, co dzieje się z czasem i z pamięcią człowieka, który porzucił szansę powrotu do ojczyzny. Znajdujemy odpowiedź na pytania, w jaki sposób to co ojczyście, choć oddalone, istnieje nadal w jego świadomości; jakie się rodzą mechanizmy obronne.

"Atlantyde" otwiera wiersz "Historia". "Dziesięcioletni" wybiega na czerwcową ulicę, by kupić gazetę. Poznań, czerwiec 1956 rok. Tak oto Barańczak informuje nas dokładnie o wieku swojego bohatera. Wpisuje go w konkretną falę pokoleniową. Swoją falę. Poeta także urodził się w 1946 roku. Dla typowo pokoleniowego sposobu oglądu świata i sztuki, który charakteryzuje Nową Falę, ta informacja jest istotna. Rok 56 to pierwsze spotkanie "urodzonych po wojnie" z wielką polityką. W poemacie "Przywracanie porządku" bohater znajduje się już poza krajem i zza oceanu śledzi rozwój stanu wojennego w Polsce. Teraz dopiero dowiadujemy się, że był inwigilowany, represjonowany, poznajemy jego przyjaciół. Píše od nich listy właściwie w próżnię. "Wiem, że nie dostaniesz tego listu", "okazją wysyłam pędzle, chociaż pewnie nie dojdą", "ten list nie dojdzie na pewno" - powtarza za każdym razem. Zrekonstruujemy nazwiska: L to Lech Dymarski, działacz "Solidarności" z Poznania, W: Wojciech Wołyński, plastyk, A: Adam Michnik, polityk, publicysta, historyk, R: Ryszard Krynicki, poeta.

Znajdziemy w tych poetyckich listach pełnych dywagacji o istocie wolności, dorosłości politycznej, obyczajach służb bezpieczeństwa, między słowami pociechy wiele szczegółów z dziejów autentycznych przyjaźni: barwne powiedzonka, charakterystyczne zachowania, śmieszności. Tak rodzą się mity. Nowa fala umie je budować. W mitotwórstwie Barańczaka nad patosem góruje ciepło prywatności. Dowiadujemy się np., że z Dymarskim Barańczak często słuchał płyt z "Winterreise" Schuberta, popijając bułgarskie wino, gdy tymczasem tajniacy dyżurowali pod domem, w aucie. Michnik, gdy mówił swoim "jąkającym się dyszkantem", miał zwyczaj owijać kosmyk włosów wokół

palców, lub zwijać celofan z opakowania papierosów, często przy tym używał "cwa-
niackich powiedzonek": "gówno w prążki",
"nie ma się co obcyndalać". Krynicki z
kolei pełen "nadwrażliwej bezbłędności"
pisał wiersze "kruche miniatury z kości
słoniowej" czarnym tuszem na najcieńszym
papierze.

Informacje o wydarzeniach po 13 grudnia
docierają do bohatera głównie z radia i
telewizji, może dlatego też w poemacie
dominują poetyckie trawestacje rozmaitych
form mowy masowych publikatorów. Mamy tu
po kolei po mistrzowsku sparodiowane, pełne
gier językowych, publicystycznej retoryki:
radiowe powiadomienie o stanie wojennym,
fragment przemówienia instruktazowego do
zomowców, rozmowę dwóch milicjantów przez
mikrofalówkę w czasie walki z tłumem, mono-
log przesłuchującego, deklarację lojalności,
milicyjną orację "proszę się rozejść"
do protestującego tłumu, mowę podsumowującą
całą akcję "grudzień 81": "Według nie pot-
wierdzonych doniesień, zabitych / jest
tylko siedmiu, coż to znaczy siedmiu /
zabitych". Jak zawsze u Barańczaka podziw
budzi inwencja językowa, sprawność z jaką
potrafi wikłać słowa w stale nowe kontek-
sty. Oto jaką spiralę sensów, zaskakujących
związków, podtekstów rozkręca we fragmencie
3. Z potocznego określenia "ruchy wojsk"
wyłaniają się: "robaczkowy ruch gąsiennic",
"ruchawki", "zorganizowany ruch na świeżym
powietrzu", "rozruchy", "rozruch wielkiego
pieca", "ruch oporu", "ruch wsteczny",
"wszystko co się rusza", "ruszyć głową".
Na końcu tej galopady językowej, której
wiernie towarzyszy wartki bieg obrazów,
znajdujemy celną pointę, także oczywiście
wyłonioną z kluczowego tutaj słowa: "ruch".
/podkr. moje - B.L./:

te lufy, zniżające się do wysokości
potylicy /spróbuj no, bratku, ruszyć
głowę/, te kleszcze
unieruchamiające głowę kraju

W części 14 z kolei można prześledzić mechanizm, z jakim Barańczak wykorzystuje w swojej mowie poetyckiej skostnienia frazeologiczne: "rozstać się z nadzieją", "czysty jak łąza", "gorzki płacz". Wyjęte z macierzystych kontekstów /najczęściej lirycznych, intymnych/, zastosowane do opisu manifestacji politycznej, zyskują zaskakujący wymiar: "... proszę się / rozstać z nadzieją, bo użyjemy gazu / zaznaczam, że gaz jest / łązawiący, ktoś tu gorzko zapłacze, oczyścić mi zaraz / z nadziei ten plac, ten mózg, ten kraj ma być / czysty jak łąza" /podkr. moje - B.L./.

Z potocznego wyrażenia "czysty jak łąza" wyłania się tu jego sens ukryty - tragiczny płacz nad Polską. "Przywracanie porządku" kończy się symboliczną sceną. Bohater podnosi pojemnik z gazem, który "doleciał aż tu" i odrzuca go w stronę Polski, w "ich stronę". Nie wykluczone, że w intencji autora miał to być tekst jego poematu. "Przywracanie porządku" niewiele jednak zmieni w układzie sił, bo "ich maski są szczelne". Aby pozostać w kręgu prywatności, którą tak sobie ceni Barańczak, można by przytoczyć słowa innego poety, Zbigniewa Herberta. Po przeczytaniu utworu smutno zamyślił się nad jego finałem. Wreszcie powiedział o locie pojemnika z gazem między Ameryką a Europą: - Za daleko Staszku, nie dolecił!

Wiersz "Grażynie", wbrew zasadzie dominującej w tomie, jest datowany XI-XII 82 r. Data - najważniejszy poza innymi drobnymi śladami - trop, że chodzi w nim o śmierć Grażyny Kuroniowej. Łączyły ją z bohaterem wspólne przestrzenie "z mikrofonem w ścianie", wspólne doświadczenia, działalność, przyjaźnie. Los Grażyny, jej mozolna codzienność żony opozycjonisty, opanowane

do perfekcji rutynowe czynności uwiarygodniają bunt bohatera. Po raz drugi czytelnik zostaje wtajemniczony w prywatność, w życie osobiste polskiej opozycji lat 80. Szczegóły: kreska na tęczęwce Grażyny, zmarszczka w kącie ust, chłodne spojrzenie, którym gasiła wrzask policjanta, spokojne zaparzenie herbaty w trakcie rewizji, znajomość przepisów prawnych - to wszystko co jednostkowe, przynależne tylko jej, staje się w tym tekście uogólnione, nagle typowe. Los Kuroniowej jest losem wielu polskich żon. Mogłby ten wiersz udźwignąć nawet tytuł "Do Żony Polki". Jego celność tkwi w prostocie, w połączeniu cech mowy potocznej z zasadami retoryki. Jednocześnie Barańczak manifestuje tutaj wywiedzioną wprost z ducha romantyzmu wiarę w siłę wiersza. Poezją można pokonać nieistnienie: "Na złość, na zawsze zapiszę tę kreskę na tęczęwce".

Kompozycja "Atlantydy" świadczy o tym, że Barańczak nie rozstał się z formułowaną tak dobitnie w "Nieufnych i zadufanych" ideą sprzeczności jako środka poetyckiego wyrazu. Niekiedy ta sama materia myślowa uzyskuje u niego dwa przeciwstawne ukierunkowania. Zdarza się to z reguły w momentach szczególnie trudnych, nacechowanych tragizmem. I tak np. w "Przywracaniu porządku" pełna optymizmu jest pewność poety, że prawdy o historii nie da się ukryć. Zawsze w końcu zostaną odnalezione tajne akta w zapomnianych kasach pancernych i groby z zamordowanymi w workach plastikowych. Zdziwienie wywołuje jedynie fakt, że znowu ktoś w Polsce liczył na "zatarcie śladów", na to, że "kamień w wodę rzucony przepadnie / bo nie ma dna, na którym mógłby się zatrzymać". Zaprzeczenie tej jasno wyłożonej myśli znajdujemy w wierszu "Kiedyś po latach": "Historia niczego nie przyzna, nie

przyzna / się do niczego, Historia nie odezwie się już ani słowem". Historia dawno nie żyje - została pochowana z paniką w oczach, z wybitymi zębami, a jej usta są "na zawsze zaciśnięte, na zawsze uciszone". Walka, bohaterstwo, męczeństwo utoną w ciszy. Działanie nie ma sensu. Wiersz "Kiedyś po latach" znajduje się tuż po "Grażynie". Przypuścić więc można, iż spójność logiczna sądów została zakłócona celowo. Racjonalizm ugiął się pod ciężarem emocji.

Poprzez rozważania natury ogólnej, dotyczące istoty polskości, form jej istnienia, przyczyn dziejowych niepowodzeń, ponownie docieramy do wpisanego w "Atlantyde" jednostkowego losu Polaka na obczyźnie. Obok wstrząsającego "Ziemia usuwała się spod nóg", gdzie od razu na obcym lotnisku ucieka ruchomy chodnik nowego kontynentu spod stóp bohatera / jak deska zapadni w czasie egzekucji/, a wejście w nowy świat okazuje się spadaniem w głąb ziemi, w ciemność, pojawia się seria wierszy, w których poeta próbuje uchwycić istotę swego losu. Znowu jest on pełen wewnętrznych sprzeczności. "Nie używać słowa wygnanie, bo to nieprzyzwolicie i bez sensu" czytamy, aby kilkanaście stron dalej odnaleźć zdanie, w którym bohater określa siebie jako człowieka uprawiającego "niewidzialne rzemiosło wygnania". On, który nigdy dotąd nie umiał "maszerować w nogę" /"Kwestia rytmu"/, wypadał z szyku, nie kochał polskich rytuałów, kościołów, pieśni religijnych - niespodzianie poczuł silną więź ze spłowiałą chorągwią, hymnami, "z naszą po kątach świata upchniętą wspólnotą". Bohater odnajduje nielogiczną miłość "do tych a nie innych miejsc / twarzy, skrzypiących dźwięków, z nieuleczalną chorobą nadziei" /"Msza za Polskę..."/. Jak żyć ze świadomością, iż do świata, który minął, do Polski wrócić już nie można? Co robić z obsesyjnymi sna-

mi, w których pojawiają się okaleczone przez pamięć przedmioty, widoki, których nigdy nie będzie można już skonfrontować z rzeczywistością /"Druga natura"? Czy należy trzymać się kurczowo tej wyświeconej klamki z drzwi w Nojewie, którą się pamięta z dzieciństwa /"Nie używać, słowa wygna-nie"/, czy wręcz przeciwnie, wejść gwałtownie w otwarte drzwi dworca i zostawić je za sobą? Tego rodzaju pytania pozostawione bez odpowiedzi, rozmięgotania sensów i znaczeń budują wokół "Atlantydy" atmosferę niepokoju, wrażenie bogactwa, czynią z całości utwór atrakcyjny, bo otwierający przed czytelnikami szansę wielorakich odczytań. W tym kontekście wyjątkowo jasna jest konstrukcja całości tomu.

Dwa cykle "Atlantyda" i "Small talk" to rozpoznawanie nowego terenu, ludzi, uprawianie "niewidzialnego rzemiosła wygnania" /"Na pustym..."/.

Zza obrazu oswajanego dopiero świata wyłania się, na zasadzie kontrastu, obraz Polski - to tak jakby na barwną fotografię rzucono czarno-białe zdjęcie. Symultaneizm; dwa światy, które przez kontrast wzajemnie zyskują i tracą. Obraz opuszczonej ojczyzny jest w sumie dosyć konwencjonalny: ubóstwo, brud, kolejki, reżim policyjny, więzienia, chaos, brak stabilności, ale jednocześnie autentyczne przyjaźnie, wspólnota losów, poglądów. Zasadę przenikania od razu w pełni ujmuje wiersz "Nowy Świat", otwierający cykl "Atlantyda". "Nowy Świat" funkcjonuje tu w dwóch znaczeniach jednocześnie: jako zwyczajowa nazwa Ameryki i nazwa ulicy w Warszawie. W cyklu "Atlantyda" towarzyszymy bohaterowi w pokonywaniu obcości, którą trzeba udobruchać, skruszyć, uzwyczajnić. W dwóch wierszach demonstruje Barańczak dwa odmienne sposoby na obcość: personifikację i reifikację. W "Narodzie któremu się powiodło" cały naród, ta obca

siła, ów moloch, którego nie można objąć nawet wyobraźnią, przybiera dobrze znaną postać studenta. Ma typowy wygląd: koszulka sportowa, trądzik, typowe kłopoty: wysokie koszty studiów, egzaminy, miłość do Jane. Ta zamiana wiel ości na jedność ma dodać bohaterowi otuchy, tym bardziej, że "naród" znad ramy roweru obejmuje go "pojemnym, nie czyniącym różnicy uśmiechem". Ale i tu czai się obcość, uśmiech jest anonimowy, darowywany wszystkim, a więc nikomu naprawdę. W "Small talk" odwrotnie: szuka się porozumienia z przestrzenią: "czemużby miała być niema / ta konwersacja hydrantu, mgły, schodów, zgrzytu gałęzi / ze mną zagadywanym - w przelocie". "Ten świat, gospodarz przyjęcia", w którym Ameryka gości Polaka, nie jest jednak zainteresowany w prawdziwym dialogu: "Nie jest przyjęte, aby się wywnętrzać w wymianie zdań ze znanym od tak niedawna światem". Wszystko więc kończy się na konwencjonalnym: "Jak Się Masz", "Mam Się Dobrze", "Jak Tam", "Niezgorzej". Ani ucziółwieczenie, ani urzeczowienie obcości nie daje, jak widać, szansy sukcesu.

Dla człowieka zawodowo parającego się słowem kłopoty z wejściem w cudzy język są sprawą szczególnie istotną. Trzeba nauczyć się pokory, pamiętać, aby mówić nie to, na co ma się ochotę, a jedynie to, co potrafi się powiedzieć. Trzeba zapamiętać, że w ojczyźnie "ruch warg /.../ bywał nieraz wart coś więcej". Przyjąć do wiadomości, że w trakcie dialogu zawsze tylko dojdzie do "dna obcości". W wierszu "Ze wstępu do rozmówek", z potocznego określenia: "mówić płynnie" wyłonił poeta całą "wodną rodzinę" językowych, wyrazistych skojarzeń. Warto przyjrzeć się temu wypreparowanemu z tekstu, barokowemu rozpasaniu: "przemknąć się na wodnych nartach przez

sztuczny staw rozmowy", "głębia po kolana", "zjeżdżalnia słów", "brodzik porozumienia", "sport wodny", "ślizgacz - słuch", "nagła rafa zwierzenia", "zdań fala", "pluskanie podmiotu", "chlupot orzeczeń", "ciemna głębia", "dno obcości". Nawiasem mówiąc, dziełko to pozbawione jest siły i odkrywczości innych analogicznych, analizowanych już tu konceptów lingwistycznych "Atlantydy".

W owym z uporem uprawianym "rzemiosle wygnania" trzeba także przyzwyczaić oczy do nowych widoków, płuca do zbyt czystego powietrza, ręce do obcojęzycznej pisowni, nauczyć się rozróżniać szelesty zza okien /dźwięk cięcia trawników, gardłowe rozmowy sąsiadów, trzask drzwiczek samochodów/, pamiętać, że okna opuszczają się, a nie uchylają, a w sali ćwiczeń nie można ich otworzyć, bo jest klimatyzacja. Trzeba opanować nowe gesty, wyrazy twarzy. Wszystkie umiejętności zdobyte w Polsce są w Nowym Świecie zbyteczne: odmowa zeznań w czasie przesłuchań, mówienie między wierszami, zdobywanie miejsc w kolejce, czekanie na autobus godzinami, godzenie się z losem /"Résumé"/. Należy to wszystko zastąpić "sztukę nieskrępowanego uśmiechu" i pewnością, że tutaj "możnaby być tym, kim się chce być". Ale tego się już bohater nie nauczy. Nie bez kokieterii stwierdza: "nie to zdrowie i nie ta głowa, panie". W obcym Świecie nawet huragany są ubezpieczone. Huragan Gloria to tylko przygoda, po której usuwa się z szyb krzyże z papieru. Prawdziwy krzyż, którego nie można usunąć, dźwiga jedynie pamięć. Jak żyć w tym rozdwojonym świecie, składającym się z dwóch żywiołów - prawdziwej przeszłości i nieautentycznej teraźniejszości? Moim zdaniem odpowiedź na to pytanie została wyrażona nadobitniej w dwóch lirykach: "Na pustym parkingu za miastem, zaciągając

ręczny hamulec" i w "Nie używać słowa wygnanie". Prawdziwą ojczyzną człowieka jest nieskończoność, w której wiecznie trwa: "rozpęd, rozpad, ruch przed siebie". Toczą się one w mikrostrukturze i w makrostrukturze świata, w "wąwozie tętnicy", w "wąwozie galaktycznego wybuchu". W równej mierze dotyczą materii ożywionej i nieożywionej, tak samo parkingu za miastem, planety, jak i ciała ludzkiego. Nigdzie nie ma naprawdę własnej ziemi, istnieje jedynie: "nie z własnej woli wybrana sekunda ocknięcia się w ruchu". Tę filozoficzną wykładnię uzupełnia myśl, że "z każdą chwilą wybiera się inne życie".

Nie jest to prawda, ale może przynieść pociechę.

Bogusława Łatawiec

Stanisław Barańczak: „Atlantyda i inne wiersze z lat 1981-1985”, Puls, Londyn 1986, s. 60.

WYRZUTY SUMIENIA DLA ZAINTERESOWANYCH

"Umschlagplatz" Jarosława Rymkiewicza jest kolejnym głosem - jakże ważnym - w trwającym od czasu "Shoah" i "Biednego chrześcijanina rozrachunku polsko-żydowskim, czy raczej polsko - polskim rachunku sumienia w "kwestii żydowskiej". Lanzmann z naturalistyczną bezwzględnością pokazał dwuznaczną moralnie obojętność świadków Zagłady, Błoński przypisał tej obojętności wymiar odpowiedzialności, przez co przesunął niejako świadków w kierunku katów. Rymkiewicz proponuje co innego - poprzez współodczuwanie, zrozumienie i litość chce umieścić świadków w pobliżu ofiar. W książce, która jest właściwie fabularnym esejem, stwarza postać narratora: samego siebie - Jarosława Marka rozmyślającego nad doświadczeniem Zagłady i próbującego zmierzyć się z polsko-żydowską przeszłością.

Narrator ma poczucie winy - bowiem zaakceptowanie perspektywy proponowanej przez Błońskiego lub przez Rymkiewicza oznacza przyjęcie na siebie bolesnego poczucia winy i męczących wyrzutów sumienia. Mogą one mieć różne, indywidualne przyczyny: zaniechanie, obojętność, wstyd, odpowiedzialność za przeszłość kraju i za jego mieszkańców, rozumianą w wymiarze ponadjednostkowym, wreszcie - niewiedzę. Dręczące narratora "Umschlagplatzu" poczucie winy bierze się przede wszystkim właśnie stąd, że w t e d y był szczęśliwym chłopcem w białych skarpetkach, że n i e w i e d z i a ł, co dzieje się niedaleko jego domu. Gdyby mógł cofnąć czas... No właśnie, gdyby mógł cofnąć czas - co by zrobił?

Wyrzuty sumienia, współczucie Żydom i ochęć zadośćuczynienia im za to, co ich tutaj spotkało, doprowadza narratora "Umschlagplatzu" niemal do utraty własnej osobowości /chce zamienić się z żydowskim chłopcem na zdjęcia z dzieciństwa i na losy lub chociaż stać koło niego z podniesionymi rękami/; wydaje się on żałować, że nie był t a m i nie mógł ginąć razem z nimi. Ale - czy jedynym godnym wyjściem było zginąć razem? Czy o to chodzi, że powinniśmy byli razem ginąć?

Mało, o wiele jeszcze za mało zostało w Polsce powiedziane o Zagładzie. Chociaż pisali Miłosz, Grynberg, Andrzejewski, Wojdowski, Krall... Nie wszystko także zostało przemyślane. Rymkiewicz uważa, że "mieszkanie wokół miejsca - jedynego na tej planecie /.../ - na którym 310.000 ludzi czekało na śmierć" jest dla nas wyzwaniem duchowym i intelektualnym, jest dla nas pewnym zobowiązaniem. Szkoda, że duchowość polska, polska myśl nie wyciągnęły wniosków z tego, czego były świadkami, że nie ustosunkowały się do tego, co się w naszym kraju w czasie ostatniej wojny zdarzyło. Myśleć o tym powinni ci wszyscy, którzy wierzą, że Shoah "należy nie tylko do żydowskiej, ale i do polskiej historii", ci wszyscy, którzy nie boją się wyrzutów sumienia.

Narrator "Umschlagplatzu" - zwykły człowiek - okazuje się bezsilny wobec ciężaru tego doświadczenia: utożsamia się z ofiarami, wolałby zginąć. W pewnym sensie jest to wyjście łatwiejsze, gdyż ofiara nie musi dokonywać wyboru - może tylko umrzeć - p o t e m zaś przychodzi kolej na świadków. Jak - będąc zanurzonym w codzienności - wywiązać się z tego zadania? Jak świadczyć o czymś, czego się nie przeżyło? Czy w ogóle można o tym mówić, skoro wielu

uważa, że o Zagładzie można tylko milczeć? Czy można opisać zetknięcie z nieprzekazywalnym, przerastającym wszystko, co było dotychczas, metafizycznym niemal doświadczeniem? Jak urzeczywistnić to, do czego zostaliśmy - według Rymkiewicza - wybrani: jak "współuczestniczyć, współistnieć w istnieniu"? Co zrobić, gdy jest się pisarzem, który ma wyrzuty sumienia? Autor "Umschlagplatzu" znajduje jedyne chyba dla swojego narratora-pisarza wyjście: czyni go świadkiem Ich niegdysiejszego bytowania i dokumentalistą pustej teraźniejszości. Stara się zadośćuczynić poprzez kreowanie istnienia tych, którzy zginęli i opisuje pustkę, która została po tym, co unicestwione. Świadczy dwójako: o przeszłości, której mocą wyobraźni nadaje kształt, w jakim na pewno mogła się wydarzyć, oraz o teraźniejszości, która tę przeszłość zdradziła.

Żyjemy wokół miejsca, które - podobne kosmicznej czarnej dziurze - pochłonięło pół miliona ludzi, naszych braci. Zniknęli oni z powierzchni Ziemi, i - co gorsza - zniknęli także z naszej pamięci. Żeby przywrócić im twarz i prawo do własnej śmierci - trzeba przywrócić im naszą pamięć. Tak właśnie dzieje się w "Umschlagplatzu": Rymkiewicz ofiarowuje im pamięć szczegółową, drobiazgową, czułą pamięć najbliższego przyjaciela, odtwarzającego ich myśli, uczucia, rozmowy. Narrator /a w tej roli Jarosław Marek Rymkiewicz/ staje się a r c h e o l o g i e m c o - d z i e n n o ś c i, codzienności przedwojennej. Ze wzruszającą pieczołowitością, przekonująco kreuje szczegóły nieistniejącej już rzeczywistości. Złamany schodek, rozdarcie szlafroka, złota oprawka binokli - elementy symbolizujące całość unicestwionego świata - nabierają wyjątkowego, jedynego znaczenia przez to, że przestały istnieć.

Utrwalone zostaje to, co było. Piękne nogi Fejgi Rozenblat w filcowych bamboszach /"bambosze były jasnobrązowe, w kratę, krata była ciemniejsza, ciemnobrązowa. Bambosze całkiem nowe, kupione przez matkę Fejgi na targu w Karczewie. Właściciel tego straganu nazywał się Fogelman. Motek Fogelman."/ wydobyte zostają spośród wielu innych nóg znajdujących się w niepamięci i - zapamiętane. Myśl narratora biegnie drogą właściwych każdemu, półświadomych skojarzeń. Czytelnik odnajduje w takim ciągu tok własnych myśli czy rytm rozmowy. Dzięki temu łatwiej sobie wyobrazić, jak to było, jak mogło być - tamten obcy, nieistniejący świat staje się znajomy i zrozumiały, czytelnik zostaje wciągnięty w proponowaną przez autora grę: w kreowanie przeszłego istnienia, które dzięki naszej wyobraźni i pamięci ma zostać utrwalone i przekazane przyszłości. Wszystko ma zostać utrwalone, bo "przecież nie jest tak, żeby coś było bardziej, a coś mniej godne uwiecznienia /.../, wszystko co istnieje /.../ chce być uwiecznione /.../ i w tym chceniu jest jedyny nakaz, któremu powinien być posłuszny ten, kto bierze pióro do ręki." Rymkiewicz, posłuszny temu nakazowi, uwiecznia drobiazgi: chustkę do nosa /"w kolorze zielonym, a szlaczek chustki w kolorze fioletowym"/, nieudany poobiedni deser /"piana wsiąkła w ciasto /.../, jabłka puściły zbyt wiele soku, ciasto częściowo rozpiętnęło się, a częściowo zmieniło w zakalec"/, rozważania zakochanego w Chai Gelechter Icyka Mandelbauma, jego rozmowę z Jureczkiem Wasiutyńskim.

Fascynująca jest ta archeologia codzienności, kreacja, będąca jednocześnie konserwacją ułamków przeszłości, mniejszych i większych fragmentów istnienia, rozmaitych - ważnych i nieważnych - elementów życia. Całego życia. Taka formuła przemawia do

wyobraźni czytelnika, do jego znajomości realiów życiowych i poczucia rzeczywistości - i przez to czyni nam bliskimi, niemalże zaprzyjaźnionymi ludźmi, którzy zginęli. Ich zwyczajność, by nie rzec - banalność - mocno kontrastuje z niespotykaną grozą ich niezwykłej śmierci.

Jarosław Marek Rymkiewicz opisuje przeszłość z żalem /"Ten wrzask, zgiełk, rwetes i gwałt. Boże, zrób coś takiego, żebym ja choć raz w życiu mógł się przejechać w tym zgiełku kolejką do Świdra."/ i ze świadomością, że jest ona dostępna tylko naszej wyobraźni, że już nigdy, ale to nigdy, dla nas się nie powtórzy.

Drugim - równie ważnym jak archeologia codzienności czasu przedwojennego - wątkiem "Umschlagplatzu" jest archeologia czasu wojny, a r c h e o l o g i a g e t t a. Przedwojenna codzienność zwyczajnego życia, zwykłych ludzkich spraw należy już do czasu zaprzeszczonego; czas przeszły - to wojna i śmierć, pohańbienie ofiar i obojętność świadków, to przedsmak szeolu dla jednych, a możliwość zdobycia cudzego mienia - dla drugich. Getto - przepaść między ludźmi. "Nie należy tego komentować" - pisze Rymkiewicz - obserwatorom wolno o tym opowiadać "wstrzemięźliwie, konkretnie, spokojnie". Tak właśnie postępuje archeolog - na podstawie dostępnych mu źródeł próbuje odtworzyć wygląd Umschlagplatzu, który zajmuje w jego rozważaniach miejsce centralne. Jest to "nie tylko nazwa pewnego miejsca przy ulicy Stawki w Warszawie. To także nazwa pewnego terytorium duchowego lub /.../ nazwa losu: Umschlag czyli limbo, przedśmierz, wejście do podziemi. Umschlag czyli to, co stało się z tymi, którzy tam się znaleźli."

Okazuje się, że nie można odtworzyć wyglądu Umschlagplatzu. Relacje tych, którzy tam byli są niejasne, sprzeczne. Jakiej

był wielkości? Czy był otoczony murem czy parkanem? Ile było tam budynków? Jakiej były wysokości? Ile było wejść na Umschlag? "Czy ci, którzy tam się dostali, leżeli lub siedzieli na wydeptanej trawie? Na gołej ziemi? Na bruku? Na asfalcie?" W którym miejscu były zasieki z drutu kolczastego? Jak długa była droga - i czy była to droga czy ścieżka - prowadząca na rampę i do wagonów?

Nie można odtworzyć wyglądu Umschlagplatzu, chociaż żyje jeszcze parę osób, którym udało się stamtąd wyjść. Ta niemożność odtworzenia ma znaczenie symboliczne, gdyż Umschlagplatz jest granicą dwóch eonów, jest miejscem dzielącym historię ludzkości na "przed" i "po"; jego kształt jest równie niewyraźny jak jego sens: czy jest to - jak chce Rymkiewicz - "Największa Synagoga na kuli ziemskiej /.../ nasza wspólna Synagoga: Żydów, chrześcijan, wszystkich"?

Archeolog getta poszukuje także jego śladów we współczesnym mieście: ocalało kilkanaście domów, a Umschlagplatz znajduje się obecnie "między stacją benzynową a piętrowym pawilonem handlowym z karbowanej niebieskiej blachy." I znowu nie wiadomo: "gdzie /.../ stał budynek archiwum i gdzie była ta żelazna brama wychodząca na Stawki?" w którym miejscu był mur? Czy granica getta przebiegała środkiem ulicy? "Gdzie była brama, na której pisało "przejście pod karą śmierci wzbronione"?" Dla narratora - archeologa przeszłość jest tu stale obecna /"/.../ półciężarówka mija wachę i zasieki, wjeżdża między słupki - pudła z makaronem, tace z ciastkami, plastikowe opakowania z proszkiem E lub z proszkiem Pollena"/, lecz nawet to nie rekompensuje symbolicznego zniknięcia Umschlagplatzu - wymazania go z naszej pamięci i z planu miasta. Nie wiadomo - jaki i dokładnie gdzie był Umschlagplatz, ponieważ "to miej-

sce nie stało się /.../ ważnym miejscem duchowości polskiej, polskiej myśli." Zostało zapomniane, opuszczone, zdradzone. Nie chciano o nim pamiętać.

Albowiem świat po Zagładzie nie przestał istnieć. Ludzie znowu zostali zanurzeni w codzienność, w której rzadko znajduje się przecież czas na myślenie o sprawach trudnych, w której nikt nie jest zainteresowany wyrzutami sumienia. Narrator "Umschlagplatzu" jest także pochłonięty przez codzienność. Jego "teraz" - punkt, z którego podejmuje swoje archeologiczne wyprawy - jest banalne: spędza czas między zakupami w Supersamie, kłótniami z żoną i rozmowami z przyjaciółmi. Chwilami jest denerwujący, egocentryczny i zarozumiały; jest wrażliwy - łatwo się wzrusza, płacze; jest pewny siebie i przekonany o swojej racji - jest zwyczajny. Jednakże - w chwilach rozmyślań - gnębi go poczucie winy i wyrzuty sumienia, które ciążyą nad jego światem duchowym. Przewodnikami tego świata są Antoni Słonimski i Marek Edelman. Być może ci dwaj znają tajemnicę sensu Zagłady - wydają się na ten temat wiedzieć więcej od innych. Lecz tajemnica ta wymyka się - Słonimski już nie istnieje, a Edelman twierdzi, że nie istnieją Żydzi i że nigdy już istnieć nie będą.

Zostaje "Umschlagplatz" - puste miejsce po Żydach, którzy zginęli, puste miejsce polskiej myśli i duchowości. To symbol naszego wieku - wieku obojętności. Jest - spośród wielu - najbardziej wyzywającym i najprawdziwszym pomnikiem naszej epoki: "Rampa i tory pomiędzy Dziką i Stawkami. Ścieżka, którą szli z ukradzionymi z getta kołdrami, poduszkami. /.../ Plaża nad Świdrem, gdzie opalali się, jedli lody, kiedy w niewielkiej odległości zabijano ich sąsiadów. Jedyne pomniki."

Barbara Engelking

J.M.Rymkiewicz "Umschlagplatz", Inst.Liter.
Paryż 1988 s.223, "Nowa", Warszawa 1988 s.189

DYBUK

"Dybuk" Salomona An-skiego stał się ostatnio głośny. Może należałoby raczej powiedzieć, że odbija się echem, to bowiem, co przeważnie o nim wiemy, to że jest dramatem żydowskim, znalazł się więc w centrum podnoszącej się od kilku lat fali mody i - że wyreżyserował go w Teatrze Starym Andrzej Wajda.

W kwestii "mody na Żydów": to, że przez tyle lat temat żydowski w kulturze polskiej nie istniał, nie jest związane z samą tylko kulturą, ale z jej zarządcami. Wprowadzone przez nich embargo ma swoją logikę - nie sposób przecież dopuścić do powstania w społeczeństwie jakichkolwiek pozytywnych sądów o kimś, kogo tak niedawno przy wtórze absurdałnych obelg i zarzutów wyrzucono z kraju. Zniesienie zapisu na Żydów zdaje się jedną z trwałych zdobyczy okresu Solidarności. Nazywanie więc "modą" rzeczywiście dość powszechnego zapełniania powstałej przez dziesięciolecia luki deprecjonuje wagę tego zjawiska i każe zapominać o jego istotnym, politycznym tle.

Dzieło Andrzeja Wajdy ma w procesie "zapełniania luki" wielkie znaczenie. Samo wystawienie "Dybuka" jest wydarzeniem tak istotnym, że dające się niekiedy słyszeć rozważania, czy Wajda podjął się go z "wewnętrznej potrzeby" czy też "dla mody" wydają się mijać z celem. "Dybuk" ma bowiem dla kultury żydowskiej ogromną wagę; co więcej, od czasu swego powstania przenika granice narodowe i staje się fascynacją wielu twórców - nie tylko tych, którzy szukają w nim swoich korzeni.

Ale my tu w Polsce właściwie nie wiemy o co chodzi. Poza trzema kategoriami osób, mianowicie: szczęściarzami, którym udało się zdobyć bilety do Teatru Starego; szpescarzami, którzy natrafili na przekład J. Joelona i J. Rottersmana, wydany w Krakowie w 1922 r. oraz bywalcami, którzy w jakimś kinie studyjnym zobaczyli film A. Waszyńskiego z 1938 r. /tu znaczne są różnice arazacyjne/ - dramat pozostaje nieznany. Nie od rzeczy byłoby więc krótkie streszczenie.

Młodzieniec Chanan, kabalista, chluba i ozdoba brynickiej jesziwy, ubogi lecz wielkiego ducha, kocha z wzajemnością Leę córkę bogacza Sendera. Ten zaś szuka dla niej odpowiedniego, czyli również bogatego męża, czemu gorącą modlitwą stara się przeszkodzić Chanan. Umiera on, bluźniąc, gdy jego usiłowania okazują się bezskuteczne. Jego dusza staje się dybukiem /od dibbuk - przylgnięcie/, wcielonym w Leę, która zrywa obrzęd zaślubin, przemawiając głosem ukochanego i w jego imieniu. Cadyk, proszony o ratunek, odkrywa, że młodzi byli sobie przeznaczeni przez swoich ojców, nierozłącznych niegdyś przyjaciół, z których jeden został bogaczem, drugi zaś osierocił nowonarodzonego syna. Cadyk, nie zważając na wyroki przeznaczenia chce, wygnawszy dybuka, zaślubić Leę jej narzeczonemu. Z psychomachii wychodzi zwycięsko, ale kiedy chcąc powitać pana młodego, na chwilę pozostawia Leę samą, powraca do niej uwolniony - i przez swoje cierpienia oczyszczony z grzechu bluźnierstwa - duch Chanana, który łączy się z jej duszą.

W krakowskim przedstawieniu Andrzej Wajda prowadzi nas tam, gdzie spotykają się doświadczenia wszystkich kultur. Miłość ponad wszystkie przeszkody, miłość ponad śmierć - to przecież jeden z najważniejszych wątków tradycji europejskiej. Jednak

aby uczynić zeń środek ciężkości swego przedstawienia Wajda zmuszony był dokonać w materii dramatycznej "Dybuka" pewnych dyskretnych retuszy.

Można, oczywiście, powiedzieć widzom, że w tym dziwnym, egzotycznym świecie, tak kiedyś bliskim, choć zawsze zapoznanym, dzieją się rzeczy, które wszyscy rozumiemy, znając historię Tristana i Izoldy albo Romea i Julii. I nie będzie to uproszczeniem, bo też spraw miłości i śmierci nie da się uprościć. Ale w ten sposób nie wykorzystuje się w pełni tej szansy, jaką daje sam dramat. Racją osnucia go wokół opisanych wydarzeń jest to, że mogły one przebiegać tak, a nie inaczej tylko w świecie żydowskim, więc ową wyjątkową szansą jest uchwycenie w związanej, dramatycznej formie pełnego i zdumiewająco precyzyjnego obrazu duchowości Żydów wschodnioeuropejskich. "Realistyczna sztuka o mistycznych ludziach" - miał powiedzieć An-ski. O ludziach, nie - o kochankach, o ludziach mistycznych. Bóg: Jego przeznaczenie rządzi ich światem, zaś opisuje go antynomia grzechu i świętości. Ma ona znaczenie ontologiczne, wyraża bowiem fundamentalny związek między istnieniem świata i jego ostatecznym zbawieniem, a żarliwym uświęcaniem poszczególnych osób.

Zgrzeszył Sender - pychą i chciwością, zgrzeszył Chanan - świętokradztwem. Po śmierci, jego wygnana dusza znajduje schronienie w duszy ukochanej Lei i ich połączenie jest jakby dokonaniem przeznaczenia; ale dybuk - to skandal, opętanie, zaprzeczenie wolności ludzkiego istnienia. Musi więc zostać wygnany, aby zyskać odpuszczenie i w śmierci połączyć się z ukochaną na zawsze. Przez grzech świat zaczął chylić się ku upadkowi, przez miłość - tożsamą z przeznaczeniem - wraca do równowagi pod łaskawym okiem Sędziego Sprawiedliwego.

Gdy tak odczyta się "Dybuka", nie ma w nim już scen zbytecznych; każda, w zgodzie z naturalistyczną manierą, jakiej użył An-ski, dorzuca niezbędny element, odcień do pełni obrazu tego świata, w którym - mówiąc słowami A.J. Heschela - "wszystko jest jedynie aluzją do czegoś transcendentnego, /a/ to co jawne dla umysłu, jest jedynie cienką, zewnętrzną warstwę niepoznawalnego".^{3/}

Wspomniane zawężenie przez Wajdę rozumienia tekstu jest, jak sądzę, główną przyczyną niedomagania pierwszego aktu krakowskiego przedstawienia. Jest on zbudowany z szeregu epizodów, które szeroko rysują duchowy pejzaż dramatu. Powiązane są ze sobą tematem, nie akcją, na scenie jednak odegrane zostały w tempie, bez chwili oddechu między jednym a drugim. Ten w gruncie rzeczy mało istotny szczegół powoduje tutaj, że "światotwórczy" cel takiej konstrukcji nie może być w pełni osiągnięty. W rezultacie zamiast doświadczać radości poznawania tego świata, widz obserwuje go z dystansu. Granica między nimi pozostaje nienaruszona.

Wzmaga ten stan trochę sztuczna i przesadna stylizacja gestu i intonacji, które zdają się przypominać, że dla szerszego ogółu głównym źródłem wiedzy o Żydach wciąż pozostaje szmonces.

Myślę, że można w tym wypadku mówić o grzechu zaniechania ze strony reżysera, zwłaszcza, że w II akcie Jan Peszek, świetny przecież aktor, obsadzony w roli Cadyka Azriela, z trudem łapie równowagę między śmiesznością a świętością. Te mankamenty nikną jednak w cieniu kreacji stworzonej przez Aldonę Grochal. Jej Lea jest delikatna i przepełniona smutkiem, jej dybuk ma więcej żaru i - taki - męskości, niż "żywy" Chanan /Krzysztof Globisz/. Jej rola jest pełna. Wyrazista podobnie jak obraz, który

mamy przed oczyma. Wnętrze starej bożnicy, haftowane kotary, osłaniające Arkę, niewielki, rozświetlony witraż z gwiazdą Dawida, grupa modlących się chasydów, wreszcie - na drugim planie sceny, raz ledwie rysujący się w mroku, raz błyskający nagrobny-
mi lampkami cmentarz, z którego ptaki wzbi-
jają się w niebo - a wszystko to za niedo-
strzegalną kurtyną czarnego tiulu. Sceno-
grafia Krystyny Zachwatowicz przenika stare
fotografie, ożywia je, wywołuje duchy umar-
łych. Jest nerwem tego spektaklu.

Muzyka, niestety, przeciwnie. Nie dla-
tego, że nieciekawa, czy źle użyta. Nie
dlatego, że przypomina motywy wrocławskiego
"Sztukmistrza z Lublina" /w którym stanowi-
ła największą wartość/, ale dlatego, że
o d d a l a. Wiadomo, że akustyka tej
sceny jest wątna, że instrumenty brzmią
tam głucho. Ale użycie nagrania magnetofo-
nowego i przesterowanych wzmacniaczy, gdy
na scenie grają muzycy, brzmi fałszywie
w tym spektaklu, w którym tak ważna jest
prawda bezpośredniego doświadczenia.

Osobnego komentarza wymaga przekład.
Ernest Bryll, który ten utwór, napisany
prozą, spolszczył trzynastozgłoskowym wier-
szem /jakim ostatnio na ogół się posługu-
je/, starając się wywołać skojarzenie z
literaturą staropolską i romantyczną, tłu-
maczy ten zabieg chęcią większego przybli-
żenia dramatu polskiej widowni. Podobna
zapewne jest intencja A. Rudnickiego, gdy
pisze on: "Dybuk i Dziady - dwa portre-
ty narodowe." Obydwu autorów znajdujemy
w programie spektaklu, co właściwie wystar-
czyło, by w świadomości odbiorców zaczął
się urabiać znak równości między tymi dzie-
łami. Próby takie są według mnie naciągnie-
te i niczego do hermeneutyki obu tekstów
nie wnoszą. przy czym nie jest ważne, że
An-ski, jako pisarz rosyjsko-żydowski przy-
puszczalnie z polską tradycją romantyczną

w ogóle się nie zetknął. Pomijając też prawie 100-letni dystans jaki dzieli od niej "Dybuka", należy koniecznie zauważyć podstawową różnicę tematyczną: "Dybuk" jest dramatem najdosłowniej religijnym, wyzuty z historii i polityki, te zaś są niezbywalnym piętnem i zarazem nieodzownym kluczem interpretacyjnym polskiego romantyzmu. Dwa portrety - owszem, ale różne je niemal wszystko, z wyjątkiem samego aktu portretowania.

To jest może wystarczający powód, by nie upierać się przy stawianiu obok siebie tych dwóch dramatów, tym bardziej jeśli owocuje ono romantycznym paradygmatem wobec języka przekładu. Zastosowanie takiego wzorca okazało się zresztą zabiegiem chybionym, gdyż - wbrew intencjom tłumacza - język ów niewiele nasuwa skojarzeń z dziełami polskich romantyków, a co gorsza, oddala scenę od widza, podkreśla "inność" przedstawionego świata, zamiast ją zacierać - czego tak obawiał się Ernest Bryll.

Wydaje się, że dramat An-skiego czeka wciąż na prawdziwe przyswojenie go polskiemu językowi.

To, co w latach 20-tych naszego wieku było wprowadzeniem na scenę żydowskiej mitologii wciąż obecnej, wciąż żyjącej wśród ludu, co było więc dialogiem z niewygasłą tradycją, w latach 80-tych, w przekładzie i w teatrze polskim staje się czymś diametralnie różnym - przede wszystkim dlatego, że i tę tradycję, tę mitologię na oczach naszego narodu Holocaust przysypał grubą warstwą popiołów. Dziś podejmujemy dialog z duchami, nie o duchach, a seans teatralny staje się seansem spirytystycznym.

Zauważmy też, czym jest ten spektakl nie tylko w kontekście eksterminacji Żydów podczas okupacji niemieckiej, ale również wobec kolejnych fal exodusu, które niedo-

bitków wygnały z naszego kraju w 1956 i 1968 r.; ale także wobec tak uparcie tkwiącego w nas do dzisiaj antysemityzmu.

Oto okoliczności, które sprawiają, że racją istnienia dramatu An-skiego na polskiej scenie jest przede wszystkim poznanie, cierpliwa eksploracja ciemności i milczenia.

Maria Kurbska

1/ "Dybuk" na motywach sztuki Szymona An-skiego wierszem napisał: Ernest Bryll, adaptacja, inscenizacja i reżyseria: Andrzej Wajda, dekoracje i kostiumy: Krystyna Zachwatowicz, muzyka: Zygmunt Konieczny. Premiera w Teatrze Starym, Kraków, 12 marca 1988 r.

2/ Nie jestem purystką, nie robię więc adaptatorowi z tego powodu zarzutów. Wyeliminowanie dwóch krótkich scen z I aktu jest koniecznym rezultatem przyjętej przez niego "romantycznej" interpretacji tekstu. Scenki te są jednak dość istotne w proponowanym przeze mnie w recenzji odczytaniu "Dybuka".

3/ Abraham Joshua Heschel. The Earth in the Lord's, New York 1955 r., s. 56.

4/ Istniejące przekłady - J. Joelona i J. Rottersmana, wyd. Kraków 1922 r. i Michała Friedmána /1980/, nie wydany drukiem - nie mogą w pełni sprostać temu zadaniu.

Salomon An-ski "Dybuk". Reż. Andrzej Wajda. Scenografia Krystyna Zachwatowicz. Teatr Stary, Kraków.

O POŻYTKACH PŁYNĄCYCH Z EMIGRACJI

Tak sobie myślę, że w biografii Tadeusza Nyczka pewną rolę odgrywa imiesłów "były". Zwróciłem na to uwagę, czytając notę, w jaką wydawnictwo Aneks zaopatrzyło najnowszą jego książkę, tom esejów Emigranci. Główne fakty są niby wiadome, ale dopiero w zestawieniu nabierają wyrazistości. Proszę zresztą zobaczyć, coż w tej nocie powiada się o Nyczku: "były pracownik byłej redakcji 'Studenta'", "były kierownik literacki Teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu", "były sekretarz byłego pisma 'Pismo'", "były członek ZLP i SDP", "były współwydawca byłego wydawnictwa ABC". W uzupełnieniu noty można by jeszcze dodać: były krytyk teatralny; albo: były człowiek teatru.

Co by to miało oznaczać? Zanim spróbuję odpowiedzieć na tak postawione pytanie, chciałbym zgłosić pewne prywatne podejrzenie. Otóż, podejrzewam, że autorem wydrukowanej na okładce Emigrantów noty jest sam Nyczek. Wyczuwam w niej charakterystyczny Nyczkowy humor pomieszany z ironią i sarkazmem, nadający nocie dość osobisty charakter, tak nietypowy dla stylu wydawniczych not. Żaden redaktor nie formułowałby informacji o autorze książki w podobny sposób.

Zakładając zatem, że Nyczek napisał sam o sobie, dalej przypuszczam, iż posługiwanie się słowem "były" w odniesieniu do własnej biografii jest wyborem świadomym i pośrednio daje coś do zrozumienia. A co? To mianowicie, że sytuacja intelektualisty polskiego jest zaprzeczeniem jakiegokolwiek ciągłości czy trwałości; że komfort spokojnej i ustabilizowanej kontynuacji dzieła /cokolwiek byśmy pod tym ostatnim

słowem rozumieli/ nie należy do przywilejów polskiego życia umysłowego czy duchowego. Rzecz przedstawia się zgoła przeciwnie: intelektualista polski znajduje się w permanentnej sytuacji zrywania wątków kultury, określania - ciągle na nowo - wyborów estetycznych, moralnych, politycznych, rozpoznawania i nazywania świata - stale od początku. Zamykanie i likwidowanie instytucji życia publicznego i kulturalnego albo - w najlepszym /?/ razie - zamiana czy przeinaczenie tychże na inne instytucje /casus pisma „Pismo” jest stałym elementem gry z losem, jaką prowadzi intelektualista w PRL-u. Inaczej można by powiedzieć, że etapowość i efemeryczność w biografii polskiego intelektualisty ma swój wymiar materialny i duchowy; materialny, bo przyszłość rzeczonych instytucji - redakcji, teatrów, związków, stowarzyszeń - stoi zawsze pod znakiem zapytania, dziś są, jutro ich nie będzie; duchowy - bo intelektualista nie jest w stanie zbudować niczego, co miałoby cechy jakiejś takiej trwałości; wszystko, cokolwiek pomyśli albo napisze, podlega fluktuacji i dezaktualizacji. Stąd właśnie, w skrajnych wypadkach, bierze się potrzeba zmiany poglądów, wyznań, wiar, potrzeba manifestująca się zwykle spektakularnymi nawróceniami, spowiedziami czy egzorcyzmami. W owych skrajnych wypadkach intelektualista na co dzień narażony na jakąś zgoła ontologiczną nietrwałość sytuacji politycznej, społecznej i kulturowej ujawnia swoje rozdwojenie pomiędzy apostazją a neofityzmem.

Biografia Nyczka nie jest, oczywiście, wypadkiem skrajnym. Nyczek nigdy nie był personalistą, który zamienił się w stalinistę, który zamienił się w rewizjonistę, który zamienił się w opozycjonistę, który... Przeciwnie, mamy tu do czynienia

ze względną stałością wyborów i poglądów, przynajmniej generalnych. Zresztą ta względna stałość odróżnia, mam wrażenie, generację roku 68, do której Nyczek należy, od generacji takich, powiedzmy, pryszczatych, którzy w przywołanym kontekście tworzą indywidualnie i pokoleniowo wzór negatywny. Można by, co prawda, biorąc do ręki publikowane od prawie dwudziestu lat teksty Nyczka, podjąć dyskusję dotyczącą wycofywania się z wcześniej zajmowanego stanowiska w sprawach estetycznych; zwłaszcza Nyczek jako krytyk teatralny byłby wdzięcznym obiektem badań. W żadnym jednak razie nie może tu być mowy o zapieraniu się samego siebie i obnoszeniu co parę sezonów nowych kostiumów. Powiedziałbym raczej, że aktywność Nyczka w dziedzinie krytyki teatralnej po prostu zamiera, tak jakby Nyczek, obserwując stopniową degrengoladę teatru, wybrał milczenie podszyte melancholijną pamięcią o minionej świetności teatru i zarazem wstydem za jego stan teraźniejszy. Ale tak czy inaczej to temat na inne opowiadanie.

Wracając do głównego wątku, chcę powiedzieć, że Nyczek wyjątkowo dobrze zdaje sobie sprawę ze zmienności polskich biografii intelektualnych i co więcej - wyjątkowo jest na tę zmienność wyczulony. Nie wydaje się, żeby ten szczególny stygmat losu akceptował, ale też nie wydaje się, żeby się przeciwko niemu buntował. Możliwe zresztą, że ta alternatywa jest w ogóle błędna. Nyczek spostrzega problem i chce go obejrzeć w różnych wersjach i wariantach; nie pyta, przynajmniej wprost, dlaczego intelektualści i artyści porzucają stare skóry /albo zmieniają je jak kameleony/; nie wdaje się też w moralne oceny tych gestów; Nyczek raczej pragnie się dowiedzieć, co z owych zmian i porzuceń wynika, jaki one przynoszą rezultat myślo-

wy, artystyczny, ludzki. Chodzi zatem o coś, co sam autor we wstępie do swej książki nazywa skutecznością wyboru.

Wybór, o jakim traktuje najnowszy tom esejów Nyczka, jest wyborem szczególnego rodzaju, to może najradykałniejszy z możliwych wyborów: emigracja. Emigracja jako stały paradygmat kultury polskiej i emigracja jako skrajny przypadek porzucania skóry. W odniesieniu do emigrantów, słowo "były" nabiera wyjątkowego znaczenia; gdy mówimy o kimś byłym stalinowcem albo: byłym krytyk, albo: byłym członkiem ZLP, to, uwzględniając nawet różne aspekty podkreślanej przeszłości, mamy na myśli "tylko" niestabilność i chimeryczność polskiej sytuacji polityczno-publicznej. Ale emigrant to właściwie "były" kto? Ktoś taki, kto zdecydował się porzucić wszystko i zacząć od nowa czy ktoś taki, kto właśnie nie chcąc niczego porzucić paradoksalnie wybrał wyjazd?

Jak powiadam, Nyczek nie daje prostych odpowiedzi. Nie wdaje się też w spór między racjami wyjeżdżających a racjami zostających. Interesuje go skuteczność emigracji. "Emigracja nieskuteczna - powiada - jest bowiem klęską, decyzją poronną /lepiej było wobec tego zostać w kraju/. Przegrany jest zarówno ten, kto - wyjeżdżając dla pieniędzy - żyje w biedzie, jak i ten, co pojechał po wolność, a czuje się nadal zniewolony. Są to sytuacje, których emigracja bardzo nie chce dopuszczać do świadomości, ze zrozumiałych przecież względów. Czy w związku z tym nie jest to najgłębszy dramat każdej emigracji?"

Na inny sposób można by powiedzieć tak: Nyczek zdaje się pytać o wartość emigracji. Lub mocniej: czy warto emigrować? Bo skoro ktoś porzuca kraj i siebie-w-kraju, liczy zapewne, że porzucając zyska; albo przynajmniej, że zamieni coś na coś innego: znane

na nieznane, już dane na dopiero możliwe. Coś za coś, ale oczywiście nie w sensie merkantylnym, bo Nyczek nie zajmuje się przecież emigracją zarobkową. Ta perspektywa wyboru wiąże się naturalnie z ryzykiem, ale kto wie, czy to właśnie nie przydaje emigracji smaku: że ona stawia jeszcze przed człowiekiem jakiś wybór, że pozwala na podjęcie jakiejś gry z losem. Żyjąc w Polsce jest się wprawdzie skazanym na wieczną niepewność, ale w tej niepewności kryje się paradoksalna pewność, że wszystkie zmiany mają tu charakter jakby rytualny; rytualny, a więc jakoś zamknięty, pozbawiony ryzyka, monotny, nudny. Wyrwać się stąd to przyjąć perspektywę zmiany, by tak rzec, otwartej na nieprzewidywalne możliwości. W tym sensie emigracja jest zawsze związana z myśleniem o egzystencji potencjalnej. Krótko mówiąc - i banalnie - emigrant jest człowiekiem, który wybiera wolność; wolność rozumianą zresztą egzystencjalnie, a nie tylko politycznie. Przynajmniej ten egzystencjalny aspekt wyboru - i związany z nim aspekt epostemologiczny - stanowi w rozważaniach Nyczka istotny wątek. Jednak Nyczek, przyglądając się wybranym przez siebie emigrantom /trzy pokolenia: Wat, Kott, Mrozek, Zagajewski, Barańczak/ i pytając nie o "powód czy sens bycia emigrantem, ale o każdorazowe skutki poznawcze, filozoficzne, artystyczne, co z tych wyborów wynikało dla myśli, dla literatury i dla kultury", bierze pod uwagę pewien szczególnie wymiar wolności. Nie mówi o tym całkiem wprost, niemniej znamienne wydaje mi się przywołanie cytatu z eseju Wojciecha Karpińskiego, który tak powiada: "Literatura z natury rzeczy wymyka się regułom; literatura emigracyjna, mówi o tym polskie doświadczenie dwóch ostatnich stuleci, nie poddaje się politycznym kodyfikacjom, zyskuje polityczne znaczenie

wówczas, gdy uczy wewnętrznej swobody. Bój napowietrzny toczy się nie tylko i nie przede wszystkim między zwolennikami ideologii, partii czy obozów, istotny jest również ten, który w powojennej polskiej kulturze rozegrał się w umyśle każdego człowieka broniącego swojej wolności, gdziekolwiek by on przebywał, w kraju czy na emigracji".

Otóż w kontekście tego cytatu wydaje mi się, że Nyczek kładzie akcent na subtelną różnicę znaczeń - ledwie odcień - między słowem swoboda a słowem wolność. Swoboda bliższa jest jak sądzę Gombrowiczowskiemu rozumieniu wewnętrznej niezależności, która, jak słusznie zwraca uwagę Karpiński, w małym stopniu zależy od tego, czy przebywa się w kraju, czy na emigracji. Można być człowiekiem swobodnym w PRL-u i nie-swobodnym w Paryżu. Możliwe jednak, że człowiekiem wolnym można być tylko w Paryżu. Eseje Nyczka mówią o tym, jak artyści i intelektualści dochodzą do swobody dzięki temu, że wybrali wolność. Ale jest w tych esejach bodaj jakaś gorycz, jakiś cień żalu o to, że osiągnięciu swobody towarzyszy w każdym z omawianych przypadków akt porzucenia: nie tyle nawet kraju, co siebie.

Wyobrażam sobie książkę komplementarną wobec Emigrantów. Powinna ona pokazać, jak można być swobodnym w sytuacji zniewolenia. Myślę, że Nyczek mógłby taką książkę napisać.

Jan Palusiński

Tadeusz Nyczek "Emigranci". Wyd. "Aneks", Londyn 1988. s. 146.

WIERSE

LECH STEFANIAK

SPOTKANIE

Jak mogło ich zostać tylu
na tym wraku Lwów, osiadłym na mieliźnie
tuż za horyzontem?

Myśleliśmy, że tam już nikogo nie ma,
trudno, nic nie można było zrobić.

Myśleliśmy!:

Brąz z renesansowych płyt przetopiono na
moździerze,
kawałkami witraży bawiły się dzieci
najeźdźców.

Kamień na kamieniu. I nagle ta mała
ciemnowłosa dziewczynka, która do nocy
siedziała w swojej IVc
nad kwestionariuszem z rubryką

"nacjonalnost"

Jak to możliwe? Na wąskiej, stromej uliczce
za lwowską katedrą rozpoczyna się luty,
39 od katastrofy, 17 stopni mrozu,
łzy spotkanego w kościele staruszków
żłobią biały krajobraz. Więc to tak.

"Zapomnieliście, na śmierć o nas zapomnie-
liście..."

rozstaw aliśmy się bez nadziei spotkania,
nie było fałszywych pocieszeń
jeśli to może być pocieszeniem.

Lecz teraz widzę często
przez zasieki i bronowane granice
miejsce, gdzie został z wnuczką
siwowłosy kapitan ORP Semper fidelis.

Lwów-Konin 1978-1986

KASANDRA

pan P. z Drezdenka
jest współczesną Kasandrą
w starczych palcach zaciska
zbielałe powietrze

ten który patrzy daleko
niczego nie żądał za dar
więc jego słowa są przekonywujące
a oczy widzą ostro

by jednak tradycji stało się zadość
kapłani innego boga
próbowali go nawrócić

oddzielając drzazgą paznokcie
wbijając ołówki w uszy

nie woła na placach i rynkach
nie narzuca się
rozmawia z tymi
którzy tego pragną

Europa tonie
kontynent jak wielki transatlantyk
osuwa się w głąb

tam jeszcze gra orkiestra
a tu

- robi wymowny gest
zaraz jednak pociesza

- proces jest tak powolny
że można nauczyć się żyć
pod wodą z zamkniętymi oczyma
zaciśniętymi ustami
oślizgłą pętlą wodorostów

wieszczę słowa
zagłusza wrzawa

młodzi chłopcy
wciągają do miasta

czerwono wschodzące słońce

PODRÓŻ NA WSCHÓD

Nie pragnąłem tej podróży
do kraju złotych obrączek
i taniego szampana

pojechałem by nikt nie mówił
by sprawdzić

tedy na wzgórzu zwanym Kreml /które
wiekowy pień katowski/ przypomina
przystąpiła do mnie bestia
ukazując ludy obalone i oddające jej
hołd
i zważyłem pokusę władzy groźniejszej
nad śmierć
po raz drugi zaś wzięła mnie bestia
na plac
gdzie stały posągi ludzi szczęśliwych
w zapatrzeniu unoszących nad głowami
narzędzia i owoce swej pracy
lecz odwróciłem się jak od marzeń
młodości z bólem
by spojrzeć w milion głodnych światła
ust
Wracałem do kraju osnutego cieniem
drapieżnej gwiazdy
jakbym z lochu wychodził w majowy
poranek

I jakbym skuty
mimo wszystko tańczył A właśnie
szła dziewczyna Przystając co chwila
podawała usta opalonym ramieniem
otaczając szyję
Tedy po raz trzeci przystąpiła
bestia...

SZTUKA RZĄDZENIA MA SWOICH CZUŁYCH KOCHANKÓW
i cynicznych gwałcicieli
oraz bezimienne tłumy
platonicznych miłośników

Wszystkich przekazuje w końcu historii
która w swoich chłodnych
sypialniach układa ich do snu

Być może jednak
są jakieś różnice

i podczas gdy jedni przez wieczność
ze świstem tną powietrze zawieszeni
na długim sznurze

tych których rany Ojczyzny
bardziej bolały niż własne

czeka kraina wysokich drzew
kolorowych haftów Święto płowych łąków

WZNOSIMY SIĘ

zbyt wolno
windą która jest moją codzienną gazetą
ale IS wyjmuje
pisak i między
Legią górą TSA i Zacier to boss
pisze "Nigdy
bym nie robiła TEGO z czerwonym"
i podpisuje
IS
jesteś prawdziwą poetką
tak? mówi i naciskasz
STOP to już 9 piętro
a jeszcze mnie nie pocałowałeś

+ + +

Bardowie i kapłani podbitego narodu
wyklinają nienawiść

nie przynoszą głów wrogów
nie leją ciepłej krwi
na groby pomordowanych

Kładą nienawiść do zbiorowej mogiły
i wszystkie ostre przedmioty
- kropią święconą wodą
- sypią płatki lotosu

Plemiennymi świętościami przystrajają stoły
przy których łagodni posłuszni i syci
nakarmia bezwzględnych posłusznych i
głodnych

Lech Stefaniak

PROZA

MAREK NOWAKOWSKI

NIEZŁOMNY Z "BRISTOLU"

W czasach wczesnej młodości knajpę upodobałem sobie nad wszystko. Bełkotliwa kipiela życia wydawała mi się bezkresem mórz i oceanów oczekujących na swego Kolumba. Knajpa to było miejsce gdzie fale oceanu biły najmocniej i pokazywały się nieznane, odległe lądy. "Ten szynk gdzieś na ulicy nienazwanej, gdzie trzeźwi nawet dojść nie mogą, z tańczącą w nim załogą."

Rozpocząłem tę długą podróż na swoim przedmieściu od szynku "Dziadka" i "Weneccji" malowniczo skrytej pod płaczącymi wierzbami. Stamtąd ruszyłem na dalszy podbój archipelagu. Mogłbym długo wyliczać mnogość barów, spelunek, restauracji dziennych i nocnych gdzie portierzy, szatniarze, babki klozetowe, barmani i kelnerzy służyli mi serdeczną gościnnością, nawet pomocą w palącej potrzebie. Wtedy jeszcze knajpienne życie kipiało różnorodnym żywiołem i nie dawało się okiełznać. Było swoistą enklawą wolności. Pamiętam doskonale taki zabawny obrazek: Oto o 3-ej nad ranem w nocnym lokalu na ostatnim piętrze C.D.T. /pierwszego socjalistycznego uniwersytetu w Polsce/ z pośród zamroczonych alkoholem, "śpiących rycerzy spod Giewontu", zrywa się jeden i ryczy jak ranny koń - Wy czer-

wone syfilisy! Precz! Czas był stalinowski i w innym miejscu poryk ów mógł kosztować wiele. W knajpach jednak system ulegał często anarchizacji i rozluźnieniu. Bywali kapusie, ale przeważnie zapijaczeni, obowiązki swe spełniali niezbyt gorliwie.

W gastronomii wyszynkowej więc egzystował element niekontrolowany. Tutaj jak w rezerwacie gromadzili się ludzie osobliwi, uciekinierzy od realności, apologeci czasu przeszłego, przeciwnicy nowego ładu, wspominkarze. Spotykało się powstańców z 1944 roku, którzy omawiali po raz któryś walki na Starym Mieście czy Czerniakowie; więźniów bezpieki głośno dających wyraz swym przykrym doświadczeniom z Koszykowej, Mokotowa i Wroniek; żołnierzy od Andersa w battle-dressach; znawców sowieckich łagrów i innych osobników nie konwencjonalnych.

Fanatycy ideowych racji też tracili w tym otoczeniu na dogmatyzmie i nieprzejednaniu. Na przykład porucznik bezpieki od słowa hulać nazwany Gulałką, którego "liberalizacją" zajęli się specjaliści od alkoholowych uciech.

Dydaktyka dała pozytywne rezultaty. Groźny spec od tępienia klasowego wroga wyraźnie tracił swą busolę.

Jak na szarość rozpościerającą swój całun nad całym życiem, knajpa była jeszcze tęczą, migotała resztkami kolorów.

Deszedłem wtedy do pochopnego przekonania, że tylko w takim otoczeniu człowiek może żyć naprawdę. Uogólnienie wiązało się z młodzieńczym wiekiem i to mnie w pewien sposób rozgrzesza. Wspinając się po stopniach wtajemniczeń, napotykać zacząłem przy barze w nocnej "Kameralnej" i "Bristolu", wysiadującego tam wysokiego, zgarbionego mężczyznę o pociągłej twarzy z gęstym jeżem czarnych włosów nieco przysrebrzonych siwizną. Bywalcy kłaniali mu

się z szacunkiem. Często otaczały go atrakcyjne kobiety. Wyróżniał się w bełkotliwej, pijanej gęstwie zalegającej bar spokojną godnością. Mówił mało. Jego skąpe wypowiedzi często powodowały spontaniczną wesołość. Sam nigdy się nie uśmiechał. Twarz miał kamienną, pokerową. Barmani, arystokraci nocnej służby traktowali go z atencją, choć nie szafował napiwkami, ani nie okazywał im żadnej serdeczności. Nie dbał też wcale o względy portierów i szatniarzy. Jego pozycja musiała być ugruntowana i nie podlegała żadnym fluktuacjom. Obeznany już z obyczajami i prawami rządzącymi warszawską nocą, obserwowałem go z rosnącym zaciekawieniem. Był personą. Wkrótce dowiedziałem się, że jest poetą, znanym satyrykiem. Ale wedle ocen obowiązujących nocą, to nie były żadne atuty.

Próbowałem wyjaśnić sobie przyczyny jego tak wysokiej pozycji.

Jeden z zaprzyjaźnionych kelnerów, przed wojną był pikolakiem, popatrzył na mnie ze zdziwieniem i powiedział - To nie wiesz? On przed wojną chodził do "Adrii"! - Uśmiechnął się i dodał - Widywałem go, a jakże!

Drugi, znacznie starszy, ten który rysował na bibułkowych serwetkach podobizny Wieniawy, kartografa Bazewicza i Tetmajera w czarnej pelerynie, dorzucił garść barwnych szczegółów z dawnych, przedwojennych czasów.

Była w tym ożywieniu starych wyjadaczy pieczołowicie przekazywana nieć ciągłości, pamięć o minionym. To poczucie symbolizowało dla nich ten niestary z wyglądu mężczyzna, z głową schowaną w ramiona, o nieruchomej twarzy i ponurych oczach.

Powodowany przemożnym impulsem, korzystając z tłoku przy barze, spróbowałem zawrzeć z nim znajomość. Nie przyjął oferty. Odburknął coś z wyraźnym lekceważeniem. W zwadę /właściwie mój obelżywy monolog

odtrąconego; on milczał wyniośle/ wkroczył portier o posturze atlety, który pełnił funkcję stróża porządku.

Zapamiętałem porażkę. Nadal ukradkiem spoglądałem w jego stronę. Głowę miał żelazną i choć pił tego, nigdy się nie upijał. Miał swoich stałych wielbicieli. Słuchali go jak guru.

Kiedyś znów spróbowałem. Korzystając wtedy z błahego pretekstu /potrącił łokciem mój kieliszek, coś takiego/ zelżyłem go łobuzerskim stylem. Swoim ochrypłym, jakby głuchym głosem odpowiedział. Posługiwał się dosadnymi epitetami, koniecznymi w słownej utarczce.

Z czasem stało się regułą, że powarkiwalismy na swój widok. Mógł mnie nie znosić. Może personifikowałem dla niego nawalę Hunów, tych powojennych ludzi bez pamięci i tradycji, którzy wtargnęli do miasta?

Ale chyba przyzwyczaił się już do mojej obecności. Niekiedy jakby mnie szukał wzrokiem i wyłowiwszy z mroku, zaraz odwracał głowę.

To też raz i drugi zdarzyło się w późnych godzinach, kiedy za oknem pokazuje się świt i światło dnia zderza się ze światłem knajpy, że dochodziło między nami do pewnej fraternizacji. Sięgałem po papierosa z jego paczki. On kiedyś całkiem jawnie wychylił mój kieliszek wódki.

Ale to incydenty na marginesie tylko. Wcale nie oznaczały zasadniczej zmiany.

Jego twórczością literacką nie interesowałem się w ogóle. Satyra, którą uprawiał cieszyła się znacznym powodzeniem, wspomnianą często jego szopki i fraszki, które pisywał przed wojną. Sam wtedy dopiero zaczynałem i były to próby sekretne. Jeszcze łądowałem swój akumulator i mitologia warszawskiej nocy odgrywała w tym niepoślednią rolę. Miałem swego Księcia Nocy, demiurga niebywałej siły; zwariowaną wyo-

braźnią podnosił on na wyżyny piaski świątek, w którym żyłem. Natomiast ten drugi, trudny do rozgryzienia człowiek nocy nieruchomo i posępnie trwał przy barze. Chwilami przypominał wiekowego żółwia. Może bar był dla niego ucieczką, zagłuszeniem pustki i niemocy? Pił metodycznie i kieliszki jak wskazówki zegara znaczyły jego czas. Rzadko się odzywał i te krótkie powiedzenia, przeważnie sceptyczne i szydercze, działały jak lodowaty strumień wody na rozpaloną głowę.

Czy był to mędrzec? Co on myślał o mnie? Nie wiem.

Przyzwyczaiał się do mojej obecności w swoim królestwie. Jeszcze rzucał jakąś wzgardliwą uwagę pod moim adresem. Nie pozostawałem mu dłużny. Ale wobec poprzedniej, wysokiej temperatury były to już tylko leniwe pogwarki, kłusanie bez kłów.

Rozpocząłem literacki termin. Wydrukowałem kilka opowiadań. Później książkę. Byłem ciekaw jego zdania. Długi czas wykazywał zupełną obojętność dla moich dokonań. Aż nadszedł taki moment, kiedy się odezwał. Zranił mnie boleśnie. Nazwał nieudanym epigonem Hłaski. Zrewanżowałem mu się podobną monetą, recytując jego wiersz z czasów przed 56 rokiem o jadach "atlantyckiej kultury", Trumanie i bikiniarzach, którzy są forpocztą amerykańskiego imperializmu.

"Jeden mówi: Bugi wugi...

Budzi-wudzi, buzi-wódzi!

Krzyk bojowy ludzi budzi.

I do tańca przytup, drgawka.

Potem jakby wspólna czkawka.

Głowa w tył, zaś w przód figura.

Atlantycka to kultura." - przekrzykiwałem gwar przy barze.

Cios był celny. Poderwał opuszczoną głowę. Oczy wściekłe.

Tylko dyplomatycznym talentom któregoś z niezrównanych barmanów, Józefa czy Edwarda

należy przypisać umiejętne rozładowanie spięcia. Pan Edward czy Józef z własnej inicjatywy napełnił dwa kieliszki, zachęcając nas do spełnienia toastu pojednania. Wypiliśmy. Nastąpił przełom. Potraktował mnie wprost. Dotąd nie dostrzegał. Aż zaistniałem. Z tej drugiej fazy pozostało wspomnienie zbitki nie wyróżniającej się charakterystycznymi epizodami. Już zaczęliśmy rozmawiać. Wydałem kilka książek. Chimera pisanego słowa coraz bardziej zaprzętała moje myśli i pragnienia. Lecz literatura nigdy nie stała się przedmiotem naszych rozmów.

Chętnie opowiadałem mu o swoich doświadczeniach i przygodach z warszawskiego półświatka. Kartoflany alkohol, wino Gryf i Tur, mazowieckie "Sztuczne Raje", parafrazując Baudelaire'a... Coś o tym wywoziliśmy. Szydził z moich tenedencji do przypisywania knajpie i ludziom nocy jakiegoś szczególnego znaczenia. Jednym ostrym jak lancet powiedzeniem burzył moje wydumane konstelacje. Choć się obruszałem, to jednak odpowiadał mi jego sposób reakcji na życie. Nigdy nie wyrażał żadnego zaskoczenia. Ta niewzruszona postawa nie była efektowną pozą. Raczej wynikała ze światopoglądu. Z osobnej, niezaangażowanej wprost postawy chłodnego obserwatora. Wnioski wyciągał racjonalne, często cyniczne, ozdabiając je czarnym humorem przedniego gatunku. Dużo czytał. Nieraz widywałem go podczas dziennych spacerów przed witrynami księgarń, z plikiem pism literackich pod pachą. Przestrzegał pewnych zasad i nigdy nie pił za dnia. Zawsze po zmroku, najchętniej z nastaniem pełnej ciemności.

Tak więc spotykając się na dziennych spacerach, rozmawialiśmy o nowościach książkowych i innych wydarzeniach życia kulturalnego. Rozeznany w tym doskonale. Własne zajęcia literackie traktował lekko. Miały, jak powiadał, charakter czysto użyt-

kowy, dawały pieniądze i nic więcej. Wtedy wyobrażałem sobie, że pisze pamiętniki. Fascynujące, gęste od obserwacji, refleksji, portretów ludzi. Mogłoby to być ciekawy obraz podróży przez czas, poznaczony wstrząsami, umieraniem epoki jego młodych lat, nastaniem nowego porządku.

Wspominałem o tym niepewnie. Wyśmiał moje przypuszczenie. Stanowczo zaprzeczył. Niezauważalnie nastąpiła faza znajomości ścisłej. Już mówiliśmy sobie po imieniu. Siadywałem przy jego elitarnym stoliku w klubie aktorów. Tam wrócił czkawką mój atak na jego usługową twórczość z przed roku 56-ego.

Powiedział: Ale chyba przyznasz, w formie to było nienaganne, prawda?

Żart, cynizm. Nie wiadomo.

Przejrzałem potem te fraszki. Brzmiały często jak parodie, szyderstwo z racji, którym miały służyć.

Łączyła nas już zażyłość. Nawzajem się zapraszaliśmy. Oto pewien epizod: Klub filmowców, zwany potocznie "Ściekiem". Byłem tam z dziewczyną. Przysiadł się do nas. Mówiliśmy jak zawsze skąpo, co pewien czas kieliszek w górę. W pewnym momencie ogarnął mnie niepokój o stan posiadania. Dziewczyna coraz częściej spoglądała w jego stronę, tokowała zalotnie. Otaczała go taka jakaś aura. Dziewczyny ciągnęły do niego jak ómy. Sam nie zdradzał nadmiernej aktywności. One same. Czy był to przekazywany jak w sztafecie mit uwodziciela? Spostrzegł mój niepokój i uśmiechnął się lekko. Dawał sygnał swojej lojalności.

Nadal stanowił nierozwiązywalną zagadkę. Żółw w solidnej skorupie.

W ostatnich latach swego życia jeździł kilka razy do Ameryki. Do żony "Kropki", córki Moniki i wnuczki. Potem do dwóch wnuczek. Chętnie o nich opowiadał. Chętnie i ciepło. Głos jego wtedy łagodniał, tracił

ochrypłą, głuchą ostrość. Mąż, ojciec, dziadek. Ostatnia odsłona. Tam za oceanem polubił bardzo Witka, męża córki, który w amerykańskim stylu począł zdobywać pozycję w nowym świecie.

Był już siwy, bardziej zgarbiony, jego szczupłą sylwetkę zniekształcał brzuch.

Niestrudzenie trzymał się swego rytmu. Noc była jego bastionem, w którym schronił się "jak Almansor z garstką swych rycerzy" i tak trwał. Tylko dawnych miejsc było już coraz mniej. Zamarła "Kameralna", przeznaczona do generalnego remontu. Czcigodna noc w "Bristolu" zamieniła się we wrzaskliwą dyskotekę. Kurczyły się obszary.

Właściwie ograniczył się do klubu aktorów, gdzie zachowały się jeszcze resztki dawnej atmosfery. Zamiast starych barmanów z "Bristolu" i "Kameralnej" którzy odeszli już w niebyt, miał tutaj dwóch szatniarzy - weteranów, a przy jego stoliku zbierała się topniejąca grupka przyjaciół.

Odchodzi w niepamięć przeszłość. Odchodzi dawni ludzie. Złożony chorobą "Mauzio", ostatni z mistrzów słowa mówionego, zabawił się niedawno przekładem na francuski żartobliwego czterowiersza Janusza Minkiewicza o "Ferdydurke".

- "Ferdydurke, Ferdydurke!
Do dmuchania ma on rurkę
Niezbyt duża, raczej mała
Do dmuchania doskonała."

Ta igraszka została napisana z okazji ukazania się powieści Witolda Gombrowicza w 1937 roku.

I myślę też, że wcale nie był błąh ten absurdalny tekst Janusza, którym chętnie szermował, jak opowiadała "Kropka", podczas okupacji.

- Niech żyje Czerwona Hiszpania! - wołał wznosząc kielich z gorzałką.

Być może w tym zawołaniu tak zaskakującym w kontekście tamtych lat zawarty został jego pogląd na całe to szaleństwo historii

i jej krwawe dzieje; Hiszpanie, Polacy, wojna, egzekucje, Hitler, Wschód znany mu z autopsji podczas pobytu w Wilnie. Ponura bezsensowna karuzela jednostek, pokoleń, społeczeństw, epok...

Ale najlepiej pamiętam pewien letni świt. "Bristol" już skończył swą nocną działalność. Wyszliśmy razem z Januszem. Wysokie pogodne niebo. Zieleń świeża, przedranna. Z piwnicznego okienka dostałem od zaprzyjaźnionych piekarzy smaczne ciepłe bułeczki, z których wypieku słynęła tamtejsza piekarnia. Śmiał się Janusz z mojej pomysłowości. Szliśmy powoli w stronę Starego Miasta. Rozmawialiśmy z ożywieniem. Odprowadziłem go pod dom. Nie pamiętam o czym rozmawialiśmy. Ale bardzo dobrze pamiętam ten spacer o świcie.

Marek Nowakowski

WARŁAM SZAŁAMOW

WSKRZESZENIE MODRZEWIA

Jesteśmy zabobonni. Łakniemy cudu. Wymyślamy sobie symbole i tymi symbolami żyjemy.

Na Dalekiej Północy człowiek szuka ujęcia dla nagromadzonego w nim uczucia, którego nie zdołały zniszczyć i rozwiązać dziesiątki lat życia na Kołymie. Człowiek nadaje pocztą lotniczą przesyłkę. Nie ma w niej ani książek, ani fotografii, ani wierszy. Jest gałązka modrzewia, martwa cząstka żywej przyrody.

Ten dziwny prezent - wysuszoną, przewianą wichrami samolotów, zgniecioną, połamaną w workach pocztowych, jasnobrązową,

szorstką, twardą, ościstą gałązkę drzewa Północy - ktoś wstawia do wody.

Do słoika po dżemie, pełnego wody: zlej, chlorowanej, odkażonej wody z moskiewskich wodociągów, do pragnącej zdusić wszystko co żyje - martwej wody z moskiewskich wodociągów.

Modrzew to więcej niż kwiaty. Tutaj w pokoju jest dużo kwiatów, wszystkie jaskrawe. Gałęzie czeremchy, gałęzie bzu nurzają w gorącej wodzie rozszczepione, sparzone wrzątkiem końce.

Modrzew stoi w chłodnej wodzie, ledwie podgrzanej. Róśl bliżej Czarnej Rzeki^{x/} niż wszystkie te kwiaty, wszystkie gałęzie czeremchy i bzu.

Wie o tym pani domu. Wie też i modrzew.

Poddając się nieprzepartej woli człowieka gałązka zbiera wszystkie siły: fizyczne i duchowe, bo do wskrzeszenia nie wystarczą same siły fizyczne - moskiewskie ciepło, chlorowana woda, obojętny szklany słoik. W gałązce budzą się inne, tajemnicze siły.

Mijają trzy dni. Trzeciej nocy panią domu budzi dziwny, niepokojący zapach terpentyny: słaby, delikatny, nowy zapach. Na szorstkiej skórze gałązki widać wyraźnie wychodzące na świat nowe, jaskrawozielone młode igły.

Modrzew żyje, modrzew jest nieśmiertelny.

Cud zmartwychwstania. Cud, wszak pani domu wstawiła gałązkę do wody w rocznicę śmierci na Kołymie swojego męża - poety^{xx/}.

Tak, nawet ta pamięć o zmarłym też miała swój udział w przywróceniu do życia we wskrzeszeniu modrzewia.

Ten subtelny zapach, ta oślepiająca zieleń igieł to niewątpliwie oznaki rodzącego się życia. Są jeszcze słabe, ale istnieją; ukryte dotąd w modrzewiu, ukazują się teraz, wskrzeszone przez nieznaną siłę

duchową.

Zapach modrzewia był słaby, ale zdecydowany, i żadna siła na świecie nie zdołałaby go rozwiać, zagłuszyć, podobnie jak nie potrafiłaby zaćmić tego zielonego, wiosnego światła i koloru.

Ile lat - maltretowany wiatrami, mrozami, kręcący się za słońcem modrzew wyciągał każdej wiosny ku niebu swe gałęzie pokryte młodymi, zielonymi igłami?

Ile lat? Sto. Dwieście. Sześćset. Daur-ski modrzew dojrzewa trzysta lat.

Trzysta lat! Modrzew, którego gałąź, gałązka oddychała na moskiewskim stole, był rówieśnikiem Natalii Szeremietiewej-Dołgorukiej i mógł przypomnieć nam o jej tragicznym losie - o kolejach życia, o wierności i męstwie, o niezłomności ducha, o katuszach fizycznych, moralnych, niczym nie odbiegających od męczarni trzydziestego siódmego roku, o oszalałej przyrodzie Północy, nienawidzącej człowieka, o śmiertelnych niebezpieczeństwach wiosennych powodzi i zimowych zamieci, o rozpasanej samowoli naczelników, o śmierciach, ćwiartowaniach, łamaniu kołem męża, brata, syna, ojca, donoszących jeden na drugiego, sprzedających jeden drugiego.

Czy to nie odwieczny rosyjski wątek?

Po retoryce moralisty Tołstoja i żarliwych kazaniach Dostojewskiego były wojny, rewolucje, obozy koncentracyjne, Hiroszima, donosy, rozstrzelania.

Modrzew zmienił bieg czasu, zawstydził ludzką pamięć, przypominał niezapomniane.

Ten sam modrzew, który patrzył na śmierć Natalii Dołgorukiej, widział też śmierć rosyjskiego poety i miliony trupów, nieśmiertelnych w wiecznej zmarzlinie Kołymy. Modrzew ten rośnie gdzieś na Północy, rośnie żeby widzieć, żeby krzyczeć, że nic nie zmieniło się w Rosji - ani życie, ani ludzka złość, ani obojętność.

Natalia Szeremietiewa wszystko to zanotowała, pisząc z rozpaczą, wiarą i siłą. Modrzew, którego gałązka ożyła na moskiewskim stole, był już na świecie, kiedy Szeremietiewa rozpoczynała swoją ciernistą drogę do Bieriozowa, jakże podobną do drogi za Morze Ochockie - do Magadanu.

Z modrzewia toczył się, właśnie tak - toczył się zapach, jak sok. Zapach przemieniał się w kolor, i nie było między nimi granicy.

Modrzew stojący na moskiewskim stole żył, żeby przypominać ludziom o ciężącym na nich obowiązku - nie zapomnieć nigdy o milionach ofiar Kołymy, o milionach trupów.

Słaby, natarczywy zapach był głosem martwych.

Tylko ze względu na nich modrzew odważył się oddychać i w ich imieniu przemawiać.

Do wskrzeszenia konieczna jest siła i wiara. Wstawić gałązkę do wody to jeszcze nic. Sam próbowałem, lecz gałązka uschła, zrobiła się krucha, łamliwa, uszło z niej życie. Odeszła w niebyt, zniknęła, nie zmartwychwstała. Ale gałązka w mieszkaniu poety ożyła.

Tak, są gałęzie bzu, czeremchy, są chwytające za serce pieśni-romanse. Modrzew to żaden temat, żaden materiał na romans.

Modrzew to drzewo surowe, poważne. Jest to Drzewo Wiadomości Dobrego i Złego. Nie jabłoń, nie brzoza, lecz właśnie modrzew rósł w Raju do chwili wypędzenia Adama i Ewy.

Modrzew - drzewo Kołymy, drzewo obozów śmierci.

Na Kołymie nie śpiewają ptaki. Kwiaty Kołymy - jaskrawe, śpieszące się, jarmarczne - nie mają zapachu. Krótkie lato - zimne powietrze bez życia, suchy żar dnia i paraliżujący chłód nocy.

Na Kołymie pachnie tylko górska dzika róża, jej rubinowe kwiaty. Nie pachną róże, opasie, jakby z gliny lepiące konwalie, ani fiołki, wielkie jak pięść, ani cherlawy jałowiec, ani wiecznie zielony stłanik.

I tylko modrzew napełnia lasy swoim niepokojącym terpentynowym zapachem. Z początku wydaje się, że to zapach zgnilizny, zapach trupi. Ale gdy ktoś już się z nimi oswoi i wciągnie głęboko do płuc, zrozumie wtedy, że to zapach życia, zapach walki z Północą, zapach zwycięstwa.

A zwłoki na Kołymie nie pachną. Są zbyt wyniszczone, wykrwawione, i leżą w wiecznej zmarzlinie.

Nie, modrzew to nie jest temat, to nie materiał na romans.

Niepodobna opiewać tego drzewa, nawet tekstu pieśni ułożyć się nie da. Trzeba tutaj innych słów, z innych głębin, z innych pokładów ludzkich uczuć.

Człowiek wysyłając gałązkę modrzewia pragnął przypomnieć nie o sobie, lecz o tych milionach zabitych, zamęczonych więźniów, którzy spoczywają w bratnich mogiłach na północ od Magadanu.

Człowiek chciał zrzucić z serca ten ogromny ciężar, chciał pomóc innym, aby odważyli się mówić, pamiętać.

Pomóc towarzyszącom, którzy uniknęli śmierci w obozach zagłady Dalekiej Północy.

Wysłać tę giętką, szorstką gałązkę...

Czyniąc to, człowiek nie zdawał sobie sprawy, nie wiedział, nie domyślał się, że w Moskwie gałązka ożyje i zmartwychwstała zapachnie Kołymą, zakwitnie na moskiewskiej ulicy i dowiedzie, że modrzew jest silny, nieśmiertelny.

Sześćset lat życia modrzewia to dla człowieka - nieśmiertelność.

Nadając przesyłkę, człowiek nie wiedział, że w Moskwie ludzie będą dotykać,

będą głaskać tę skromną, twardą, chropowatą
gałązkę, będą patrzeć na oślepiającą zielen
igieł, oznaczającą odrodzenie, zmartwych-
wstanie; będą wdychać jej zapach - nie
jako pamięć o przeszłości, lecz jako żywe
życie.

Przełożył Stefan Wodnik

x/ Autor ma na myśli Styks /przypis
tłumacza/

xx/ Prawie na pewno - Osip Mandelsztam
/przyp. tłum./

Opowiadanie ze zbioru "Woskrieszenije
listwiennicy", którego tłumaczenie przygo-
towywane jest dla wyd. CDN, YMCA-PRESS
Paryż 1985.

FELIETONY

LEOPOLITA

MOIM ZDANIEM...

W dniu, w którym piszę ten felieton Wałęsa spotyka się po raz drugi z gen. Kiszczakiem. Czy kiedy dojdzie do Stołu nie wiadomo, a czym się Stół zakończy nie wiadomo jeszcze bardziej. Trzecią niewiadomą jest to, kiedy się ukaze, choć na pewno po herbacie i przed następną. Korzystając tedy z takich luzów oraz z faktu, iż pisanie moje na nic aktualnie wpłynąć nie może chciałbym zarysować pewną problematykę zgola i na różne sposoby fantazyjną: jakim związkiem zawodowym mogłaby być "Solidarność"? Zanim jednak do fantazjowania przystąpię - krótka nota typu kronikarskiego.

W czytany "na falach", redakcyjnym artykule z październikowej "Kultury", redaktor, bodaj dwukrotnie powiada, że inteligencja polska jest antysolidarnościowa. Myślę, że tak ogólnych twierdzeń wypowiadać nie warto. Tzw. inteligentów mamy od choleury i większość z nich jeśli co zajmuje, to miejsce w kolejce a nie pozycje. O ile natomiast chodzi o aktywną politycznie mniejszość, to bywa różnie. W dzień po pierwszym spotkaniu Wałęsa - Kiszczak usłyszałem od B.: nie interesuje mnie nic poniżej delegalizacji PZPR, a już szczególnie

relegalizacja "Solidarności". Odnotowuję tę wypowiedź ze względu na jej zwięzłość oraz elegancję, a także z uwagi na to, że daje ona trafny wyraz emocjonalnym postawom pewnej części robotników, inteligencji i zapewne chłopów. Dodam też, że w swoim środowisku zawodowym B. robi bez porównania więcej od niejednego świecznikowca opozycji.

A teraz do tematu: jakim związkiem zawodowym mogłaby być nie taka już młoda panna "S"?

A no różnym.

Na przykład obejmującym dwie trzecie albo i więcej pracowników najemnych czyli tak zwanego z francuska salariatatu /od salaire - płaca/, związkiem czysto roszczeniowym i zarazem wyżywającym się w licznych rocznicowych manifestacjach. Z uwagi na liczbę członków byłby to związek bardzo silny, ale też na tym moc jego by się kończyła. Bo poza tym - liczne słabości. Przede wszystkim, właśnie ze względu na liczebność, znaczną część swojej energii musiałby taki związek zużywać na klajstrowanie różnych wewnętrznych sprzeczności ekonomicznych oraz politycznych. I jakkolwiek tarcia oraz nieskrywane różnice poglądów są dla każdej organizacji społecznej czymś niezbędnym, można się obawiać, że w tym przypadku masa różnorodnych konfliktów paraliżowałaby energię. Po drugie, w tak licznych związku głos większości byłby siłą rzeczy głosem tych, których głównym marzeniem jest egalitarne, socjalistyczne państwo opiekuńcze. To znaczy takie, w którym za możliwe minimum źle wykonanej pracy otrzymuje się możliwe maksimum pieniędzy o znikomej sile nabywczej. Istotną właściwością takiego związku byłoby dziwaczne połączenie silnie akcentowanej frazeologii religijno-patriotycznej z całkowitą zależnością od zasadniczych form socjalistycznej gospodarki.

Nikt oczywiście nie wyobraża sobie własnej, wywalczonej przeciw organizacji w ten właśnie sposób, ani tym bardziej nie przedstawia takiego obrazu własnego innym. Nie mniej układ sił społecznych wewnątrz i na zewnątrz związku pchać go będzie w tym właśnie kierunku. A dodać należy, iż znaczna część żądań rewindykacyjnych - np. dotyczących bhp, opieki nad dziećmi w wieku przedszkolnym, budownictwa mieszkaniowego - to roszczenia, za którymi stoi ponura rzeczywistość naszych fabryk, przedszkoli, zatłoczonych mieszkań. Zarazem roszczeń tych nie może zaspokoić ani socjalistyczna gospodarka, ani socjalistyczne państwo opiekuńcze, twór - używając terminu Witkacego - zborsuczony. Związek zatem skazany byłby na jałowe rewindykacje pod adresem państwa z którym jest silnie - choć bynajmniej nie uczuciowo - związany i które nie jest w stanie jego roszczeń zaspokoić. Nawet gdyby chciało, w co skąd inąd wolno wątpić. Inaczej mówiąc, taki związek zawodowy wychodząc z jednej sytuacji patowej wpycha sam siebie w drugą. Można jednak wyobrazić sobie "Solidarność" jako innego typu organizację zawodową.

Tu od razu powiem, że przystaję na zarzut utopijności. Pomysł, który za chwilę przedstawię jest dziś utopijny. Z dwóch co najmniej względów. Po pierwsze, dlatego że wewnątrz związku opowiedziałaby się za nim mniejszość. Po drugie zaś, dlatego, że w tej chwili propozycje te są dla czerwonego nie do przyjęcia, głównie z uwagi na to, że zmierzają do maksymalnego ograniczenia roli partii w życiu gospodarczym. Sformułowanie tej utopii jest jednak niezbędne. Zarówno dlatego, że wskazuje ona pożądaną, w moim przekonaniu, kierunek działań jak i z uwagi na to, że przyszłość jest nam na szczęście nieznana. To, co

dziś. wygląda na czystą fantazję, za czas jakiś może się okazać realną możliwością.

Jak tedy wyobrażam sobie inaczej działającą "Solidarność"?

Przede wszystkim jako taką, która ma jak najmniej wspólnego z socjalistyczną gospodarką oraz socjalistyczną niby-opiekuńczością. A więc związek, który konsekwentnie i różnymi drogami zmierza ku gospodarce rynkowej. Między innymi przez przejęcie na własność części zakładów pracy i zarządzanie nimi w sposób kapitalistyczny. To znaczy nie wpuszczając na teren swoich zakładów żadnych partii politycznych, i tym samym podcinając jeden z korzeni nomenklatury. Związkowi jako właścicieli nie wolno też dopuścić do utworzenia własnej nomenklatury gospodarczej, co daje się uregulować przy pomocy wewnętrznych przepisów. Po drugie wysoko opłacając menadżerów, kadre techniczną i robotników za zysk i pozbywając się tych, co źle pracują. Część zysku związek powinien przeznaczać na własny system szkolnictwa zawodowego, własne leczenie i własne przedszkola. Bynajmniej nie bezpłatne, bowiem składki członkowskie w takim związku musiałyby być wysokie, choć zróżnicowane, i regularnie płacone. Taki związek musiałby sobie wywalczyć prawo tworzenia spółek mieszanych oraz zaciągania pożyczek zagranicznych, których państwo by nie gwarantowało, ale też do przedsiębiorstw się nie mieszało. Związkowi jako właścicielowi ma grozić realne bankructwo jeśli wynajmie i będzie tolerował ludzi, którzy nie umieją robić biznesu.

Klasyczny liberał powie, że to mrzonka, ponieważ zakłady stanowiące własność związku musiałyby cierpieć na wszelki schorzenia kolektywizmu. Jest to zagrożenie rzeczywiste, które można poważnie zredukować.

Związek bowiem powinien dążyć do stworzenia gospodarki rynkowej - a więc rzeczywistej konkurencji - nie tylko przejmując na własność niektóre zakłady pracy, lecz wszelkimi sposobami popierając rozwój prywatnego przemysłu i handlu, zdecydowanie dążąc do stałego wypierania socjalistycznego państwa ze sfery gospodarczej. W warunkach konkurencji, przedsiębiorstwa stanowiące własność związku albo będą zyskowe, albo upadną. Po drugie, w swoich zakładach związek może uruchomić potężny mechanizm satysfakcji z dobrze wykonanej pracy, za którą otrzymuje się godziwe wynagrodzenie. To nieprawda, że ludzie lubią źle pracować. Znaczna część, choć oczywiście nie wszyscy, czerpie z dobrze wykonanej sensownej pracy zadowolenie, które jest wartością samoistną. Nawet niektóre relacje z sowieckich łagrów /Sołżenicyn, Bukowski, Kraśniewska/ dowodzą, że wystarczyła odrobina samodzielności i kropla sensu, by dobrze wykonana praca sprawiała ludziom, zdumiewającą w tych warunkach satysfakcję. Po trzecie wreszcie, w swoich zakładach, tak funkcjonująca "Solidarność" mogłaby ukierunkować antysocjalistyczne emocje ludzi pracy w stronę - pokażemy czerwonemu jak się pracuje i jak działają przedsiębiorstwa zorganizowane na inną, niż socjalistyczna modłę.

Taki związek mógłby się skupić na działalności syndykalnej - w sensie szerokim - oraz gospodarczej, co i tak miałoby wcale niemałe znaczenie polityczne. Powinien też skorzystać z tego, że część pełnionych przez siebie w okresie 1980-81 funkcji może - i powinien - przekazać ugrupowaniom politycznym: KPN-owi, PPS-om /ile ich tam jest/, Grupom "Wola", Dziekanii, "Niepodległości" /też chyba dwie/, WSN-owi, itd. Niech nareszcie zaczną coś robić.

Można tu wysunąć zarzut, że jest to koncepcja związku "silnych", która wszyst-

kich "słabych" pcha w objęcia OPZZ-u. Ale znaczna część "słabych" i tak jest już w neo-związkach. Niech tam organizują grupy nacisku - to dopiero będzie zabawa. Normalna, tj. rynkowa gospodarka jest dla "silnych" i inaczej być nie może. Tyle jedynie, że gdy zacznie funkcjonować, stworzy realne bodźce, wówczas okaże się, że "silnych" jest więcej niż by się to mogło wydawać.

A w okresie przejściowym?

W okresie przejściowym będzie ciężko, bardzo ciężko. Jeśli jednak związek nie nastawi się na zdecydowane popieranie rynku - to tak się pograżymy w socjalistycznym grzęzawisku, że zostanie po nas bulgot i bąble.

15.IX.1988

Leopolita

LISTY

ZBIGNIEW GLUZA

W SPRAWIE KULTURY

Kultura Niezależna /nr 42, czerwiec br./ zareagowała na moją książkę "Epizod. Dziennik zam/knięcia" - wydaną przez Przedświt w lutym br.: opublikowała list otwarty do mnie napisany przez "Kierowcę", jednego z bohaterów Dziennika. Tym samym listem skwitował wydanie "Epizodu" Tygodnik Mazowsze /nr 252, 25 maja br./. Na list w TM nie odpowiedziałem, uznając, iż - z racji charakteru pisma - publikacja tam miała wymiar prostej interwencji /"Skoro człowiek czuje się pokrzywdzony, trzeba dać mu głos"/. Inaczej sprawa ma się z KN, która powołała się do opisu zjawisk kultury polskiej, więc nie powinna poprzestawać na zewnętrznym, "naskórkowym" oglądzie rzeczy, a raczej wnikać w głąb, badać sensy.

"Epizod" pozbawiony jest elementów fikcji - wszystko, co zostało tu przedstawione, jest zapisem mojego doświadczenia: pobytu w Areszcie Śledczym Warszawa-Mokotów od marca do września 1985. Jeszcze przed aresztowaniem nękało mnie pytanie, na czym polega życie duchowe w t y m zamknięciu. Spotykałem się z osobami, które dopiero co opuściły więzienia, pytałem, czym był tam dla nich czas. Nikt nie potrafił

o tym mówić - każdy dzień wolności odsuwał tamto przeżycie trochę na księżyc, trochę w niebyt. Nie było odpowiedzi.

A potem mnie aresztowali. Stałem się nagle sam dla siebie przedmiotem doświadczenia. Po tygodniu mniej więcej poczułem, że mam szansę, by się dowiedzieć, czym jest wolność w warunkach zniewolenia, czym jest wolność, gdy musi się w każdej chwili walczyć o swe prawa. Mogłem nazywać to kiedy trwało. Metoda znalazła się sama. List o dowolnej objętości można było w Areszcie wysyłać co poniedziałek - postanowiłem pisać go do Żony codziennie przez cały tydzień, notując wprost - bez dystansującego komentarla - każdy ważniejszy moment. Listy w większości dotarły, niewiele z tych puszczanych oficjalną drogą naruszyła cenzura. Uzupełnione zaraz po wyjściu, złożyły się na ten dziennik.

Byłem w nim szczery i to był świadomy wybór - przeciw trudnościom. Nie tylko z tym związanym, że kogoś mogłem dotknąć. Sam wchodziłem na grunt niepewny, wydobywając refleksję z emocji, zachowań, zdarzeń konkretnych zamkniętych ludzi. A zarazem byłem pewien, że tylko taki zbiór "subiektywnych" drobin, a nie próby uogólnienia, może się złożyć na pełny obraz.

Nie ujawniałem nazwisk. Kierowca jednak uznał, że i tak jest dla wielu do odczytania, więc - jako swoiste wyzwanie - list podpisał nazwiskiem. Ja jednak zostaje przy nadanym przeze mnie "imieniu". Wszystko tu bowiem wynika jedynie z mojego widzenia, nie ma pretensji do obiektywizmu.

Kierowca zarzuca mi, że drwię z jego przekonań religijnych i że pomawiam go o tchórzostwo. Łatwo sprawdzić w książce, że to nieprawda. Jedynym punktem obrazy mógłby być, przy odrobinie złej woli, opis dnia poprzedzającego jego proces - widząc objawy rodzącego się w nim strachu, zanoto-

wałem je, nie powstrzymując się przed zapisem także reakcji fizjologicznej. To nie było tchórzostwo. Kierowca przemógł strach /co podkreśliłem/ i na rozprawę pojechał spokojniejszy. Do głowy mi przy tym nie przyszło, iż ten opis można wziąć za atak na o s o b ę. Każdemu mogłaby się zdarzyć taka chwila. Cóż w tym uwłaczającego?

Stosunek Kierowcy do "Epizodu" poznałem jeszcze przed opublikowaniem jego listu. Przepraszałem go wówczas gorąco, widząc w nim tak silne poczucie krzywdy. Próbowałem tłumaczyć powody mojego pisania, takiej otwartości... Żadnych argumentów /ani przeprosin/ nie przyjmował, powtarzając, jak bardzo jest tym ugodzony.

Teraz, gdybym składał do druku "Epizod", usunąłbym fragment o strachu przed rozprawą. Bo nie jest moim celem osłabiać ludzi, raczej przeciwnie. W tej książce jest więcej drażliwych miejsc, mogących przynieść innym ból, ale pozostali są - jak widzę i wówczas widziałem - silniejsi, znoszą to. W imię prawdy /która wzmacnia/ - mam nadzieję. Z Kierowcą natomiast należało ostrożniej - dzisiaj to wiem, wtedy nie wiedziałem, nie przeczułem... Przykro mi, że tak się stało.

Niczego innego w "Epizodzie" bym nie zmienił.

A co do całej "sprawy Kierowcy" - rozważanie jej na łamach czasopism wydaje mi się mijać z sensem. Bo najwyraźniej jej istota nie tkwi w "Epizodzie".

Gdyby redakcja chociaż napisała /od siebie/, że niemoralne jest ujawnianie słabości ludzi, których widzi się w sytuacji dla nich ekstremalnej i że przywoływanie prawdziwych obrazów, które nie są heroiczne a przedstawione mogą kogoś zaboлеć, jest nadużyciem - to przynajmniej wiadomo byłoby, o co chodzi. Nie zgodziłbym się z tym, uzasadniał racje przeciwne, ale to mogłoby w końcu czemuś posłużyć.

A tak? Ludzie zaczynają teraz czytać "Epizod" szukając w nim jakichś podejrzanych rozgrywek, jakichś ataków ad personam. A to nie jest książka sensacji, ten rodzaj ekscytowania z pewnością utrudnia jej zrozumienie.

A poza wszystkim, dziwią mnie różnice w obu wersjach listu. W Tygodniku Kierowca zwraca się do mnie bezpośrednio, tu - pośrednio /KN staje się jego rzecznikiem?/; tam Kierowca oznajmia, o co bywał wcześniej podejrzewany przez ludzi podziemia i te podejrzenia są ważne dla "jego sprawy" - tu tego nie ma. I wreszcie - tam Kierowca sugeruje /tu już nie/, że moje zapiski są czymś w rodzaju donosu i mogą być przydatne SB /"Tekst powinien być oddać do redakcji "Żołnierza Wolności", na pewno dostałbyś nagrodę od Służby Bezpieczeństwa"/. Czy ten zarzut już stracił aktualność?

Jako uczestnik "kultury niezależnej" i czytelnik spodziewałbym się raczej od KN wnikliwego badania wartości, jakie nowe książki usiłują wprowadzić do obiegu, niż takich "enuncjacji" jak ta.

sierpień 1988

Zbigniew Gluza

Pogratulować zadowolenia z siebie Autorowi, który o tyle tylko ma wątpliwości co do swego dzieła, o ile ludzie przez niego /według jego wyobrażeń/ opisani okazują się zbyt słabi, by przyjąć uzdrawiającą moc prawdy.

Red.

SPRAWOZDANIA

PIOTR STASIŃSKI

FAKTY ODZIANE

Przekonanie, że dżentelmeni nie powinni się spierać o fakty, należy do postulatów cierpliwie przez dżentelmenów powtarzanych i... beznadziejnie z faktami sprzecznych. W dyskusjach humanistycznych budzi wprowadzie szacunek na ogół ktoś, kto porządkuje terminologię, a jeszcze bardziej ktoś, kto terminami posługuje się precyzyjnie - jednakże ów szacunek nie przeszkadza żywiącym go ulegać powabom dyskusji nieuporządkowanej. Spieszą oni porzucić twarde grunt metafizyka i oddać się grze słów, asocjacyj i właśnie faktów, które wbrew komunałowi wcale "twardego gruntu" nie

ustanawiają. Fakty to grunt grząski, a jeśli uda się spotkać dwóch ludzi, którzy o nich myślą tak samo - wówczas można przypuszczać, że obaj stąpają na szczudłach.

Humaniści nie chcą dziś być akademicy, choć są skazani na akademickie dyskusje. Chcą "życia" i "prawdy życia". Odrzucają szczudła - wolą się zbrukać. Są zmęczeni ironią i świadomością, że wszystko już było.

Ostatnio Kraków gościł jedną z takich nieakademickich dyskusji akademickich, w której humaniści nie mogli uzgodnić podstawowych - zdawałoby się - definicji. Konferencję zwołano na temat DOKUMENT A LITERATURA, definicje zaś, których uzgodnić nie zdołano, dotyczyły właśnie kategorii tytułowych.

Wybór czasu i miejsca okazał się przewrotny. W maju, po strajku w Nowej Hucie, stary Kraków żył protestami studentów. Przyjezdni humaniści czuli się z lekka "na Ąucie". O dokumentaryzmie w nowszej literaturze dyskutowano bez przekonania. Byłoby grubą przesadą powiedzieć, że stary Kraków uderzał humanistów do głów jak młode wino. Choć próby czyniono. Badacze literatury zostali mianowicie zaproszeni na degustację PRZEGŁOSU - miesięcznika mówionego studentów: "Środowiskowego forum myśli krytycznoliterackiej, prezentacji publicystyki, młodej poezji i prozy, piosenki literackiej". Uff! /jak mówił Winnetou/ - ten podtytuł doprawdy godny jest miesięcznika. Nie mówiąc nic o dokumencie - sam jest dokumentem niewątpliwie rozbudzonej świadomości gatunkowej młodych humanistów.

Ten żart bierze się z zawiści. Młode wino robiło bowiem to, czego nie zdołała sprawić dyskusja. Ono musowało. Studenci roztrząsali przebieg kolejnych swoich wieców, stale zagrożonych atakiem milicji,

150

skutki strajku w miasteczku akademickim oraz postawę uczelnianej władzy, która - wzięta w dwa ognie - po pewnych wahaniach ujęła się za studentami. Z publicystycznych analiz wyłaniał się podział nie na zwolenników poszczególnych ugrupowań, a wymieniono: NZS, WiP, KPN i PPS, lecz podział na grupę czynnych, ruchliwych i błędzących oraz grupy biernych malkontentów i besserwisserów. Podziałowi temu przeczyła wypełniona sala i żywe jej reakcje.

Po wysłuchaniu artykułów politycznych, którym nie zabrakło ani szlachetności wizji /mianowicie wizji nowej universitas jako wspólnoty nauczających i uczących się/, ani poczucia humoru - dostaliśmy porcję dokumentu. Odczytano komunikat Studenckiego Komitetu Pomocy Strajkującym Hutnikom /było to po zdławieniu w HiL strajku okupacyjnego i w czasie trwania tam strajku absencyjnego/. Instytucja ta ma zamiar istnieć dalej, w takiej czy innej postaci, jako forum porozumiewawcze między niezależnymi ugrupowaniami z krakowskich uczelni. Przeczytano także długi wywiad z Bogusławem Ałasińskim, przeprowadzony w areszcie przed zwolnieniem tego członka nowohuckiego Komitetu Strajkowego. Pośród rozmaitych ciekawych rzeczy, Ałasiński powiedział, że dyrekcji HiL strajk spadł jak z nieba, ponieważ głównym wydziałom huty groził wkrótce postój. Dzięki strajkowi postój ten, wynikły z indolencji organizacyjnej, można było przypisać warcholstwu robotników.

Miesięcznik mówiony PRZEGŁOS robił wrażenie przede wszystkim tym, że w różnych wypowiedziach /artykuły, dokumenty, poezje, recenzje, wywiady, opowiadanie, felieton/ była pasja społeczna. Ci studenci są gotowi stawiać czoła najbardziej przekłętym problemom kraju i swego środowiska. Nie zniechęca

ich powszechne zniechęcenie, w naturalny sposób łączą uświadomienie polityczne z twórczością kulturalną. Świetna była np. felietonowa lektura najnowszego numeru "Gazety Krakowskiej", w której młody autor wynalazł zdumiewająco wielką porcję absur-dów. Przebiegamy je co dzień wzrokiem już prawie obojętnie, dowcipne zaś ich obnaże-nie pozwala się z tej obojętności otrząs-nąć.

Spotkanie z PRZEGŁOSEM krakowskich stu-dentów było owym dotknięciem życia, niespo-dziewanie korespondującym z intencjami organizatorów konferencji. Pierwszy już referent, Grzegorz Godlewski, zwierzył się, że ostatnio studenci na zajęciach nie pytają: "co autor chciał powiedzieć", lecz raczej żądają odpowiedzi, "jak jest naprawdę". Literatura obecnie - stawiał referent diagnozę - uczestniczy w wielkiej przemianie dyskursu społecznego, a zamęt w niej panujący jest tej przemiany świadec-twem. Istotą przemiany jest mówienie wprost, ujawnienie prawdy mówiącego - prze-ciw prawdzie abstrakcyjnej, zamykanej w formułach ideologicznych, quasi-naukowych, udających niemożliwy wszak w dyskursie podmiotowym obiektywizm.

Najwięcej przykładów, przeważnie z dru-giego obiegu, wyrażających i tworzących owo upodmiotowienie słowa publicznego, dostarczył Roman Zimand. Jest cała fala książek powstających na podstawie rozmów z ludźmi, którzy tak czy inaczej zaznaczyli swą obecność w życiu publicznym. Człowiek opowiadający, opowieść konkretnego człowie-ka to prastare źródło literatury. Współ-czesne zapisy rozmów, obrad, dyskusji, zwierzeń na użytek publiczny - mają wielką tradycję, co również oznacza, że przybiera-ją postać dyktowaną konwencją. Są konstruk-cjami stworzonymi przez tego, kto rozmowę przeprowadził i dokonał zapisu. "Teksty

interlokucyjne" - taki termin gatunkowy zaproponował Zimand, pragnąc tym samym uprzytomnić wielopodmiotowość tej kreacji. Nie są to teksty trywialnie informacyjne, zawierają prawdę emocjonalną, która się wytwarza dzięki współdziałaniu, współmyśleniu, współmówieniu partnerów. Powstają dokumenty osobowości i należą one do prawdy czasu - po uwzględnieniu owego współczynnika subiektywnego, nieusuwalnego, a nawet wzmacnianego przez opracowanie artystyczne. W "Moim wieku" Aleksandra Wata, na przykład, nie można tylko, prostodusznie, poszukiwać dokumentacji na temat zawartości magazynów, gdzie zaopatrywali się m.in. pracownicy ambasady RP w Kujbyszewie w okresie organizowania się armii Andersa. Zimand dowodził, jak wydawana tam na pająk kasza mogła się zamienić - w uskrzydłonej rozmową z Miłoszem pamięci Wata - w kawior.

Veni, vidi, descripti. Dokument to dyskurs pozytywny. Opiera się na hierarchii dodatnich założeń. I to założeń bardzo mocnych: fakty dają się opisać, są przeto zrozumiałe, a zatem i przekazywalne; cała zaś procedura ich rejestracji i przekazywania ma sens pod warunkiem, że są traktowane jako prawdziwe. Dokumentaryzm, wywodzący się od łacińskiego "docere", jest wobec tego również dydaktyzmem, perswazją, która ma przekonać nie tylko o prawdzie bezpośrednio przekazywanej, lecz także o możliwości zawiadnięcia dyskursem nad nieciągłością świata. Ten optymizm poznawczy dokumentu jest niemożliwym a jednak punktem odniesienia nowoczesnego eseju. Esej ten bowiem - przykładem eseje Miłosza - demonstrowuje negatywny sposób dochodzenia do prawdy. Prawdą eseistyczną jest to, że prawda się wymyka. W powyższych zdaniach próbowałem streścić sposób, w jaki Michał Paweł Markowski zestawiał istotę eseju i dokumentu. Esej stawia czoła zagadce

świata jako zagadce - dokument natomiast wyklucza z góry jej nierozwiązywalność.

Zestawiano również pisarzy, niekiedy - zagadkowo. Jerzy Jarzębski proponował mianowicie tak szerokie rozumienie dokumentaryzmu w literaturze, że znalazło się w nim miejsce dla Józefa Mackiewicza i dla Mirona Białoszewskiego. Łączy ich sprzeciw wobec jakiegokolwiek służebności literatury, jeśli nie jest to - jak w wypadku Mackiewicza - całkiem indywidualny wybór służenia idei antykomunizmu. Białoszewski - w ujęciu Jarzębskiego - to również strategia odosobnienia, spłot wzajemnie się poświadczających: egzystencji i sztuki słowa. Białoszewski nie ufa żadnej doktrynie, więcej - żadnemu obiektywizmowi. Jest antyoficjalny do szpiku kości. O ile Mackiewicz za pomocą pretekstów fabularnych dokumentuje "nagie fakty", wzięte z przemilczanych rejonów historii zbiorowej, to Białoszewski samą tkanką słowną swej antykonwencyjnej literatury dokumentuje prawdy gadających ludzi. Dyskurs ideologiczny i demonizm historii, jeśli w ogóle przenika do tych "prawd gadanych", to w postaci odprysków obcego szumu. Ludzie Białoszewskiego nie traktują tego szumu poważnie, historia oficjalna jest dla nich marginalna - budzi zdrowy śmiech. *Risus documentalis* - spuentował Jarzębski, nazywając "Kabaret Kici Koci" najlepszą literaturą stanu wojennego.

Miedzy dokumentarystą Mackiewiczem a dokumentarystą Białoszewskim obszar rozciąga się ogromny. Albowiem pomiędzy prawdą skrajnie opozycyjną a prawdą skrajnie osobistą można zmieścić wielką różnorodność prawd mieszanych: kolokwialnych, potocznych, zmistyfikowanych; zakazanych lub tylko "trudno dostępnych". W obszarze tym zmieścić można całą nowszą literaturę,

154

łącznie z Bratnym, niestety. Dlatego niezbędne jest wprowadzenie w tym obszarze hierarchii. Pisarze, którzy nie uchylają się od dokumentowania owych prawd, stosują mianowicie założenia o różnej mocy. W różnym stopniu są przekonani o możliwości pozytywnego zdania sprawy z "prawdy życia", różne stosują indeksy. Mówiąc najprościej, jedni nie przejmują się fikcją i konwencją - nieodzowność opracowania literackiego nie stanowi dla nich problemu. Jest tylko narzędziem rekonstrukcji prawdy, a nawet naiwniej - dotarcia do prawdy. Inni znów, jak Rymkiewicz, kokietują nas indeksem autorskim. Z pasją rejestrują wprowadzić każdy szczegół przestrzeni opisywanej, lecz gdy przychodzi do prawd wyznawanych przez ludzi - robią się filuterni, ironicznie agnostyczni: nie ma żadnej prawdy dającej się opisać poza prawdą opisującego.

Dla dokumentaryzmu w literaturze ważne jest to samo co dla dokumentu po prostu. Dokument nie ma sensu bez uwiarygodnienia społecznego. Zależnie od stopnia ogólnej instytucjonalizacji społeczeństwa - różna jest instytucjonalizacja procedury uwiarygodniania, różny też jest rodzaj uwiarygodniającej dokument instancji. Może być ona, w szczególności, mniej lub bardziej osobista, mniej lub bardziej bezosobowa, mniej lub bardziej upaństwowiona. W PRL dowód osobisty każdego obywatela jest własnością państwa - i wiele to mówi o typie obywatelstwa, jaki jest naszym udziałem.

Dla chłopca-analfabety dokumentem /dodajmy - przeważnie zwiastującym jakąś klęskę/ było cokolwiek co napisane: bumaga. Dziś nic nie chce być dokumentem bez pieczęci, której zresztą nawet krój jest ważny. Tam, gdzie dokument jest metaforą, np. w obiegu piśmienniczym opozycyjnym wobec życia instytucjonalnego - uwiarygodnienie opiera się na autorytecie. Duża tu panuje dowol-

ność. Jako dokument możemy nawet potraktować publiczne zwierzenie, o ile skądinąd aprobowujemy moralnie autora, pośrednika, a choćby nawet i dystrybutora tej wypowiedzi /np. niezależne wydawnictwo bądź czasopismo/. Możliwych jest tu co najmniej tyle nadużyć, ile prawd przekazywanych. A czytelnicy będą się spierać, czy wystarczy pieczęć podłużna, czy też potrzebna jest aż okrągła; jedni za pieczęć uznają zaś to, co dla innych jest oznaką oczywistego fałszu.

Żądanie prawdziwości w literaturze rzadko bywa w ogóle formułowane, a jeśli nawet - nie należy się spodziewać ani jednej, ani ścisłej definicji. Dlatego reakcja pisarza jest w dużym stopniu reakcją "w ciemno". Poznawcza niepewność skłania go do oparcia prawdy literackiej na kryterium etycznym. Pisarz powinien być dla swojej publiczności człowiekiem "przyzwoitym" - wówczas jego prawda ma szansę stać się prawdą dla jego czytelników. Kwestia: "jak jest naprawdę" - schodzi na drugi plan.

Wypowiedź literacka jest aktem wybitnie indywidualnym. Dokumentaryzm w literaturze dzisiejszej, wbrew utrwalonemu kojarzeniu go z obiektywnością obrazu życia, staje się wyrazistszą niż fikcja ekspozycją indywidualizmu. Pisarz kładzie na szalę siebie samego, jako pisarza właśnie, tu i teraz żyjącego, społecznie indentyfikowalnego. Jest to inwestycja osobista, uwiarygodnia ją publiczność czytająca, jeśli zechce uznać prawdę pisarza za przynajmniej część swojej prawdy. Tym sposobem, za pośrednictwem - by tak rzec - mechanizmu rynkowego, dokumentaryzm literatury dzisiejszej staje się demokratyczny. Pieczęć dzierżą czytelnicy, przemieniając się tym samym w opinię publiczną, która tworzy swoją prawdę o życiu, także - jak wi dać - dzięki literaturze próbującej życie dokumentować.

Powyższa wycieczka dialektyczna zastępuje po trosze relację o kolejnych referatach. Zbyt ta relacja musiałaby być drobiazgową. Autor niniejszego musiałby także znaleźć jakiś jeden język sprawozdawczy, który nie mógłby oddać sprawiedliwości ani różności zajmowanych przez referentów stanowisk, ani żadnemu z nich oddzielenie. Tym bardziej, że wypowiedzi wygłoszone podczas tej konferencji dotyczyły nie tylko literatury. Marta Fik dała przegląd przedsięwzięć dokumentarnych w teatrze lat ostatnich, Tadeusz Lubelski zaś - w filmie. W odniesieniu do literatury - sięgano po metodę opisu wysoce stereotypizowanego na obszernym materiale historycznym, jak Ryszard Nycz, który przedstawił funkcje wiadomości gazetowych w literaturze od modernizmu do Białoszewskiego. Przedstawiano analizy jednego utworu: Bogusław Gryszkiewicz pokazał np. jak radził sobie Andrzejewski z tematem szaleństwa i urojenia w "Apelacji". A także - jednego tematu, co uczynił Sergiusz Sterna Wachowiak, analizując literackie mistyfikacje o poznawskim czerwcu '56. Nastawienie autorów referatów bywało liryczne, jak piękna kompozycja Agaty Tuszyńskiej, złożona z wyznań pisarzy i reporterów, zapytanych o ich własne motywy tworzenia "dokumentów pamięci". Bywały również nastawieniami empirystycznymi, jak praca Anny Błaszkiwicz-Kijowskiej o barierze konwencji, której przełamać nie potrafiła /ale też i nie usiłowała/ poezja strajkowa Wybrzeża roku '70 i '80.

To, co liryczne, nie musi się jednak wcale z tym, co empiryczne, kłócić; może się uzupełniać. Przekonali nas o tym, nie umawiając się ze sobą, dwaj czytelnicy planów Warszawy. Jednym był Wojciech Wykiel, który dokonał metafizycznej interpretacji warszawskich mieszkań /i przeprowa-

dzek/ Białoszewskiego. Sposób, w jaki najzupełniej konkretne i sprawdzalne adresy tkwią w "prywatnym planie miasta" śp. Mirona, jest niezwykle metaforą, zrównującą warszawską wielkomiejską prowincję z dobrowolnie ograniczoną egzystencją i pejzażem duchowym jej mieszkańca. Ostatnią rzeczą, którą można o tym mieszkańcu powiedzieć, jest to, że jest on typowy. Niemniej, bez zapisanej przez niego /"życiopisanie" nazwał to Wyskiel/, bez przezeń podsłuchanej i zaludnionej "rzeczywistości wydolnej" tego miasta - nie zostałby odkryty pewien elementarny sens istnienia jego mieszkańca. W biednej, lecz zarazem wypełnionej /choćby życiem cudzym/ jego duszy nieostre są mianowicie granice między centrum a peryferiami, między zniszczonym a odbudowanym, między prywatnym a kolektywnym. Mizerna jest jego świadomość historii /nie mieszka w czasie/ i byle jaka jest jego kultura /nie mieszka w przestrzeni symbolicznej/. Wczepiony w swoje mieszkanie, jeśli już dopiął tego, że mieszka we własnym mieszkaniu, wypełnia je jednak treścią swego życia - jego rzeczywistość jest "wydolna", nawet jeśli nie może sprostać kryterium kultury wyższej. Bo jeśli wyższej - to i wzniosłej, a to i wyniosłej, a zatem - obcej /z definicji/; więc może nawet - wrogiej, zwierchniej, nadrzędnej... urzędowej?

Drugim czytelnikiem planu Warszawy dla celów analizy literackiej był Jan Walc. Z mapą w ręku przeczytał "Złego" Tyrmanda. Walc chciał dowieść, że w roku 1954 można było opisać Warszawę na przekór stalinizmowi i socrealizmowi. Oglupiwszy oto ówczesną cenzurę za pomocą fantastycznej fabuły, Tyrmand zdołał ominąć w opisie miasta "strefy okupowane". Nie zauważył Pałacu im. Józefa Stalina, a plac tegoż imienia nazywał konsekwentnie "największym placem

Europy". Do ulic o wrażliwych nazwach stosował ich nazwy przedsocrealne albo określenia omowne bądź ułomne /"ulica, przy której stoi kino "Palladium"/. Również nietopograficzna narracja Tyrmanda gwałciła - przez liczne aluzje i stylizacje literackie - wszelkie przykazania urzędowej literatury tamtego czasu. Są w "Złym" odniesienia do Homera, Kiplinga, Milne'a; do Weyssenhoffa i Koziołka Matołka. Opowieść Tyrmanda to wyczyn w dziedzinie przemytu literackiego. Nie jest to jednak dokument prawdziwego życia tamtej Warszawy, lecz raczej dokument prawdziwej tęsknoty człowieka wewnątrz wolnego za prawdziwą literaturą rozrywkową i prawdziwym, barwnym miastem; za swym wyobrażeniem normalności, które było wówczas duchową rebelią.

I tak oto dokument Tyrmanda można przeczytać jako liryczny, a dokument Białoszewskiego - jako empiryczny. Niecałkiem jest to zgodne z intencjami referentów, ale po coś miałyby się odbywać konferencje humanistów, jeśli by miano tam zakazać paradoksów.

maj 1988

Piotr Stasiński

DOKUMENTY

WSKRZESZENIE POLSKIEGO PEN-CLUBU

19 września 1988 odbyło się w Warszawie statutowe zgromadzenie sprawozdawczo-wyborcze Polskiego PEN-Clubu, które wyłoniło nowy zarząd tego zasłużonego dla kultury polskiej stowarzyszenia.

Przypomnijmy, że Polski PEN-Club zawieszony został wraz z innymi związkami twórczymi po 13 grudnia /dokładnie: 16 grudnia 1981/. 19 sierpnia 1983 nastąpiło formalne odwołanie Polskiego PEN-Clubu, ale jednocześnie rozwiązany został jego zarząd, co uniemożliwiło w praktyce jakąkolwiek działalność klubu. Pomimo odwołań od tej decyzji pozostała ona w mocy. Jednocześnie powołano w trybie administracyjnym zarząd komisaryczny zwany tymczasowym i złożony z nie będących członkami PEN pracowników ministerstwa kultury i wydawnictw /p.Kochański - komisarz od grudnia 1981 oraz p.p.Bidakowski, Kabata i Kędzierski/. Stan taki trwał do lata 1988, pomimo międzynarodowych apeli w tej sprawie, starań kolejnych prezesów międzynarodowych /Per Wästberg przybył nawet do Polski z kilkudniową wizytą/ i usiłowań podejmowanych w kraju przez statutowe władze Polskiego PEN-Clubu. Trzeba zwrócić uwagę na fakt, że usiłowania te stowarzyszały się z solidarną postawą wszystkich nieomal członków klubu i ich przykładowym przywiązaniem do Międzynarodowej Karty PEN.

Faktem o szczególnym znaczeniu był również kwietniowy list otwarty 151 członków Polskiego PEN-Clubu do Przewodniczącego Rady Państwa i Marszałka Sejmu, przesłany także do wiadomości Ministrowi Kultury i Sztuki, i przekazany Jego Eminencji Księdzu Prymasowi. Przytaczamy ten tekst, gdyż przynosił on zwięzły opis starań o reaktywizację Polskiego PEN-Clubu w ostatnich latach i postulatów PEN-Clubowego środowiska.

LIST OTWARTY CZŁONKÓW POLSKIEGO PEN-CLUBU DO PRZEWODNICZĄCEGO RADY PAŃSTWA I DO MARSZAŁKA SEJMU P.R.L.

My, pisarze polscy, edytorzy i przedstawiciele nauki polskiej, członkowie PEN-Clubu,

przeświadczeni, że praktyczna nieobecność PEN-Clubu w życiu literackim kraju i na forum międzynarodowym wyrządza szkodę kulturze narodowej, dezintegruje środowiska twórcze i ujemnie wpływa na obraz Polski w świecie,

wobec uporczywej niechęci, z jaką zwierzchnictwo wydziałów i resortów kultury odnosi się do reaktywowania naszego stowarzyszenia,

zwracamy się do Przewodniczącego Rady Państwa i do Marszałka Sejmu P.R.L. z apelem o wgląd w ten absurdalny naszym zdaniem stan rzeczy i o osobistą z ich strony pomoc w przywróceniu do życia Polskiego PEN-Clubu bez uwiązujących nam wszystkim interwencji administracyjnych.

Pragniemy w związku z tym przypomnieć, że 22 maja 1985 odbyło się w Zamku Królewskim, pod auspicjami Rady Kultury i na imienne zaproszenia prof. Suchodolskiego, zebranie na temat przyszłości Polskiego PEN-Clubu.

Po wszechstronnej dyskusji z udziałem przedstawicieli różnorodnych środowisk pen-clubowych stwierdzono wówczas niemal jednogłośnie, że statutowy, a rozwiązany przez

władze administracyjne w połowie jego kadencji zarząd powinien być upoważniony de facto do zwołania zebrania sprawozdawczo-wyborczego;

że statutowy zarząd jest jedynym uprawnionym do tego ciałem;

że to wyborcze Zebranie Ogólne byłoby zwołane przez statutowy zarząd tak szybko jak to tylko możliwe i nie zważając na fakt że okres zawieszenia zarządu automatycznie przedłuża jego kadencję.

Obecni na spotkaniu członkowie zarządu statutowego w pełni poparli ten punkt widzenia i oznajmili, że nie pretendują do przysługującej im półtorarocznej reszty kadencji, ani też do zwoływania, po reaktywowaniu zarządu, innych zgromadzeń poza tymi, które służyłyby przygotowaniu zebrania wyborczego.

Ogół obecnych uznał też rozwiązanie takie za jedynie możliwe wyjście z sytuacji, zwracając uwagę na fakt, że nie nastrocza ono obiektywnych trudności, nie wymaga dodatkowych opracowań prawnych i nie narusza niczyjego prestiżu: mowa tu o przywróceniu dotychczasowego zarządu de facto, aby umożliwić mu przygotowanie zebrania sprawozdawczo-wyborczego.

Niestety, spotkanie zamkowe, zwołane przez przewodniczącego Rady Kultury, nie doczekało się dalszego ciągu. Przerwane zostały również - dla powagi sprawy pomijamy tu preteksty, jakimi się posłużono - rozmowy z ministrem kultury i sztuki, które prowadzili na wiosnę 1987 prezes i wiceprezes statutowego zarządu z własnej inicjatywy. Bezskuteczne pozostały wreszcie wszelkie inne próby dialogu na poruszone tu tematy.

W imię reszty nadziei, jaką zachowujemy, my, członkowie Polskiego PEN-Clubu zwracamy się z apelem o to, by nasz statutowo wybrany zarząd zwołać mógł jak najszybciej Zebranie Ogólne.

Apelujemy zarazem o uznanie naszego prawa do przeprowadzenia na tym zebraniu normalnych statutowych wyborów celem powołania do nowego zarządu Polskiego PEN-Clubu osób cieszących się naszym zaufaniem i o poniechanie w tych sprawach wszelkich administracyjnych prób nacisku i ingerencji.

Domagamy się tego w imię elementarnych norm społecznego współżycia w naszym kraju i ustanowionych w nim praw konstytucyjnych, a także w imię obowiązującej nas Międzynarodowej Karty P.E.N.

Jesteśmy przekonani, że autentyczne reaktywowanie Polskiego PEN-Clubu przyczyniłoby się w znacznym stopniu do przywrócenia utraconego klimatu zaufania w naszym życiu literackim i kulturalnym.

Warszawa, marzec-kwiecień 1988.

W wyniku pozytywnej reakcji adresatów listu i rozmów, jakie w ich imieniu przeprowadził z kołami pisarskimi wiceprzewodniczący Rady Państwa Kazimierz Barcikowski, Minister Kultury zwrócił się do Prezydenta Miasta Warszawy o wyrażenie zgody na zwołanie Zgromadzenia Ogólnego członków PEN-Clubu przez Juliusza Żuławskiego.

Uzyskawszy zgodę Prezydenta Miasta - w liście z 1 sierpnia 1988 - a także formalne pełnomocnictwo ze strony innych członków zarządu, Żuławski - statutowy prezes - zwołał zebranie sprawozdawczo-wyborcze na 19 września.

Zbiorowym bohaterem tego zebrania było środowisko Polskiego PEN-Clubu i jego zarząd. W relacjach z reguły przypomniana jest wzruszająca chwila, kiedy - nim Żuławski wypowiedział słowa zagajenia - zebrani powstałi z miejsc. Jak zwykle, otworzyło również i to zgromadzenie odczytanie listy zmarłych /PEN-Club liczył w grudniu 1981 roku 279 członków, obecnie liczy ich 217/ i odczytanie Międzynarodowej Karty PEN, której brzmienie warto z tej okazji przypomnieć.

MIĘDZYNARODOWA KARTA P.E.N.

1. Literatura, jakkolwiek narodowa w swojej genezie, nie zna granic i winna pozostać elementem stałej wymiany między narodami, bez względu na polityczne czy międzynarodowe zaburzenia.

2. We wszelkich okolicznościach, a szczególnie podczas wojny, dziełom sztuki - spuściźnie całej ludzkości - nie powinny zagrażać namiętności narodowe czy polityczne.

3. Członkowie PEN-Clubu powinni w każdym wypadku używać wszelkiego możliwego wpływu na rzecz porozumienia i wzajemnego szacunku między narodami.. Zobowiązują się czynić wszystko co jest w ich mocy, ażeby rozprasać nienawiści rasowe, klasowe i narodowe, i bronić ideału jednej ludzkości żyjącej w pokoju na jednym świecie.

4. PEN-Club opowiada się za zasadą nieskrępowanego przekazywania myśli wewnątrz każdego narodu i między wszystkimi narodami, a jego członkowie zobowiązują się występować przeciwko każdej formie tłumienia wolności słowa w kraju i społeczności, do której należą. PEN-Club opowiada się za wolnością prasy i przeciwstawia się arbitralnej cenzurze w czasie pokoju. Jest przeświadczony, że konieczny rozwój świata ku wyższym formom organizacji politycznej i gospodarczej wymaga swobodnej krytyki rządów, administracji i instytucji. Ponieważ zaś wolność oznacza dobrowolne ograniczenie, członkowie zobowiązują się występować przeciwko takim wypaczeniom wolności prasy, jak kłamliwe publikacje, rozmyślnie fałsze oraz zniekształcanie faktów dla celów politycznych i osobistych.

5. Członkostwo PEN-Clubu dostępne jest dla wszystkich kwalifikujących się pisarzy, wydawców i tłumaczy, którzy solidaryzują się z tymi założeniami, bez względu na narodowość, język, rasę, kolor skóry czy religię.

Przewodniczył zebraniu Jacek Woźniakowski. Sekretarzował Marian Bizan, asesorem był Marcin Król. Sprawozdania z działalności w latach 1980 - 1981 przedstawili kolejno prezes, wiceprezes i skarbnik ustępującego zarządu: Żuławski, Międzyrzecki i Szczypiorski. Na wniosek komisji rewizyjnej podpisany przez jej przewodniczącego Jacka Bocheńskiego udzielono ustępującemu zarządowi absolutorium - i przystąpiono do wyborów.

Oddano 129 ważnych biuletynów z głosami na kandydatów do zarządu. Wybrani zostali - w kolejności według liczby uzyskanych głosów: Artur Międzyrzecki /109/, Stefan Kisielewski /102/, Juliusz Żuławski /101/, Andrzej Szczypiorski /100/, Marian Brandys /98/, Jan Józef Szczepański /98/, Urszula Kozioł /91/, Jerzy Turowicz /90/, Paweł Hertz /87/, Władysław Bartoszewski /85/, Andrzej Braun /84/, Jerzy Ficowski /82/, Marcin Król /80/, Egon Naganowski /80/, Anna Trzeciakowska /77/, Marian Bizan /66/, Zygmunt Kubiak /65/, Wiktor Woroszyński /65/.

Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali: Jacek Bocheński /118/, Janusz Maciejewski /101/, Michał Komar /100/, Tadeusz Chrzanowski /99/ i Bolesław Fac /86/.

Tegoż dnia nowowybrany zarząd ukonstytuował się następująco:

Prezes: Juliusz Żuławski.

Wiceprezesi: Artur Międzyrzecki i Egon Naganowski.

Sekretarz: Anna Trzeciakowska.

Skarbnik: Andrzej Szczypiorski.

Członkowie zarządu: Władysław Bartoszewski, Marian Bizan, Marian Brandys, Andrzej Braun, Jerzy Ficowski, Paweł Hertz, Urszula Kozioł, Marcin Król, Zygmunt Kubiak, Stefan Kisielewski, Jan Józef Szczepański, Jerzy Turowicz, Wiktor Woroszyński.

W nowym zarządzie znaleźli się w komplecie - jest ich dwunastu - członkowie ustę-

pującego zarządu wybranego w 1980 roku. W miejsce sześciu zmarłych członków tamtego zarządu /Lech Bądkowski, prof. Władysław Czapliński, prof. Karol Estreicher, Seweryn Pollak, Leszek Prorok, Jerzy Zagórski/ wybrano Urszulę Kozioł, Annę Trzeciakowską, Mariana Bizanę, Marcina Króla, Jerzego Turowicza i Wiktora Woroszyńskiego. Zmiana na stanowisku sekretarza wynika z nieobecności w kraju Władysława Bartoszewskiego, który zgodził się jedynie na udział w zarządzie, wyrażając to w sposób formalny pismem nadesłanym z Augsburga /RFN/, gdzie obecnie przebywa. Sekretariat objęła Anna Trzeciakowska. Komisji rewizyjnej przewodniczy jak dawniej Jacek Bocheński.

Wiadomość o nowym zarządzie Polskiego PEN-Clubu podała nazajutrz prasa. W żadnym z krajowych dzienników czy czasopiśmie nie ukazała się natomiast uchwała, jaką podjęło wówczas Zgromadzenie Ogólne Polskiego PEN-Clubu.

Podajemy tekst tej uchwały:

UCHWAŁA ZGROMADZENIA OGÓLNEGO POLSKIEGO
PEN-CLUBU PRZYJĘTA JEDNOGŁOSNIE
19 WRZESNIA 1988

Zgromadzenie Ogólne Polskiego PEN-Clubu - w dniu 19 września 1988 roku - wita z zadowoleniem działania mające na celu dokonanie przełomu w życiu polskim.

Jesteśmy przekonani, że uprawnienie różnorodności w życiu gospodarczym, społecznym, politycznym i kulturalnym, a także pluralizm w ruchu zawodowym, skupiającym przeważającą liczbę czynnych obywateli, stworzy warunki niezbędne do wyżywienia kraju z ciężkiego kryzysu duchowego i materialnego.

Uważamy, że tylko dobra wola przedstawicieli władz i legalnie działającego NSZZ "Solidarność" oraz rzeczników innych ugrupowań i prowadzone przez nich w dobrej wierze rozmowy - mogą i powinny zakończyć się

przeobrażeniami, które umożliwią owocne i pełnoprawne współlistnienie wszystkich obywateli naszego kraju.

Wnioskodawcy: Marian Brandys, Andrzej Braun, Jerzy Ficowski, Paweł Hertz, Stefan Kisielewski, Artur Międzyrzecki, Egon Nagowski, Jan Józef Szczepański, Andrzej Szczypiorski, Jacek Woźniakowski, Juliusz Żuławski.

Przyjęto jednogłośnie na Zgromadzeniu Ogólnym Polskiego PEN-Clubu dnia 19 września 1988 roku.

Lit.

WYDARZENIA

GENERALOWIE

11 października 1988 Przewodniczący Rady Państwa, zwierzchnik sił zbrojnych PRL, generał armii Wojciech Jaruzelski wręczył akty nominacyjne na stopień generała brygady m.in. Janowi Dobraczyńskiemu, Henrykowi Jabłońskiemu, Robertowi Satanowskiemu oraz Włodzimierzowi Sokorskiemu. Znamienne, że gen. Wojciech Jaruzelski, objawszy resort obrony w kwietniu 1968, już w listopadzie tego roku awansował znanych pisarzy - Romana Bratnego, Bohdana Czeszkę, Jana Dobraczyńskiego i Wojciecha Żukrowskiego - do stopni majorów rezerwy. Z jednej strony to wyraz uznania "za zasługi", z drugiej - przejaw spektakularnej militaryzacji kultury, tak widocznej w pierwszych umundurowanych miesiącach stanu wojennego.

Nominacja wręczona pułkownikowi Robertowi Satanowskiemu ma pikantny posmak historyczny. Za czasów zaboru rosyjskiego stanowisko prezesa Warszawskich Teatrów Rządowych, a więc i zarządcy otwartego w 1833 r. Teatru Wielkiego zajmowali w zdecydowanej większości oficerowie wojsk rosyjskich: pięciu pułkowników i podpułkowników /Aleksander Hauke, Sergiusz Muchanow, Aleksander Karandiejew, Piotr Andrejew, Włodzimierz Burman/ i aż czterech generałów /generał adiutant Józef Rautenstrauch, generał policmajster Ignacy Abramowicz, generał inżynierii Dymitr Palicyn, Paweł Iwanow/. Od odzyskania niepodległości w roku 1918 Robert Satanowski jest pierwszym dyrektorem Teatru Wielkiego w mundurze generalskim.

Szeregowy

450.-

-WYDAWNICTWO-
POLKOS
1988
WARSZAWA